

Matthew Quick




Pracuję
jak gwiazda
rocka

powieść autora bestsellerowego
„Poradnika pozytywnego myślenia”



Matthew Quick

prawie 
jak gwiazda rocka

TEUMACZENIE
MARIA BORZOBOHATA-SAWICKA

WYDAWNICTWO
otwarte
KRAKÓW 2014

*Dla Pana Scotta Fleminga –
idola nastolatków, mojego bohatera*

Część pierwsza
Poczuj ból

Leżę na ostatnim siedzeniu szkolnego autobusu 161 i dygoczę, pod czujnym spojrzeniem supersłodkiego małego psiaka – no wiem, zachowuję się jak stuprocentowa dziewczyna.

– Nawet nie wiesz, jaki dziś miałam beznadziejny dzień – mówię do niego.

Opieram nogi o szybę, stopami w stronę dachu, tak że rozkloszowana spódnica rockandrollówka, którą zrobiłam na zajęciach z umiejętności społecznych, opada i układa mi się wokół talii. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a ja noszę spódnice z lat pięćdziesiątych. Lubię psy. Jestem pokręcona. I co z tego? Ale zanim za bardzo się podniecisz na myśl o tym, że podwinęła mi się kiecka i odsłoniła moje śliczne nóżki, zapewniam, że nie widać ani kawałka nastoletniego ciała.

Mam na sobie dwie pary spodni dresowych, trzy pary wełnianych skarpetek, dwie pary rękawiczek, wielką starą czapkę zasłaniającą moje dziwacznie małe uszy oraz trzy bluzy, bo nie mam porządnego zimowego płaszcza, a posępne styczniowe noce, które spędzam w Żółtku, są przenikliwie zimne.

Widzę swój oddech. Szyby pokrywa lód. Szczękam zębami.

Czasem budzę się w środku nocy, bo płuca bolą mnie od wdychania mroźnego powietrza. Czuję się wtedy tak, jakbym płukała gardło kawałkami suchego lodu. Gdybym wyciągnęła butelkę wody z wewnętrznej kieszeni, zamarzłaby.

O siusianiu też mogę zapomnieć, bo dosłownie odmroziłabym sobie tyłek.

Jestem dość samotna.

Bobby Big Boy (B3), którego trzymam tuż nad głową, spogląda na mnie i sapie, wysuwając z mordki idealnie różowy język. Jego oddech śmierdzi nie mniej niż zadek, który zawsze stara się obwąchać, ilekroć w pobliżu znajdzie się jakaś suczka – to straszny babiarczyk, mimo że jest absolutnym monogamistą, w pełni oddanym Miss Jenny – ale i tak mam ochotę go pocałować, bo to seksowny i najbardziej niezawodny facet, jakiego znam. Nigdy przenigdy mnie nie zostawi i dlatego nie przeszkadzają mi te jego cuchnące pocałunki. Poza tym ma na sobie wytworny płaszczyk w szkocką kratę, który też uszyłam dla niego na zajęciach z umiejętności społecznych, i wygląda w nim pięknie. Sierść wokół jego uszu jest zmierzwiona, co upodabnia go do Brada Pitta albo kogoś, komu przydałaby się kąpiel, ale z jego oczu biją wierność i dobroć.

Kończę moje zwierzenia, ale wciąż trzymam go nad głową, a on przebiera nóżkami – może wydaje mu się, że jest na bieżni? Nie ma pośpiechu. Jesteśmy sami, mamy przed sobą całą noc, a Bob lubi biegać w powietrzu tuż nad moją twarzą.

Sypiam z nim mniej więcej od roku. Znalazłam go w pudełku po butach bez żadnej kartki, na wpuł zagłodzonego. Serio. Wyglądał jak skarpeta spuszczonej w toalecie, która spłynęła tymi wszystkimi obrzydliwymi rurami, po czym została wyrzucona przez studzienkę ściekową do mokrego pomarańczowego pudełka po nike'ach przewróconego na bok, wyglądającego jak model zrobiony przez dzieciaka z podstawówki. ŻAŁOSNY, NA WPUŁ ZDECHŁY KUNDEL, głosiłby podpis pod eksponatem, gdyby jakiś gówniarz wziął go na piknik naukowy. Chyba jasne, że zabrałam psiaka z chodnika i odkarmiłam, głównie resztkami mięsa, które początkowo podkradałam ze stołu u Donny, dopóki mnie nie przyłapała i nie zaczęła kupować Bobowi karmy w puszkach.

Pytacie, czy rozwiesiłam plakaty: „Znaleziono psa”?

Ujmę to tak: lepiej, żeby nigdy nie spotkała ludzi, którzy doprowadzili do tego, że z Boba została sama skóra i kości.

B3 wciąż po mistrzowsku przebiera nogami w powietrzu i nie przestanie, dopóki go nie opuszczę.

Latarnie na parkingu gasną około jedenastej, więc nie ma mowy o czytaniu ani pisaniu. Nie mogę ryzykować, żeby jakiś ciekawski przechodzień przyłapał mnie z latarką. To by nas zdemaskowało. Kiedy wokół jest ciemno i człowiek jest zupełnie sam, robi mu się nieswojo, dlatego lubię mieć przy sobie B3. Jest dopiero po dziewiątej, więc będę miała jeszcze mnóstwo czasu na lekcje, kiedy już skończę się mu spowiadać. Psiak robi za mojego osobistego księdza, bo Ojciec Chee jest tylko sługą Boga, a nie Nim samym, więc nie jest wszechobecny. Mam swoje zasady, a dbanie o czystość duszy dzięki conocnej spowiedzi znajduje się wysoko na liście moich priorytetów. Jestem całkiem dobrą katoliczką. Wciąż mam błonkę. Trzymam z Maryjką. Jestem całkiem świętą nastolatką, hej! Mama wróci dopiero po zamknięciu baru, a może nawet później. Wypłynęła na głębię i zarzuca sieci, jak mawia Jezus.

– Dziś kopnęłam Leksę Pinkstona w goleń – mówię Bobowi, który wciąż przebiera łapkami jak szalony. – Wiem, że to grzech, zwłaszcza że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo i pewnie jego własne empatyczne (boskie) łydki lepiej znoszą ból zadany kopniakiem w świętą piszczel. Zanim te rzymskie zbiry przybiły naszego Pana i Zbawiciela do drzewa, na pewno kopały Go w piszczelę, dzięki czemu ma On sporo współczucia dla powoda, jednak zanim nakablujesz Bogu o grzechu, jaki popełniłam, celując w goleń nastolatka, ojciec B3, pozwól, że przedstawię okoliczności łagodzące. Lex znów kazał Ricky’emu powtórzyć coś świńskiego, a ostrzegałam tego plebejusza Leksę chyba z pięćdziesiąt razy, więc mu dowaliłam. Kopnęłam go prosto w goleń, tak że zaczął podskakiwać na jednej nodze, a jego koledzy wyli ze śmiechu jak hieny albo małpy. Nie, wróć. Ssaki naczelne są słodkie i o wiele bystrzejsze niż drużyna futbolu amerykańskiego ze szkoły średniej w Childress, której zawodnicy są beznadziejni i nigdy nie wygrywają żadnych meczów, bo są zbyt zajęci robieniem z siebie kretynów.

Mogę się mylić, ale ojciec Bob – który wciąż przebiera nogami – kwituje moją opowieść uśmiechem, jakby podobało mu się to, że skopałam wrednego kolegę, co sprawia, że przez chwilę wydaje mi się prawie człowiekiem. Może po prostu chciałabym, żeby nim był.

W każdym razie było to tak... Kiedy wyrzucałam resztki z lunchu, Lex kazał Ricky’emu powiedzieć Ryan Gold, że „ma fajne cycki”. Ricky oczywiście to zrobił – nie dlatego że jest dzieckiem bożym specjalnej troski, ale dlatego że takie rzeczy uchodzą mu na sucho, bo jest uważany za takie dziecko – po czym Ryan Gold zrobiła się czerwona i zaczęła płakać. Tak jak ja jest pruderyjną dziewczicą, która jeszcze nie stała się kobietą. Ricky zaczął się śmiać jak robot – „Hi! Hi! Hi! Hi!” – jak zawsze, kiedy jest zdenerwowany albo zdezorientowany. Strasznie mnie to wkurzyło, zwłaszcza że Ricky jest mądry i próbuje zasłużyć na to, by zabrać mnie na bal jedenastych klas. Donna byłaby zrozpaczona, gdybym jej powiedziała, co jej jedyny syn powiedział dziś w stołówce.

Opuszczam Boba na swoją klatkę piersiową. Przystaje biec w powietrzu i żeby mnie pocieszyć, liże mnie pod brodą. Kiedy czuję jego ciężar, mam wrażenie, że jestem mniej samotna, a nawet że ktoś mnie kocha. Brzmi to idiotycznie, ale przecież każdy z nas szuka miłości, tam gdzie się da, prawda? Przynajmniej tak mówi mama.

– Opuuszczasz mi moje winy, ojciec B3? Czy dostanę rozgrzeszenie? Szczeknij raz na „tak”.

– Hau – oznajmia Bob, tak jak go nauczyłam. Dobry z niego psiak, bez kitu.

AA, 2009

Kiedy skończyłam to wypracowanie, przedarłam je na pół i westchnęłam. Było super, ale musiałam je zniszczyć.

Bob odwraca się, przedziera się główką przez warstwy moich bluz i koszulek, po czym wtula się w delikatne pagórki moich niedojrzałych piersi, grzejąc mnie tak, żeby nie podrapać mi brzucha; w końcu jest megadzentelmenem.

Może myślicie, że podarłam wypracowanie, bo była tam spowiedź, czyli coś bardzo osobistego, ale

nie, tak naprawdę ufam mojemu nauczycielowi angielskiego, panu Doolinowi, który poprosił, żebyśmy opisali jakąś historię ze swojego życia. Jest całkiem fajny i pozwala nam, żebyśmy pisali prawdę o sobie. Dzięki temu nasze słowa są autentyczne i jest to super, bo wiem na pewno, że nasza szczerść wkurza niektórych nauczycieli i rodziców, mimo że wszystkie rąbnięte nastolatki starają się nazywać rzeczy po imieniu.

A może myślicie, że podarłam wypracowanie, bo nie chciałam sypnąć mojego przyjaciela Ricky'ego albo tych kretynów z drużyny, ale nie, zupełnie nie przejmuję się kablowaniem na nich, bo kiedy mówi się lub robi odrażające rzeczy w stołówce, i tak wszyscy o tym wiedzą. Prawda?

Nie chciałabym oddać wypracowania, które ośmieszyłoby Ryan Gold, bo jest miłą dziewczyną, ale zrobiłabym to, gdyby chodziło tylko o to – gdy się pisze, trzeba czasem poświęcić uczucia innych, żeby przekazać coś ważnego. Chodzi o wyższe dobro, jak niemal codziennie mawia pan Doolin.

Prawda jest jednak taka, że nie chcę, by ktokolwiek dowiedział się, że mieszkam w Żółtku i że ostatni facet mamy, ten dupek Oliver, wyrzucił nas ze swojego mieszkania, a mama musi zaoszczędzić trochę kasy, zanim będzie nas stać na własny ką. To dość żalosna historia, więc jakoś nie czuję specjalnej dumy z tego, że jestem córką swojej matki. Bezdarność źle na nas wpływa.

Jestem pewna, że są ludzie, którzy by nas przygarnęli, bo Childress to miasto życzliwych ziomali i ziomalek. Jałmużna jest dla kalek i starców, a mama w końcu wygrzebie się z kłopotów. Ja mam Boba, mama pracuje jako kierowca Żółtka, a nasze ciuchy mieszczą się w dwóch schowkach pomiędzy kołami tuż pod oknem, więc jakoś dajemy radę.

Niestety kiedy tak siedzę z wyciągniętymi nogami i B3 na piersi, nie mogę wymyślić żadnego innego tematu – zwłaszcza że moje pierwsze wypracowanie było naprawdę boskie.

W pustym Żółtku jest tak cicho, że można zwariować.

B3 i ja po prostu leżymy przytuleni. Po pewnym czasie uliczne latarnie zaczynają migotać i zapada ciemność.

Przymykam oczy, ale nie mogę zasnąć, dopóki mama nie wróci z połowu. Martwię się o nią.

Wciąż jest ładna.

Źłe rzeczy przydarzają się ładnym kobietom, które mają córki takie jak ja i które nic dla nich nie robią, bo nie mają kasy. Właśnie dlatego desperacko szukają księżąt z bajki. Tylko że księżęta z bajki żenią się z gorącymi laskami w moim wieku – no, może trochę starszymi. Mama ma prawie czterdzieści lat, więc w kwestii facetów ma przerąbane. Czasem lubię sobie wyobrażać, że wychodzi za jakiegoś bogatego staruszka, który będzie się zachowywał jak dziadek, a potem odwinie kitę i zostawi mamie kupę kasy. Byłoby super, ale to się nie stanie. Nie ma szans.

Jest jeszcze coś: w kwestii facetów mama jest wybredna jak narkoman przy wyborze kokainy. Każdy towar przejdzie. Wszyscy bliscy (czyli ja) cierpią, kiedy moja *madre* zabiera się za kolejnego faceta, bo – przyrzekam – zupełnie odejmuje jej wtedy rozum.

Siedzę sama w Żółtku i długo myślę o mamie.

Słabo jej wychodzi macierzyństwo. Beznadziejnie.

Jest kompletnie nieodpowiedzialna i gorzej przystosowana społecznie niż Ricky, u którego zdiagnozowano autyzm, ale i tak ją kocham. Miłość jest spoko. Cieszę się, że mam mamę. Proszę bardzo, możecie sobie mówić, że jestem staroświecka, kliwa albo sentymentalna.

Kiedy słyszę klucz w zamku przednich drzwi Żółtka, zamieram i wstrzymuję oddech.

To pewnie mama.

To musi być mama. A jeśli to nie ona? Znajduję się na ponurym parkingu za miastem, gdzie stoi mnóstwo identycznych szkolnych autobusów zaparkowanych w równych rzędach. Taka symetria potrafi być przerażająca. Po jednej stronie parkingu leżą tory kolejowe, a po drugiej upiorny las. Przy torach

i w lesie dzieją się złe rzeczy, bo niektórzy ludzie są źli z natury i jeśli spuści się ich z oka, zaraz znajdują sobie coś paskudnego do roboty – tak przynajmniej twierdzą ziomy takie jak Herman Melville. Pokazał to na przykładzie czarnego charakteru Claggarta w noweli *Billy Budd*, którą czytaliśmy na przyspieszonym kursie literatury amerykańskiej. Przystojny Marynarz. Młody Budd wylewa zupę na Claggarta w mesie – pan Doolin twierdzi, że ta scena jest metaforą przypadkowego wytrysku spowodowanego homoseksualną żądzą, ale on bez przerwy myśli o seksie i prawie w każdym zdaniu widzi erotyczną metaforę. „Ładne to, co ładny robi”¹. Herman Melville. Spoko rzecz. Ale możecie mi wierzyć, że nie ma nic śmiesznego w nocy spędzonej samotnie w autobusie zaparkowanym między torami a lasem.

Poza tym ostatnio na obrzeżach miasta doszło do kilku gwałtów i morderstw, a policji nie udało się jeszcze złapać sprawców, więc ludzie panikują. I słusznie.

Szaleniec w okolicy – strzeżcie się!

W końcu nie wytrzymuję napięcia i przekreślam swoje szanse na przeżycie spotkania z lokalnym psychopatą – głównie dlatego, że mam tylko siedemnaście lat i jestem dziewczyną. To, że uczę się już w przedostatniej klasie liceum, nie ma tu znaczenia.

– Mamo?

– Amber? Obudziłam cię?

Uf, to mama.

– Nie, jakiś szalony drwal wpadł tu z siekierą, żeby mnie porwać i zrobić ze mnie swoją niewolnicę, ale go wystraszyłaś. Dzięki.

– Bardzo śmieszne.

– Jak się udał połów? Ktoś wpadł do sieci?

– Nie. Nikt.

– Trudno znaleźć porządnego faceta.

– Żebyś wiedziała – odpowiada mama jak sterana życiem prostytutka, która nigdy nie znajdzie swojego księcia z bajki, ale wydaje mi się, że coś ukrywa i stara się brzmieć optymistycznie. Nie chce, by jej córka myślała, że już zawsze będzie spać w autobusie. Doceniam to. Mama miała ciężkie życie.

– Jutro będzie lepiej – odzywam się w ciemności, a mama klepie mnie po czole, jakbym była Bobem. Lubię psy, więc się nie obrażam.

– Czy twój psiak musi jeszcze wyjść, zanim się kimnę?

– Myślę, że Bob chętnie wycisnie kilka kropelek.

– Proszę, nie mów do niego Bob.

– Tak ma na imię.

– Twój ojciec też... Lepiej o nim zapomnieć...

– Nieważne, nasz Bob musi odcedzić kartofelki, a ja mam jutro szkołę, więc czy możemy dać sobie spokój z tym jąkaniem i zająć się psem? Bez niego nie zasnę.

– Chodź, piesku – mówi mama i klaszcze. Bob zeskakuje z mojej dziewczęcej piersi, a po drodze rozciąga dekolty mniej więcej czterech bluzek i drapie mnie w szyję. Uwielbia sikać. To jego ulubione zajęcie.

– Weź smycz! – krzyczę, bo nie chcę, żeby Bob zgubił się w ciemnościach.

– Dobrze – odpowiada mama, ale wiem, że nie użyje smyczy, bo na niej leżę.

Mama bez przerwy mnie okłamuje. Ma z tym jakiś problem. Ciągłe wciska mi jakąś ściemę. A może po prostu znów jest pijana, chociaż to żadna wymówka.

Czasem, kiedy przestaję w nią wierzyć – a ostatnio zdarza mi się to bez przerwy – myślę o siedmiu najwspanialszych chwilach z serii „Amber i jej mama”. To krótkie filmiki, które przechowuję w głowie.

Na wszystkich uwieczniona jest mama, którą znałam, zanim opuściła ją chęć do życia, a Oliver doprowadził ją do depresji, przez co zaczęła tyle pić. Oto najpiękniejsza chwila numer siedem z życia Amber i jej mamy:

W latach osiemdziesiątych, kiedy mama była w liceum, świetnie grała w softball² i pomogła swojej drużynie wygrać mistrzostwa stanowe. To najwspanialsza chwila w jej życiu. Kiedyś wciąż mówiła o softballu. Należała nawet do drużyny w lokalnym barze, która grała w podrzędnej lidze. Często oglądałam, jak mama gra w softball przeciwko grubasom z ogromnymi mięśniami piwnymi i niewyparzoną gębą. W lidze grało tylko kilka innych kobiet, a mama była od nich milion razy lepsza. Tak na marginesie, była też lepsza od większości facetów. Może nie potrafiła zbyt mocno uderzyć piłki, ale wiedziała, jak wybić ją z pola bramkowego, i świetnie sobie radziła na drugiej bazie – nigdy nie popełniała błędów.

Tak czy siak, kiedy byłam małą, mama wmówiła sobie, że zacznie mnie trenować i że zrobi ze mnie taką samą superzawodniczkę. Zabrała mnie do sklepu sportowego i kupiła mi rękawicę, kij, piłkę, czapkę i specjalne buty z korkami, a nawet parę rękawic dla pałkarza, choć o żadną z tych rzeczy nie prosiłam. Od odejścia mojego ojca minęło sporo czasu, a ponieważ nigdy nie miałyśmy zbyt dużo pieniędzy, ten zakup był grubą sprawą. Rozumiałam to już jako mała dziewczynka, więc nie protestowałam, choć nigdy nie chciałam grać w softball.

Następnego dnia mama zabrała mnie i mój nowy sprzęt do parku. Pokazała mi, jak machać kijem oraz jak rzucać i łapać piłkę. Chociaż była naprawdę dobrą trenerką, nie mogłam się w tym wszystkim połapać. Bardzo się starałam, ale czułam się jak kompletna idiotka. Mimo że całymi tygodniami machałam kijem, nie trafiałam w żadną z piłek, które rzucała mi mama. Wszystkie przelatowały mi nad głową albo pomiędzy nogami, a od czasu do czasu uderzały w twarz albo brzuch. Te, które rzucałam, leciały na prawo lub na lewo od mamy albo lądowały jej pod nogami. Nigdy na mnie nie nakrzyczała, ale po kilku tygodniach ciągłych porażek, kiedy stojąc w bazie-mecie po raz miliardowy nie trafiałam kijem w piłkę, wybuchłam płaczem.

Mama opuściła stanowisko miotacza i podbiegła do mnie. Wzięła mnie na rękę i pocałowała w policzek.

– Amber, nie nauczysz się tego z dnia na dzień. Żeby być dobrą softballistką, musisz ciężko pracować. To wymaga treningu. Mnie to zajęło całe lata!

– Ale ja *nie chcę* być dobrą softballistką. Nienawidzę softballu. Naprawdę.

Mama spojrzała mi w oczy. Moje słowa ją zaskoczyły – najwyraźniej nigdy nie przeszło jej przez myśl, że mogłabym nie chcieć grać w softball.

– Już nigdy w to nie zagram! – krzyknęłam. – Nigdy więcej. Nienawidzę tego! Nienawidzę tego wszystkiego!

– Dobrze – odparła mama.

– Co? – zapytałam zaskoczona. Myślałam, że zmusi mnie, żebym próbowała dalej. Tak właśnie zazwyczaj robią dorośli.

– Amber, to tylko gra. Myślałam, że ci się spodoba, ale jeśli nie chcesz grać w softball, to... nie musisz.

– Nie będziesz się na mnie gniewać?

– Dlaczego miałabym się gniewać? – odpowiedziała mama, po czym się roześmiała.

– Bo wydałaś pieniądze na sprzęt, a ja nie chcę grać w softball.

– Jeśli nie chcesz, to nie chcesz. Nic się nie stało.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Zeszliśmy z boiska, w pobliskich delikatesach kupiliśmy podłużne włoskie kanapki i zjadłyśmy je na ławce w parku. Część bułek rzuciłyśmy kaczkom. Cieszyłam się, że siedzę sobie z mamą nad jeziorem i mówię jej o tym, co czuję. Dobrze było wiedzieć, że mogę jej się zwierzyć, a potem i tak karmić z nią kaczki. Naprawdę uwielbiam kaczki. Lubię patrzeć, jak drepczą po ziemi, a ich kwakanie strasznie mnie rozśmiesza. Bez kitu.

Pamiętam, jak promienie słońca rozświetlały powierzchnię jeziora – tak intensywnie, że od spoglądania na pomarańczową wodę bolały oczy.

– Dziękuję, że nie zmusiłaś mnie, żebym grała w softball – powiedziałam, a mama mnie objęła. Nigdy więcej nie namawiała mnie do żadnego sportu, mimo że w ciągu kilku kolejnych lat zjadłyśmy na tej ławce sporo kanapek i nakarmiłyśmy całe stado kaczek. Karmienie kaczek z mamą to moje najcenniejsze wspomnienie.

Kwak, kwak. Kaczki.

Super sprawa.

Wracając do terażniejszości, kiedy mama i B3 zbyt długo nie wracają do Żółtka, mam ochotę wstać i wziąć sprawy w swoje ręce. Chcę się upewnić, że mój najlepszy przyjaciel nie padnie ofiarą zbłąkanego kojota albo innego podstępного mięsożercy, ale Bob wpada do Żółtka, znów nurkuje pod moje bluzki i ogrzewa mi brzuch oraz klatkę piersiową. Wszystko wraca do normy pod kołdrą, którą mama narzuciła na mnie przed wyjściem z autobusu, chociaż zostawiłam ją dla niej na sąsiednim siedzeniu. Mamy tylko jedną.

B3 jest rozgrzany od biegania i trochę lżejszy, bo nie ma już pełnego pęcherza. Słyszę, jak mama zamyka Żółtka i podchodzi do mnie.

– To nie będzie trwać wiecznie, Amber – mówi.

– Mnie tam się podoba. Czuję się jak na biwaku, tylko że zamiast w namiocie śpimy w szkolnym autobusie bez tych kalorycznych pianek, rakotwórczego ogniska i lamerskich piosenek.

– Najadłaś się dzisiaj?

To pytanie doprowadza mnie do szału, zwłaszcza że mama przepuściła dziś pewnie kasę na papierosy i wódkę, nie przejmując się tym, że ani ja, ani Bob nie dostaniemy kolacji. Mama pracuje tylko na pół dziennej zmiany za dziewięć dolarów za godzinę, ale i tak prędzej postawiłaby komuś drinka w jakimś podrzędnym barze, niż kupiła posiłek dla którejkolwiek z nas. To dołujące.

– Muszę dbać o linię – odpowiadam, kradnąc żart Franksowi – ale Bob jadł stek, który zwinęłam ze stołu u Donny.

– U pani Roberts – poprawia mnie mama, bo jak na ironię w kwestii nazwisk ta pijaczka przestrzega właściwej etykiety.

– Jasne – rzucam jak totalna jędza. Potrafię się zachowywać jak zdzira.

Mama czule całuje mnie w czoło i mówi:

– Słodkich snów, kochanie.

Pozbywam się więc frustracji z całego dnia, składam dłonie do modlitwy i cicho wyliczam wszystkich ludzi i psy na świecie, o których wiem, że naprawdę potrzebują wsparcia. Są wśród nich: mama, Bob, Ricky, Donna, Franks, Chad, Jared, Ty, Odźwierna Lucy, Stary Linder (mój trener), Stary Thompson, Joan Sędziwa i wszyscy starzy mieszkańcy domu metodystów, Ojciec Chee, Chrystusowe Diwy z Korei, pan Doolin, Szeregowy Jackson, Miss Jenny, Dyrccio Tony, kadra szkoły średniej i całe miasto Childress – nawet drużyna futbolowa, nawet Lex Pinkston, NAWET mój nieobecny biologiczny ojciec Bob, który być może już nie żyje. Polecam ich wszystkim Jezusowi Chrystusowi – JC – i proszę Boga, by pomógł im wszystkim stać się tym, kim mają być. Potem po prostu słucham oddechu mamy, która śpi na siedzeniu po drugiej stronie przejścia, a w końcu B3 i ja zasypiamy. Śni mi się prawdziwe wyrko,

na którym ja i mój pies pewnego dnia się położymy. Moje przyszłe łóżko będzie miało ogromny materac, może nawet zafunduję sobie taki w typie *queen-size*. Bez kitu.

¹ Herman Melville, *Billy Budd*, przeł. Bronisław Zieliński, Warszawa 1978, s. 61 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Softball – gra zespołowa, której celem jest wybicie piłki i obiegnięcie kolejnych baz rozmieszczonych w narożnikach boiska. Odmiana baseballu.

W Żółtku jest mnóstwo okien, więc nietrudno obudzić się o normalnej porze – ciepłe drobinki słońca docierają wszędzie. Tak bywa w weekendy. Słowo. Ale w tygodniu musimy wstać przed wschodem słońca, żeby żaden inny kierowca, który wcześniej wstaje, nie przyłapał nas na nocowaniu w autobusie. Mama na pewno straciłaby wtedy pracę. Więc wstajemy superwcześnie – na długo przed świtem. Robię to już od dłuższego czasu. Zazwyczaj budzę się sama pomiędzy czwartą trzydziestą a piątą. Ale mama zawsze jest na nogach wcześniej niż Bob i ja, niezależnie od tego, ile wypła.

Dziś mama zaciąga się newportem przed Żółtkiem, a w jej farbowanych blond włosach połyskuje nienackane światło księżycy (moje włosy są naturalnie czarne i podoba mi się, że od czasu do czasu lśnią jak pióra wrony. Bez kitu. Kiedy mama się prostuje, jestem od niej o kilka centymetrów niższa, ale to prawie nigdy się nie zdarza. Moja skóra jest też niesamowicie biała, a jej zrobiła się żółta od papierosów). Pomarańczowa końcówka papierosa żarzy się przy każdym pociągnięciu.

Mama jak zawsze wydycha mentolowy dym przez nos i usta.

Spuszczony ze smyczy B3 przebiega obok niej i wpada w świeżość poranka, w którym nie ma kojotów, lokalnych gwałcicieli-morderców ani tajemniczych potworów. Unosi swoją małą nóżkę i radośnie siusia na przednią oponę autobusu numer 260 od strony kierowcy, znacząc swoje ulubione koło.

– Cześć, mammo – mówię.

– Dzień dobry, kochanie – odpowiada zza ciemnej kotary dymu.

Mama jest naprawdę wychudzona. Jak kościotrup. Bez kitu.

Zastanawiam się, kiedy ostatni raz jadła, ale nie zadaję tego pytania na głos, bo wcale nie chcę znać odpowiedzi – nie chcę też słyszeć jednego z jej głupich kłamstw.

Mama nie tyka jedzenia, które przynoszę jej od Donny.

B3 wyciska kilka kulek kupki wielkości winogron. Przykuca po królewsku z wyrazem determinacji na pyszczku, jak gdyby był minisfinksem, który wymyśla właśnie jakąś superzagadkę. Uczyłam się o sfinksach w pierwszej klasie, kiedy czytaliśmy *Króla Edypa*. Jeśli jeszcze tego nie wiecie, Edyp uprawiał seks ze swoją mamą, co jest naprawdę popieprzone – jeszcze bardziej niż Billy Budd wylewający zupę na Claggarta. W liceum każą nam czytać naprawdę pojechane książki.

Podchodzę do schowka pod oknami po stronie pasażera, dostaję się do podbrzusza Żółtka i wyciągam worek z ciuchami. Wącham je w okolicach pach i krocza, aż znajduję fioletowy sweter z dekoltem w łódkę i parę klasycznych džinsów. Stanik i majtki zmieniłam wczoraj, więc nie zawracam sobie nimi głowy.

Przebieranie się na zewnątrz jest do bani ze względu na mróz i śniegową breję pod stopami. Można z gracją balansować na butach, ale przy wkładaniu spodni skarpetki i tak robią się całe mokre.

Kiedy jestem już ubrana do szkoły (wciąż mam na sobie trzy bluzy zamiast jednego zimowego płaszcza), wchodzę z powrotem do Żółtka, a Bob drepcze za mną w swoim szykownym kraciastym wdzianku. Biorę plecak, wychodzę z autobusu i pytam:

– Zjesz coś dzisiaj, mammo?

– Jasne – odpowiada, zabierając się do świeżutkiej porcji raka w sztyfcie. Zmusza się do uśmiechu, ale spogląda w dal tuż nad moją głowę i nie nawiązuje kontaktu wzrokowego. Boję się, że zacznie płakać, więc całuję ją w policzek i odchodzę. Przenoszę B3 nad siatką, po czym sama przeskakuję przez ogrodzenie parkingu.

Mama przestała jeść w bardzo konkretnym momencie. Potrafię go dokładnie wskazać. To przyjemne wspomnienie, które zamieniło się w koszmar. Oto najpiękniejsza chwila numer sześć z życia Amber i jej mamy:

Dwa lata temu w Święto Dziękczynienia, kiedy Dupek Oliver dopiero odsłaniał swoją prawdziwą twarz, a stan mamy zaczynał się pogarszać, postanowiła przygotować tradycyjny posiłek. Miał być prawdziwy indyk, nadzienie, sosy – żurawinowy i pieczeniowy – wino, świece i wszystko to, co większość ludzi stawia na stole w Święto Dziękczynienia. Może nie brzmi to jak coś wyjątkowego, ale mama i ja nigdy wcześniej nie jadłyśmy prawdziwej świątecznej kolacji, a na składniki poszły wszystkie oszczędności. Nie ściemnam.

Tamtego dnia obudziłyśmy się bardzo wcześnie, żeby wstawić naczynie z indykiem do piekarnika Olivera. Potem zaczęłyśmy przygotowywać dodatki przy dźwiękach płyty Franka Sinatry ze świątecznymi piosenkami. Mama kupiła ją pod wpływem impulsu w sklepie spożywczym, bo uwielbia jego głos.

Tamten poranek – gotowanie z mamą – należy do moich ulubionych wspomnień, bo nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej jak wtedy, gdy słuchałyśmy „niebieskookiego Franka”. Tak mama nazywa Sinatrę.

Oliver wstał z łóżka około dziesiątej i poszedł do sąsiada, żeby się napić i obejrzeć mecz futbolu. Mnie i mamie to nie przeszkadzało, bo cieszyłyśmy się wspólnymi chwilami, a ja od początku nienawidziłam Olivera.

Ładnie nakryłam stół – zrobiłam nawet winietki na imiona w kształcie łabędzi origami – i zapaliłam świece, żeby brudna nora Olivera ożyła i nabrała świątecznego charakteru.

Wczesnym popołudniem indyk był gotowy. Mama posłała mnie po Olivera, a sama kroїła mięso, ale kiedy zapukałam do sąsiada, nikt nie odpowiedział. Przez godzinę czekałyśmy, aż Oliver wróci do domu, w końcu zaczęłyśmy jeść bez niego.

Wiedziałam, że mamie jest bardzo przykro, że Oliver olał jej świąteczną kolację, na którą wydała wszystkie z trudem zaoszczędzone pieniądze i którą tak starannie przygotowała, więc chwaliłam ją za wszystko i nie przestawałam jeść, dopóki nie miałam wrażenia, że zwymiotuję.

Mama ledwo skubnęła jedzenie i po prostu wpatrywała się w talerz, podczas gdy ja wyrzucałam z siebie komplement za komplementem.

Kiedy chowałyśmy resztki do plastikowych pudełek i zmywałyśmy naczynia, Olivera jeszcze nie było.

Usiadłyśmy więc na kanapie i oglądałyśmy telewizję.

Na jednym z niewielu dostępnych kanałów puszczała właśnie *Park Jurajski*. Leżałam zawinięta w koc z głową na kolanach mamy i podziwiałam wszystkie te niesamowite dinozaury, kiedy mama zaczęła płakać. Usiadłam i długo ją przytulałam, a ona płakała i płakała.

Kiedy się uspokoiła, otarła oczy i powiedziała:

– Amber, twoje narodziny były najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała.

W tym samym momencie do mieszkania wkroczył pijany Oliver, a mama poleciała do kuchni, żeby nałożyć mu jedzenie. Przyglądałam się, jak mu nadskakuje i udaje nieporuszoną tym, że ją olał, podczas gdy on napychał swoją zapitą gębę. Obserwując ich z kanapy, zrozumiałam, że nigdy nie pozwolę, by jakkolwiek mężczyzna traktował mnie tak jak Oliver ją. Mama chyba także wiedziała, że nigdy nie będę taka jak ona. Świadomość, że w moim życiu nie będzie miejsca dla kogoś takiego jak Oliver, chyba pomagała jej żyć.

Cieszyłam się, że jestem najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się mamie, choć marzyłam, żeby jej życie było o wiele lepsze. Na zawsze zapamiętam chwilę, kiedy powiedziała mi to wtedy na kanapie przy *Parku Jurajskim*.

Wracając do terażniejszości, kiedy w zimnie idę półtora kilometra do domu Ricky'ego, Bob krąży wokół mnie jak wariat. Ilekroć robię dłuższy krok, wpada mi pod nogi. Wiadomo, jak stuprocentowa dziewczyna lubię udawać, że jestem Dorotką z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, a B3 to Toto i że idziemy drogą z żółtej kostki do Szmaragdowego Grodu. Wyobrażam sobie, że zaraz spotkamy przyjaciół, którzy pomogą nam pokonać Złą Czarownicę. To dość głupia fantazja, zwłaszcza że Judy Garland³ była tak supermegapiękna, a większość chłopaków wolałaby pocałować Blaszanego Drwala – a nawet tyłek Skrzydlatej Małpy – niż wymienić się śliną ze mną.

Ale lubię podskakiwać i śpiewać.

Chyba lubię to najbardziej na świecie.

Tak megawcześnie ulice są opustoszałe, więc wrzucam na luz, śpiewam kilka zwrotek i w wyobraźni ruszam na spotkanie z Czarnoksiężnikiem. Jestem rąbnięta. Bez kitu. Ale przecież nikogo nie krzywdzę, a Bob też uwielbia tę fantazję – kiedy tylko zaczynam śpiewać i podrygiwać, mój psiak wariuje i skacze jak mała futrzana balerina. Co jak co, ale SKAKAĆ to on potrafi – unosi się nawet na metr ponad ziemię, co jest naprawdę niezłym wynikiem. W końcu sam mierzy tylko trzydzieści centymetrów.

W końcu docieram do Ricky'ego, więc otwieram zamek w tylnych drzwiach za pomocą klucza, który Donna dorobiła mi jakiś czas temu.

B3 ma swój kącik obok lodówki, gdzie stoją dwie czerwone miseczki w odcieniach strojów Phillies, bo Ricky, podobnie jak Donna, jest fanem drużyny baseballowej Philadelphia Phillies. Donna rozpieszcza Boba mokrym żarciem z puszki. Nie daje mu żadnego suchego gówna. Nakładam mojemu psiakowi jedzenie, a on radośnie zabiera się do rzeczy. Macha ogonem w tempie samochodowej wycieraczki.

Wyjmuję naczynia ze zmywarki, co zajmuje mi tylko chwilę.

Dziś dzień omlotu, więc wbijam kilka jajek do dużej srebrnej miski, dodaję trochę mleka i błyskawicznie to wszystko ubijam. W szufladzie na warzywa znajduję pomidory, pieczarki i czerwoną paprykę, które siekam jak zawodowiec superdrogimi nożami Donny na grubej desce do krojenia.

Pokrojone jarzyny wrzucam do srebrnej miski.

Dodaję pieprzu, soli, odrobinę sosu chili i kieliszeczek tequili wyciągniętej z barku – to mój najnowszy sekretny dodatek do omlotu. Mam fioła na punkcie gotowania. Alkohol wyparuje, a ponieważ dodałam tylko jeden kieliszek podzielony na trzy porcje, nie ma mowy o upiciu się przed szkołą.

Spryskuję patelnię olejem Pam, pozwalam, żeby się porządnie rozgrzała, a w tym czasie przekrawam pomarańcze i wrzucam je do wyciskarki Donny.

Bob kończy śniadanie, kładzie się na grzbiecie pośrodku kuchennej podłogi i wyciąga nóżki w powietrze, więc widzę jego fiutka. To dość obrzydliwe. Ale nie chcę, żeby miał kompleksy, zwłaszcza że – obok sikania – leżenie na plecach z pełnym brzuszkiem jest jego ulubionym zajęciem, więc udaję, że tego nie zauważam.

Żeby zrobić małą szklanekę soku, potrzeba trzech czy czterech pomarańczy. Zużywam ich dwanaście, by zapewnić sobie, Ricky'emu i Donnie odpowiednią dawkę witaminy C, która ochroni nas przed grypą i innymi francami.

Patelnia nie jest jeszcze dość gorąca, więc idę na podjazd po gazetę, wyjmuję ją z plastikowej folii i kładę na krześle Donny.

Nakrywam do stołu i włączam ekspres do kawy.

Patelnia zaczyna skwierczeć, więc wylewam omletową maź na metalową powierzchnię i rozprowadzam ją tak, żeby ułożyła się w kształt idealnej litery O.

Kiedy wystarczająco się ścina, składam żółte O w D i kilka razy je przerzucam, aż zewnętrzna

strona nabiera złotobrazowej barwy.

– Amber, któregoś dnia będziesz musiała pozwolić, żebym to ja coś dla ciebie ugotowała. Ilekroć schodzę do kuchni i widzę cię przykutą do garów jak niewolnicę, czuję się jak Thomas Jefferson. Odbierasz mi moją mamowatość. Chyba powinnam zacząć pisać jakieś orędzie.

Uśmiecham się do Donny w milczeniu, wciąż trzymając szpachelkę, i potrząsam głową jak idiotka.

Donna jest moją bohaterką – proste.

Czasem, kiedy zachowuje się wyjątkowo super, potrafię się nią tylko zachwycać.

Podziwiam ją bardziej niż kogokolwiek. Chciałabym być Donną. Dorastała po niewłaściwej stronie miasta – tak to się chyba mówi. Jej ojciec był kierowcą ciężarówki, a mama zmarła na raka, kiedy Donna miała siedem lat. Mimo to w szkole szło jej super i zdobyła stypendium na naukę w Bryn Mawr College. To szkoła dla kobiet, które nie potrzebują, żeby faceci się nimi opiekowali. Była świetną studentką, dostała stypendium na Wydziale Prawa na Harvardzie i została prawniczką. Marzyła o dziecku, ale nie chciała mieć męża, więc kupiła trochę nasienia i urodziła Ricky’ego, który okazał się autystyczny. Wcale jej to nie przeraziło, mimo że sperma została ponoć przebadana pod kątem potencjalnych wad wrodzonych. Kocha Ricky’ego jak wariatka i skopie tyłek każdemu, kto podskoczy jej synowi.

Donna jest wysoka jak modelka i ma naturalne blond włosy do ramion. Nosi super garsonki, które są seksowne w profesjonalny, kobiecy sposób. Codziennie wkłada też rewelacyjne szpilki. Mężczyźni muszą za nią szaleć. Jeździ czarnym mercedesem terenówką, w którym mieści się wszystkich pięciu członków Federacji Fantastycznych Fanatyków Franksa. To boska nazwa ekipy, którą wymyśliliśmy ja i moi najbliżsi przyjaciele – sami chłopcy. Wszyscy mieścimy się w terenówce, pod warunkiem że sadzamy Chada komuś na kolanach, a Donna wszędzie nas wozi. Lubi takich nastoletnich porąbańców jak ja i reszta naszej Piątki.

Kiedy zaprzyjaźniłam się z Rickim w podstawówce, Donna zaproponowała, żebym mówiła jej po imieniu, i zawsze robi dla mnie fajne rzeczy, na przykład kupuje Bobowi jedzenie, a kiedy jestem w szkole, pozwala mu czekać u siebie w domu, nawet po tym, jak pogryzł jej skórzaną kanapę – gdy nie ma mnie w pobliżu, mój psiak dostaje ataku paniki.

Poza tym kiedy weszłam w okres dojrzewania i zapragnęłam ładnie wyglądać, podkładałam jej kosmetyki, a Donna używa tylko tych najdroższych. Nie jestem dumna z tego, że podprowadzałam jej rzeczy. Kiedy miałam około czternastu lat, poszłam do łazienki, żeby coś jej podwędzić, i otworzyłam szafkę – znalazłam tam karteczkę z napisem „półeczka Amber”, na której stały kosmetyki tych samych najlepszych marek, jakich używa Donna. Wszystko nowiutkie. Ogarnęły mnie takie wyrzuty sumienia, że zaczęłam płakać, a kiedy Donna mnie usłyszała, weszła do środka, żeby mnie przytulić. Tak bardzo się wstydziłam, że nie puszczałam jej przez co najmniej dziesięć minut. Kiedy przestałam płakać, spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– Kiedy będziesz czegoś potrzebować, po prostu mi o tym powiedz, dobrze?

To wszystko.

Żadnej nagany.

Żadnej groźby, że powie mamie.

Żadnego wpędzania w poczucie winy.

Nigdy więcej niczego nie ukradłam – choćby kartki papieru ze szkoły – i już nigdy tego nie zrobię, niezależnie od tego, jak będzie źle. Nie ściemniam.

Kończę smażyć ostatni omlet, a Donna przegląda dodatek biznesowy w gazecie i mamrocze coś o tym, że wszystkie jej akcje poszły się gonić.

Podziwiam tę kobietę – ma akcje, służbowe garsonki i własny dom. W głębi serca żałuję, że nie jest moją matką. Wiem, że to okropna myśl, ale nic na to nie poradzę.

– Amber Appleton dodaje sos chili do omletu. Tak. Lubi robić omlety we wtorki rano. Tak. Amber Appleton jest bardzo ładna i chciałbym ją pocałować pod jabłonią, bo ma jabłko w nazwisku⁴! Tak.

– Dzień dobry, Ricky – mówię do przyjaciela, który jak w każdy wtorek ma na sobie koszulkę z nazwiskiem Chase’a Utleya i numerem 26.

– Dziś wieczorem Amber Appleton zabierze Ricky’ego Roberta z domu Ricky’ego Roberta, ale on nie wie dokąd, a Mamusia Roberts nie chce mu powiedzieć. Mamusia Roberts nie chce mu powiedzieć dokąd. Tak.

– Dziś wieczorem jedziemy na misję, pamiętasz? – mówię do Ricky’ego, który siedzi już przy stole. Nakładam mu omlet. – A kiedy Federacja Fantastycznych Fanatyków Franka ma do wypełnienia misję, jakie informacje otrzymuje Ricky Roberts?

– Ricky Roberts otrzymuje tylko niezbędne informacje. Niezbędne. Tak – odpowiada Ricky i zabiera się do śniadania. – Niezbędne informacje.

Nie możemy wyjawić Ricky’emu naszych sekretów, bo on zawsze mówi to, co myśli, i nie potrafiłby dotrzymać tajemnicy nawet za cenę życia.

Podnoszę talerz i stawiam go przed Donną.

– Dasz radę dziś pojechać? – pytam.

Wychyla się zza dodatku biznesowego i mówi:

– Jako wasz adwokat radzę wam nagrać przebieg dzisiejszych wydarzeń.

– Ale przecież nie mamy...

– Jako wasz adwokat poczyniłam odpowiednie kroki i zdobyłam kamerę wideo. Będę też osobiście odpowiedzialna za dokumentację wszystkiego, co wydarzy się dzisiejszego wieczoru. – Opuszcza gazetę i spogląda mi prosto w oczy. – Zadbaj tylko o to, żeby chłopcy nauczyli się swoich tekstów. Liczę, że dzięki tobie ta misja zakończy się powodzeniem. W końcu jesteś liderką Piątki, prawda? – Donna do mnie mruga.

Kiedy próbuje mojego omletu, z nerwów prawie robię w majtki.

– Czy w tym jest tequila? – pyta. Kiwam głową i przelękam ślinę. – Nieźle. Mogę prosić kawy?

Pędzę do ekspresu i nalewam Donnie dużą filiżankę. Pije czarną.

– Dzięki – mówi. – Ty nie jesz?

– Mogę najpierw skorzystać z łazienki?

Donna kiwa głową i znów znika za dodatkiem biznesowym. W łazience na piętrze szybko się rozbieram, myję zęby szczoteczką, którą trzymam na półeczce Amber, nitkuję zęby, płuczę je płynem, a potem wskazuję pod prysznic i myję głowę drogą odżywką Donny, żeby moje długie czarne włosy lśniły. Robię to wszystko ekspresowo – nie chcę zużyć za dużo ciepłej wody. Ciepła woda kosztuje. Wycieram się, smaruję antyperspirantem, przyskam perfumami i maluję kosmetykami, które kupuje mi Donna, po czym znów się ubieram i wracam do kuchni. B3 zasnął na małej plecionej macie pod zlewem.

Mam zupełnie mokre włosy, ale ani Ricky, ani Donna nie wspominają o tym, że korzystam z ich prysznic. Ricky przywykł do tego, że traktuję ich dom jak swój, a Donna ma zbyt wielką klasę, żeby poruszyć tak drażliwy temat jak ten, że żyję na jej koszt.

Pożeram omlet, a następnie zmywam naczynia i sprzątam kuchnię, podczas gdy Donna kończy czytać gazetę, a Ricky rozwiązuje równania matematyczne w zeszytach. Jest matematycznym geniuszem. Wyprowadzam Boba na ostatnie siku, po czym całuję go na pożegnanie i zamykam w jego pokoju – nieużywanej sypialni na pierwszym piętrze, gdzie znajduje się jego legowisko, mnóstwo gumowych zabawek, miseczka z wodą, a nawet radio nastawione na stację z muzyką klasyczną, która ma ukoić nerwy Boba. Mój pies uwielbia Chopina. Kiedy tylko jakiś pianista zaczyna łaskotać fortepian, Bob podskakuje jak szalony. Dziś jak co rano zaczyna wyć i drapać w drzwi. Pęka mi serce i mam wyrzuty sumienia, że

drzwi Donny będą całe porysowane, choć powiedziała, że ma gdzieś ten pokój i stać ją na kupno nowych drzwi.

Wskakujemy do jej mercedesa – podgrzewane skórzane siedzenia rządzą. Bez kitu. Bujamy się do piosenek Dinosaur Jr, mało znanego starego zespołu grającego indie rocka. Donna uwielbia nieznane zespoły takie jak Dinosaur Jr. Nawet gust muzyczny ma świetny. Trzy razy słuchamy piosenki *Feel the Pain*, Poczuj ból, bo Ricky bardzo ją lubi. Kiedy dojeżdżamy do szkoły średniej w Childress, Donna wyłącza muzykę.

– Amber, co robisz dziś po szkole?

– O wpół do czwartej spotykam się z Chrystusowymi Diwami z Korei.

– Czy mogłabyś najpierw odprowadzić Ricky’ego do domu?

– Jasne.

– Ricky, będziesz dziś grzeczny?

– Taaak – odpowiada Ricky swoim najzabawniejszym głosem robota.

– Czy będziesz powtarzał brzydkie słowa? – pyta Donna.

– Nieee!

– A co będzie, jeśli to zrobisz?

– Amber Appleton nie pójdzie z Rickym Robertsem na bal. Tak.

– Właśnie. Więc lepiej się zachowuj. Pamiętaj, że wychowałam cię na dżentelmena. – Donna zwraca się do mnie: – Przekaż Federacji Fantastycznych Fanatyków Franksa, że spotykamy się pod moim domem punktualnie o siódmej. Nie mogę odebrać wszystkich indywidualnie, bo cały dzień jestem w sądzie. Sprawa o morderstwo. Ale jeśli nie dadzą ciała i wypełnią misję, po wszystkim pojedziemy do Friendly’s.

– Tak jest – odpowiadam jak ostatnia kretyńka.

– Friendly’s. Lody z posypką. Tak – mówi Ricky.

– Dobrze, muszę już jechać do sądu. Buziak i wypad.

Ricky całuje swoją mamę, podczas gdy ja wyskakuję z samochodu na chodnik. Ricky wysiada z mercedesa, z całej siły trzaska drzwiami i mówi:

– Będę grał w Halo 3 z panem Jonathanem Franksem! Tak! Halo 3!

⁴ Z ang. *apple* – jabłko.

³ Judy Garland – odtwórczyni roli Dorotki w klasycznej ekranizacji *Czarnoksiężnika z krainy Oz* z 1939 roku.

Na pewno chcielibyście wiedzieć, skąd się wzięła nasza Piątka, prawda? Oto jej historia. Wszystko się zaczęło, kiedy Jared i ja oblaliśmy piątą klasę. No dobra, formalnie żadne z nas jej nie oblało, ale zatrzymano nas i przeniesiono do klasy Chada, Ricky’ego i Tya. Jared trafił tam dlatego, że w tamtym czasie okropnie się jąkał i ledwo potrafił dokończyć zdanie bez powtarzania każdej sylaby pierdyliard razy. Bez kitu. A mnie zatrzymano, bo miałam zbyt dużo nieobecności, mimo że oficjalnie zdałam egzaminy – te, do których udało mi się podejść. Kiedy opuści się aż tyle dni nauki, automatycznie zostaje się na drugi rok – tak przynajmniej usłyszałam. Przepuściłam tyle dni, bo mieszkaliśmy wtedy z Fajnym Facetem Geraldem, który okazał się jak dotąd najlepszym partnerem mojej mamy.

FFG był kierowcą ciężarówki i jeździł w długie trasy przez cały kraj, a mama uwielbiała podróżować samochodem. Kiedy nie chciała zostawać bez FFG, prosiła jednego z kierowców autobusu o zastępstwo na minimum tydzień, pozwalała mi opuścić szkołę i ruszyć w podróż przez Stany z FFG w jego wielkiej ciężarówce z czerwonym ciągnikiem siodłowym, którą nazywał Melissa. FFG bez przerwy wyjeżdżał, więc posypało mi się mnóstwo nieobecności.

Kiedy jechaliśmy na zachód, prawie przez całą noc się nie zatrzymywaliśmy, bo Fajny Facet Gerald dostawał więcej pieniędzy za wcześniejsze dostarczenie towaru. Wszyscy podróżowaliśmy w jego szoferce – mama siedziała pośrodku i trzymała nas za ręce – i radośnie przemierzaliśmy amerykańskie autostrady. Prawie jak rodzina. FFG był dość stary i nie mówił zbyt wiele, ale miał dobrą, pomarszczoną twarz – uwielbiał się uśmiechać i mimo że był naprawdę duży, a kędzierzawa siwa broda nadawała mu groźny wygląd, od razu wzbudzał zaufanie. Jak Święty Mikołaj albo ktoś taki.

Kiedy dostarczył ostatnią część towaru, spokojnie wracaliśmy na wschód, a FFG pokazywał nam fajne widoki. Najbardziej mi się podobał Wielki Kanion. Bez kitu. Pojechaliśmy tam w grudniu – wokół kanionu leżał śnieg. Spojrzałam w dół tej pięknej dziury w ziemi i poczułam, że doświadczam przeżycia duchowego. W tej cudownej dziurze było tyle odcieni brązu i szarości, że wszystko przypominało sen. No i te chmury... Miałam wrażenie, że patrzę na coś zbyt pięknego – na cud, od którego można oślepnąć. Chciałam zejść do kanionu i kiedyś to zrobię – słowo – ale wtedy mama się nie zgodziła. Powiedziała, że zimą jest to niebezpieczne, chociaż wiele osób wybierało się w dół z wielkimi plecakami i rakami przypiętymi do butów. Hardcorowcy.

FFG opłacił nam hotel w Arizonie. Kiedy zjedliśmy już kolację w jednej z tych jadłodajni cuchnących starym olejem, poszłam z mamą na spacer. W tym czasie FFG brał prysznic – nie potrafił tego robić, kiedy byłam w pokoju. Twierdził, że to niestosowne. To bardzo szlachetne z jego strony. Zachowywał się jak rykerz z dawnych czasów. Pamiętam, jak mama i ja trzymałyśmy się za ręce i spacerowałyśmy po zapyziałej mieścinie, a kiedy zeszyliśmy z głównego traktu i dotarliśmy na sam koniec puste drogi, mama kazała mi spojrzeć do góry.

Nie puszczając jej dłoni, odchyliłam głowę i obserwowałam, jak mój szary oddech szybuje w kierunku miliarda gwiazd. Ze wszystkich stron otaczały nas maleńkie niebieskie brylanciki przypominające płomienie gazu. Były piękne. Mama i ja stałyśmy po prostu na drodze, bez końca przyglądając się niebu. Panowało straszne zimno, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Patrzenie w zimowe, gwieździste niebo Arizony to najpiękniejsza chwila numer pięć z życia Amber i jej mamy. Nigdy wcześniej nie widziałam tylu gwiazd, i to na zupełnym pustkowiu. Pamiętam, że modliłam się do JC, dziękując mu za te wszystkie gwiazdy, za mamę i za tę chwilę. Byłam mu też wdzięczna za to, że zesłał nam FFG, żebyśmy mogły zobaczyć Wielki Kanion, który – moim zdaniem – jest jednym z najwspanialszych dzieł Boga. To była miła chwila. Bez kitu.

Tamtej zimy odbyliśmy wiele podobnych podróży z FFG, który nie mówił zbyt wiele, ale chyba lubił, gdy byliśmy w pobliżu. Naprawdę myślałam, że okaże się tym jedynym dla mamy – facetem, który się z nią ożeni. Ale któregoś dnia pod koniec roku szkolnego FFG pojechał w jedną ze swoich podróży i po prostu nigdy nie wrócił. Mama czekała na niego przez kilka tygodni, ale po jakimś czasie odwiedził nas właściciel mieszkania i powiedział, że czynsz nie był regulowany od dwóch miesięcy. Wkrótce potem mama i ja wprowadziłyśmy się do jej kolejnego faceta – Stukniętego Craiga, który był tak walnięty, że nie mam nawet ochoty o nim pisać – a FFG stał się jedynie wspomnieniem.

Często zastanawiam się, co się stało z FFG – naszym milczącym przyjacielem, który nas porzucił.

Drugi tydzień piątej klasy, ujęcie drugie. Obca kobieta w falbaniastej bluzce zabrała mnie z lekcji. Na korytarzu powiedziała:

– Nazywam się panna Pohlson. Nie jestem nauczycielką, ale trenerką umiejętności społecznych i zapraszam cię, żebyś dołączyła do naszego wyjątkowego klubu.

– Mam kłopoty? – zapytałam, bo zdawało mi się, że panna Pohlson mnie okłamuje.

– Nie. Dlaczego tak sądzisz? Zrobiłaś coś złego?

– Nie trzeba robić nic złego, żeby mieć kłopoty – odparłam.

Skinęła głową z uznaniem i poprowadziła mnie w stronę małego pomieszczenia na końcu korytarza, które nie miało okien i przypominało dużą garderobę. Niemal całą powierzchnię pokoju zajmował stół. Siedziało przy nim czterech chłopaków – tych samych, którzy ostatecznie mieli się stać *moimi* chłopakami: Federacją Fantastycznych Fanatyków Franksa.

Kiedy usiadłam przy stole i powiedziałam „cześć”, żaden z nich się nie odezwał.

– Chłopcy, to wasza nowa koleżanka Amber Appleton. Nie chcecie się z nią przywitać? – zapytała panna Pohlson.

– Ricky Roberts wita się z Amber Appleton. Cześć. Tak.

– Cz-cz-cz-e-ść.

– Cześć, Amber – rzucił chłopak na wózku.

– Hej – powiedział czarnoskóry nastolatek.

– Poznaj Tya, Jareda, Chada i Ricky’ego. To twoi nowi koledzy, mimo że uczą się w dwóch równoległych piątych klasach. Chcielibyśmy, żebyś dołączyła do naszego klubu – oznajmiła panna Pohlson.

Jedyny czarny chłopak w mieście. Chłopak, który nie potrafi normalnie mówić. Małeńki chłopak z wielką głową, poruszający się na wózku. Upośledzony dzieciak (wtedy nie wiedziałam, czym jest autyzm). I nagle dołączam do nich ja. Może nie byłam wtedy zbyt bystra, ale nawet ja wiedziałam, że wylądowałam w Klubie Świrusów. Nie przeszkadzało mi to, że przyjęto mnie do tego klubu, bo ja także byłam rąbnięta i dobrze o tym wiedziałam – bez kitu – ale martwiłam się, że czekają nas kary, na przykład dodatkowe zadania domowe.

– Co to za klub? – zapytałam.

– Spotykamy się tu dwa razy w tygodniu, żeby grać w gry planszowe – odparła panna Pohlson.

– Dlaczego? – drażyłam. Spojrzałam na chłopców, którzy wbijali wzrok w kolana. – Nie będziemy mieli kłopotów przez to, że opuściliśmy zajęcia?

– Nie lubisz gier planszowych? Możemy zagrać w Monopoly, Scrabble, Life.

– Zwalnia nas pani z lekcji, żebyśmy mogli grać w gry?

– Cóż, ćwiczymy tu także prawidłowe mówienie oraz właściwą interakcję z kolegami – odpowiedziała panna Pohlson.

– Interakcję?

– Granie.

– Więc to jest klub, w którym uczymy się grać ze sobą w gierki?

– Coś w tym stylu – odpowiedziała panna Pohlson. – Tak.

Przez całą podstawówkę i gimnazjum panna Pohlson dwa razy w tygodniu zwalniała naszą Piątkę z lekcji. Czasem graliśmy w planszówki, a kiedy indziej czytaliśmy książki na głos albo po prostu ćwiczyliśmy prowadzenie rozmowy.

Zauważyłam, że poza zajęciami z panną Pohlson nasza Piątka rzadko się odzywa, ale kiedy w nich uczestniczyliśmy, mówiliśmy całkiem dużo, a przynajmniej więcej niż w stołówce, na sali gimnastycznej czy boisku. Może dlatego, że nie otaczało nas zbyt wiele osób, z którymi trzeba by walczyć o to, żeby wtrącić choć słowo. Z czasem bardzo polubiłam chwile spędzane w klasie panny Pohlson, a w końcu rodzice zaczęli organizować naszej Piątce weekendowe i pozaszkolne zajęcia. Nauczyłam się spędzać cały czas w domach moich chłopców i miałam wrażenie, że znamy się od urodzenia. Szybko staliśmy się zgraną paczką. Bez kitu. Zyskałam czterech braci i mnóstwo dodatkowych rodziców, którzy się mną opiekowali. W moim życiu pojawiła się też Donna.

Jared przestał się w końcu jąkać, ale interwencja panny Pohlson nie odniosła żadnego większego skutku poza tym, że zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Nadszedł dzień, w którym musieliśmy się pożegnać z panną Pohlson, naszymi grupowymi zajęciami z umiejętności społecznych oraz budynkiem podstawówki i gimnazjum. Wtedy też – jak za sprawą czarów – posadę nauczyciela marketingu w szkole średniej w Childress otrzymał Franks. Kiedy zaczęliśmy liceum, on także był pierwszorocznikiem (tylko że nauczycielem). To właśnie wtedy nasza Piątka zaczęła z nim spędzać czas. Jared i ja chodziliśmy do niego na lekcje marketingu, a ponieważ Franks był takim supergościem i w czasie zajęć pozwalał nam grać w gry i tak dalej, przed lekcjami i w przerwie obiadowej zaczęliśmy przyprawdzać resztę naszej paczki do jego klasy. I od tego wszystko się zaczęło.

Pozbawiona okien klasa Franksa znajduje się w suterenie naszego liceum i można do niej wejść z zewnątrz, kiedy zejdzie się pod ziemię starymi betonowymi schodami, a następnie siedem razy zapuka do metalowych drzwi. Trzy krótkie stuknięcia. Potem dwa wolne i dwa szybkie. Dzięki temu Franks lub ten, kto znajduje się w środku, wie, że po przeciwnej stronie drzwi stoi członek Koła Marketingowego. Do KM należy tylko pięcioro uczniów szkoły średniej w Childress i tak się składa, że cała piątka tworzy także Federację Fantastycznych Fanatyków Franksa.

Ricky puka, po czym cofamy się o dwa stopnie. Dwie sekundy później Jared otwiera drzwi kopniakiem, bo zamiast klamki mają srebrną zasuwę, i biegiem wraca na swoje miejsce przed jednym z sześciu telewizorów umieszczonych wysoko na stojakach. Każdy z nich podłączony jest do konsoli Xbox, a konsola do reszty za pomocą płątaniny kabli. Ty i Jared siedzą razem przed telewizorem ustawionym najbliżej drzwi wejściowych – wlepiają wzrok w naporzaną kosmitów na ekranie. Po drugiej stronie pomieszczenia Franks siedzi obok superzautomatyzowanego wózka Chada, który nazywamy Das Boot⁵, chociaż nie mamy pojęcia, co to właściwie znaczy. Cała czwórka trzyma piloty i próbuje zabić kosmitów należących do pozostałych graczy w wirtualnym świecie, który za pośrednictwem telewizji zagnieździł się w ich mózgach.

Ricky siada przed wolnym ekranem i włącza trzecią konsolę.

– Ricky Roberts chce, żeby Ty Hendrix i Jared Fox zginęli. Ricky Roberts chce grać w Halo 3 w drużynie pana Jonathana Franksa, bo pan Jonathan Franks jest ulubionym nauczycielem Ricky’ego Roberta. Tak.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – mówi Franks, po czym w wirtualnym świecie dzieje się coś, co sprawia, że Jared i Ty jęczą i łapią się za głowy.

Chad i Franks przybijają sobie piątkę. Ricky wciska guziki na pilocie i wkracza do wirtualnej rzeczywistości.

Mam niewiele czasu – kiedy tylko zacznie się gra, moi chłopcy przepadną, więc mówię:

– Franks, puścimy dziś ogłoszenie Koła Marketingowego?

Koło Marketingowe to właściwie przedłużenie zajęć z marketingu. Tylko raz do roku konkurujemy z innymi szkołami w specjalnych debatach na temat strategii marketingowych i robimy prezentacje przed komisją, za które otrzymujemy punkty. Moi chłopcy, a nawet Franks, wkładają wtedy garnitury, a ja jedną z zabójczych garsonek Donny. Boska sprawa. Jeśli uzbiera się wystarczająco dużo punktów, można wygrać debatę i pojechać na zawody krajowe. My zawsze zostajemy na etapie regionalnym.

Franks stara się nakłonić więcej osób, żeby dołączyły do Koła Marketingowego, bo kiedy przychodzi do lokalnych cięć w budżecie, jego stanowisko jest zagrożone. Lekcje marketingu to przedmiot fakultatywny i mimo że wszystkie miejsca szybko się wypełniają, bo Franks uczy na przykład

marketingu gier komputerowych, tworzenia i promowania filmów oraz – mojego ulubionego przedmiotu – biznesowego aspektu rapu, komitet rodzicielski za nim nie przepada i mało który z rodziców z Childress traktuje go poważnie.

Franks ma tylko metr siedemdziesiąt wzrostu i waży prawie sto czterdzieści kilo, a w dodatku od lat nie obcinał włosów i szpanuje siwym kucykiem. Co gorsza, nosi okulary z fotochromowymi soczewkami, przez które wygląda jak skrzyżowanie Buddy i Lennona (Johna, tego z Beatlesów, nie mylić z Leninem).

– Ty napisz tekst, a ja go przeczytam – rzuca Franks, wlepiając oczy w ekran, gotowy na kosmiczną rozpierduchę z nastolatkami.

– Super – mówię i siadam przy biurku Franksa obok białej tablicy magnetycznej.

– Możesz zjeść pół mojego McMuffina z kiełbasą i jajkiem. Jest w drugiej szufladzie – oznajmia Franks. – Muszę dbać o linię. A w górnej szufladzie jak zwykle znajdziesz mnóstwo m&m'sów.

– Donna mnie nakarmiła – mówię.

– To super – odpowiada.

Mimo rzucanych od czasu do czasu przekleństw i postmorderczych docinków łatwo mi się pisze, kiedy chłopaki grają w Halo 3. Gra pochłania ich do tego stopnia, że wszyscy siedzą cicho.

W tej grze Ricky nigdy nikogo nie zabija i nikt nie zabija jego, bo zdiagnozowano u niego autyzm. Lubi po prostu biegać sobie po wirtualnym świecie i stimować⁶. Naprawdę uwielbiam moich chłopaków za to, że im to nie przeszkadza i że pozwalają Ricky'emu grać w Halo 3 w jego własny, pacyfistyczny sposób. Moi chłopcy to dobrzy ludzie. Bez kitu.

Piszę więc odjechane ogłoszenie dla Koła Marketingowego, tak żeby Franks brzmiał nowocześnie, a jednocześnie w czasie porannych ogłoszeń nie wstydził się go przeczytać przez szkolne radio – jeszcze nigdy nie zrobiłam z niego idioty. Napisanie ogłoszenia nie jest łatwe, bo Franks nie odczyta na głos wulgaryzmu ani niczego podobnego, więc wstawianie przekleństw byłoby tandetne, bezsensowne i niegrzeczne. Jestem już w połowie, kiedy podnoszę wzrok i spoglądam na duże zdjęcie w ramce umieszczone na biurku Franksa. Jego drobna rudowłosa żona o wrednym wyglądzie stoi na plaży w otoczeniu szóstki małych rudowłosych dzieci. Głowa Franksa wystaje z piasku u ich stóp – duża głowa, małe okularki. Zakopali go po szyję, a ktoś inny zrobił im zdjęcie. Myślę o tym, co by się stało z dziećmiakami Franksa, gdyby wyleciał z pracy – wszystkie mają mniej niż dziesięć lat.

– Joł, Franks! – rzucam, ale on nie odpowiada, bo gra w tę durną grę wideo. Wiem jednak, że mnie słyszy, więc mówię: – Idziesz dzisiaj na zebranie rady szkolnej?

Cisza.

– Franks?

Odgłos guzików błyskawicznie wciskanych chłopięcymi kciukami.

– FRANKS!

– To sprawy z tego świata – odpowiada. To jego odpowiedź na wszystko. Chce przez to powiedzieć, że przejmuje się tylko tym, co wydarzy się po śmierci, gdy Bóg zabierze go do nieba. On też jest katolikiem i na maksa ufa JC.

Ja też ufam JC, ale wiem również, jak to jest mieszkać w szkolnym autobusie.

– Może powinieneś iść, Franks. Pomyśl o swoich dzieciakach, stary – mówię, bo dzisiaj ma zapaść decyzja w kwestii obcięcia funduszy na zajęcia z marketingu. Jeśli do tego dojdzie, pod koniec roku Franks straci pracę. Ale spokojna głowa. Nasza Piątka do tego nie dopuści. Opracowaliśmy zabójczy plan. Mamy do wykonania misję.

Moi chłopcy, wszyscy poza Rickym, rzucają mi nerwowe spojrzenia, bo nie chcą, by Franks się dowiedział, co dla niego robimy – wolą pozostać anonimowymi dobroczyńcami. Unoszę dwa kciuki, wiem, co robię.

– Moja rodzina nigdy nie zaznała głodu – odpowiada Franks jak człowiek, który nigdy nie chodził głodny, bo nie wie, jak to jest być bezdomnym. Ale wszystko gra. Nie pozwolę, żeby Franksowi i jego małym rudzielcom przytrafiło się coś złego.

– Mogę cię dziś uściskać, Franks? – rzucam. Chciałam się przytulić do Franksa, odkąd poznałam go na zajęciach z marketingu fast foodu.

– To wbrew regulaminowi szkoły – mówi.

– Kiedyś porządnie cię uściskam. Na miśka.

– Może kiedy skończysz liceum – odpowiada, a Ty i Jared znów zaczynają jęczeć. – Niepokonani czempioni Halo 3. Nasza dobra passa trwa, stary!

– I kto tu rządzi? – oznajmia Chad ze swojego wózka.

Chad i Franks przybijają sobie piątkę, stykają się łokciami, po czym znów przybijają piątkę. Zachowują się jak totalni faceci.

Kiedy kończę ostatni wers w ogłoszeniu Koła Marketingowego, rozlega się dzwonek, który sygnalizuje, że przerwa skończy się za pięć minut. Staję przy drzwiach, a gdy chłopcy wychodzą, wręczam każdemu po papierowym łabędziu origami. Każdy z nich zawiera zakodowane instrukcje dotyczące miejsca i godziny spotkania oraz indywidualne przemówienia na dzisiejszy wieczór – wszystko mojego autorstwa. Dwa lata temu Jared wymyślił nasz szyfr i wszyscy się go nauczyliśmy (chodzi o to, by każdą literę zastąpić kolejną, więc A zapisane jest jako B, B jako C i tak dalej. Nie jest to może mistrzowskie zabezpieczenie, ale większość kretyńców z naszej szkoły nie ma pojęcia, o co w tym chodzi. Bez kitu). Kiedy wychodzą z klasy Franksa, klepię każdego z nich w tyłek jak trener futbolu. Moi chłopcy rumienią się wtedy i uśmiechają. Chada muszę szczypać w policzek, bo siedzi w zmotoryzowanym wózku inwalidzkim, ale on też się czerwieni.

– Ricky Roberts też chce dostać wiadomość zakodowaną w papierowym łabędziu...

– Jakie informacje otrzymuje Ricky Roberts? – pytam.

– Otrzymuje tylko niezbędne informacje. Tak.

– Za pięć minut musisz być w swojej klasie – oznajmiam i Ricky odchodzi.

Wracam do kryjówki Franksa, wręczam mu ogłoszenie Koła Marketingowego i mówię:

– Przeczytaj to przez megafon. O ile starczy ci odwagi.

– Spoko – odpowiada Franks z uśmiechem.

– Uścisk?

– Do klasy – mówi i unosi pulchne ramię. Przybijam mu piątkę w czerwoną dłoń i idę na lekcje.

„Siema, ziom, podkreć fonie! Klub Marketingowy jest przy mikrofonie! Mamy metę w piwnicy, a nasza ekipa to megazawodnicy. Z Franksem trzymamy sztamę i codziennie zgłębiamy reklamę! Jeśli czaisz bazę i na marketing masz fazę, dołącz do naszego koła, a nie załapiesz doła!

Nara, ludzie! Powodzenia w budzie!”

Siedzę w swojej klasie i uśmiecham się do siebie. Franks odczytał moje ogłoszenie słowo w słowo, tak jak obiecał. To honorowy facet, który zawsze dotrzymuje obietnic, co w dzisiejszym świecie zdarza się rzadko – zdążyłam to zaobserwować w ciągu siedemnastu okrążeń wokół ognistej kuli na niebie (mowa o słońcu, ziom!). Wszyscy wokół mnie rozmawiają i nie zwracają uwagi na ogłoszenia. Nawet moja wychowawczyni pani Lindsay ma je gdzieś. Wiem jednak, że w szkole jest co najmniej czterech chłopców siedzących w swoich klasach, którzy umierają ze śmiechu, słuchając mojego komunikatu i boskiej recytacji Franksa. Dla nich jest to być może jedyna szansa, żeby się dziś pośmiać. Ogłoszenie da Federacji Fantastycznych Fanatyków Franksa niezłego kopa i pozwoli im przetrwać ten dzień. „Zachowaj nadzieję przy życiu”. Jesse Jackson wypowiedział chyba właśnie to zdanie, kiedy w latach

osiemdziesiątych kandydował na prezydenta. Poznaliśmy ten supercytat na historii Stanów Zjednoczonych kilka miesięcy temu.

Dzień mija bez zakłóceń – męczący hiszpański, beznadziejny WF, rozwlekła matma, nudna chemia – a jako że w poniedziałki i we wtorki Ricky się socjalizuje, zamiast w klasie Franksa jemy obiad w stołówce. Ludzie z Wydziału do spraw Edukacji Specjalnej uważają, że Ricky powinien się integrować z pozostałymi uczniami. Świetny pomysł, drodzy pracownicy Wydziału do spraw Edukacji Specjalnej. Szkoda tylko, że nie macie pojęcia, jak okrutne potrafią być nastolatki w stosunku do dzieciaków specjalnej troski takich jak Ricky Roberts.

Stoję w kolejce do bufetu i pilnuję Ricky’ego – chronię mojego chłopca. Lex Pinkston szturcha mnie w plecy i wykasłuje obrzydliwe dwusylabowe określenie kobiety, którego nie zamierzam nawet powtarzać. Udaje, że zakrywa usta ręką i kaszle, bo jest kretynem, ale i tak wiadomo, że wypowiada najgorsze z możliwych przekleństw.

– Nawet nie wiesz, jak ona wygląda – mówię.

– Widziałem ją u twojej mamy – odpowiada Lex otoczony pięcioma idiotami z drużyny futbolowej. – Wszyscy w mieście ją widzieli.

Uderzam go w twarz tak mocno, że jego głowa odskakuje w bok – PLASK! – i uśmiecham się, chociaż jestem katoliczką, a JC nie popiera przemocy.

Lex przykłada rękę do twarzy. Ten dupek nie może uwierzyć, że go spoliczkowałam.

Kretyni z drużyny są w totalnym szoku, rozdziawiają gęby i łypią oczami.

Ricky krzyczy:

– Hi! Hi! Hi! Hi!

Zjawiają się dyżurni, rozdzielają nas i nagle trafiam do gabinetu Dyrcia Tony’ego, który kończy właśnie jakąś głupią rozmowę telefoniczną. Kiedy odkłada słuchawkę, spogląda na mnie zza swojego ogromniastego biurka przypominającego okręt bojowy i pyta:

– Co znowu?

– Rozgrywający z pana drużyny nazwał mnie obrzydliwym dwusylabowym słowem określającym kobietę, którego nie powtórzę, a potem dał mi do zrozumienia, że uprawiał seks z moją matką, więc trzasnęłam go po mordzie – mówię, po czym dodaję: – Dyrciu Tony.

– Dla ciebie Dyrektorze Fiorilli, młoda damo.

– Niech pan da spokój, Dyrciu, drzwi są zamknięte. Nikogo oprócz nas tu nie ma – tłumaczę drobnemu mężczyźnie, bo jest słaby i daje się wziąć pod włos, jeśli odpowiednio się z nim poflirtuje. Nie chodzi tu o żadne uwodzenie, tylko o rozmowę w klimacie ojciec–córka.

Robi się czerwony i wiem, że połknął haczyk.

– Słyszałem, że wczoraj kopnęłaś go w goleń. Jego ojciec dzwonił na skargę i...

– Lex Pinkston to zły chłopak, który...

– Doskonale wiem, kim jest Lex Pinkston i jego ojciec...

– Wczoraj się za pana modliłam, Dyrciu Tony.

– Tak? – Nie wie, co odpowiedzieć. Rozdział Kościoła i państwa, te sprawy. To szkoła publiczna. – A dlaczego się za mnie modliłaś?

– Modlę się za pana co wieczór. Bez kitu.

– Dziękuję – odpowiada i znów się rumieni.

– Kiedy zacznie pan chronić dobrych ludzi ze szkoły średniej w Childress?

– Co według ciebie miałbym zrobić?

– Wyrzucić z niej Leksa Pinkstona.

- Za co?
- Za to, że jest szatanem.
- To nie takie proste.
- Więc przyznaje pan, że Lex Pinkston jest szatanem?
- Powiedziałem tylko, że to nie takie proste.
- Właśnie że tak.

– Po pierwsze, pan Pinkston jest członkiem rady szkolnej i musimy być ostrożni, kiedy... Zaraz, zaraz... *Dlaczego tłumaczę się siedemnastolatce?*

- Powiem panu tylko jedno, Dyrziu Tony, i zaraz stąd spadam.

Patrzę mu w oczy i widzę, jak przełyka ślinę. Lubi mnie i wie, że Leksa Pinkstona należy od czasu do czasu kopnąć w goleń i sprać po gębie, choćby po to, żeby zachować równowagę sił wśród uczniów i żeby zło nie wymknęło się spod kontroli. Szef to widzi, bo w głębi serca to dobry człowiek, mimo że zachowuje się jak mięczak, który gra na dwa fronty, żeby zyskać polityczne poparcie. Tak jak Billy Budd Dyrzio Tony potrzebuje Kapitana Vere'a⁵, który obroni go przed złymi ludźmi. Jestem jak trochę sprytniejszy, mniej rozmarzony, mniej naiwny Kapitan Vere. Pani Kapitan Appleton, do usług. Bez ściemy, ziomale.

– Dobry z pana człowiek, Dyrziu Tony – mówię. – Wierzę, że w końcu zrobi pan porządek w naszym liceum i ochroni zwykłych uczniów przed samolubnymi interesami członków rady szkoły takich jak pan Pinkston. Stawiam na pana, Dyrziu Tony. *Stawiam na pana.*

Wstaję i ruszam w stronę wyjścia.

– Nie możesz napadać na uczniów w budynku mojej szkoły, Amber. Nie zamierzam znosić twojej niesubordynacji...

– Niech pan spojrzy w swoje serce, Dyrziu Tony. Dobrze pan wie, co robić. Wierzę w pana. I co wieczór się za pana modłę.

Wychodzę z gabinetu. Stara jak świat, pomarszczona sekretarka pani Baxter maluje się najbardziej jaskrawoczerwoną szminką, jaką kiedykolwiek widziałam u kobiety, a z tymi swoimi niebieskimi włosami i bladą cerą wygląda jak amerykańska flaga.

- Jak poszło? – pyta.

Pani Baxter to dość miła kobieta i chyba mogę powiedzieć, że jest fanką Amber Appleton.

- Modłę się za pani szefa – mówię. – Ma wpływ na to, co się dzieje w tej szkole.

- Gdyby tylko miał jaja – szepcze, osłaniając dłonią swoje stare usta, tak że tylko ja je widzę.

– Niech żyje rewolucja, pani Baxter! – wołam, kiedy wypisuje mi usprawiedliwienie, a następnie zbiegam po dwóch kondygnacjach schodów. Nie chcę się spóźnić na przyspieszony kurs literatury amerykańskiej u pana Doolina. Uczymy się tam o obywatelskim nieposłuszeństwie i o tym ziomalu Henrym Davidzie Thoreau. Podziwiam go, bo był hardcorowcem i nawet poszedł do więzienia za swoje poglądy, a to całkiem niezłe o nim świadczy. Bez kitu.

⁵ Z niem. – kóź, okręt.

⁶ U osób autystycznych stímowanie oznacza powtarzające się ruchy ciała i specyficzne zachowania, takie jak trzepotanie, kołysanie i kręcenie się lub powtarzanie danych słów i fraz.

⁷ Jeden z bohaterów noweli *Billy Budd* Hermana Melville'a.

Mam dziś zajęcia praktyczne z umiejętności społecznych, na których szyję sobie sukienkę na bal. Potem nudna historia. Po lekcjach stoję przy szafce Ricky'ego.

– Amber Appleton uderzyła Leksa Pinkstona w TWARZ. Niegrzeczna dziewczyna! Niegrzeczna dziewczyna! Niegrzeczna dziewczyna!

– Jeśli się nie uciszysz, zacznę cię gilgotać.

– Nie! Ricky Roberts nie lubi gilgotania. Żadnego gili-gili.

Wiem, że Ricky żartuje, bo uwielbia gilgotki. Łaskoczę go mocno pod pachami, a on pochyła się i krzyczy: „Hi! Hi! Hi!”, aż jakiś brodaty nauczyciel, którego nie znam, wychodzi ze swojej klasy i pyta, czy wszystko w porządku.

– Miodzio – informuję brodatego.

– Amber Appleton to moja najlepsza przyjaciółka. Robi omlety z tequilą i zabiera mnie na misje, a ja wezmę ją na bal w limuzynie. Tak – oznajmia Ricky.

Brodacz z powagą kiwa głową – jak gdyby Ricky powiedział mu, że powinien oddać swoją nerkę prezydentowi, bo jest to jego obywatelski obowiązek czy coś w tym stylu – po czym wraca do swojej klasy.

Prawdę mówiąc, wielu nauczycieli boi się Ricky'ego, który czasem dostaje szału i bije się pięścią po głowie, a wtedy robi się dość nerwowo.

W drodze powrotnej do domu Donny Ricky liczy na głos, a ja wystawiam twarz do popołudniowego zimowego słońca.

Bob zawsze sika z radości, kiedy znów jesteśmy razem, więc odrywam kilka kawałków ręcznika papierowego z rolki i wypuszczam go z pokoju. W wykładanym kafelkami korytarzu okrąża mnie siedem razy, jakby przez cały dzień wciągał kokainę, po czym sika na podłogę, a ja wycieram żółtą kałużę i całuję B3. Próbuje wsunąć mi język do ust, ale mu się to nie udaje.

Podaję Ricky'emu całą tackę ciasteczek figowych i niebieski napój Gatorade.

Zabrał się już do odrabiania zadania domowego z matmy, bo ma fioła na punkcie tego przedmiotu.

– Muszę iść na spotkanie z CDK – mówię, ale on nie podnosi wzroku znad zeszytu. – Wrócę, żeby przygotować kolację, dobrze?

– Ricky Roberts odrabia matematykę. Nie mów do Ricky'ego Roberta, kiedy Ricky Roberts odrabia matematykę.

– Spoko – rzucam, po czym B3 i ja wychodzimy. Zamykam za nami drzwi. Ricky może rozwiązywać zadania matematyczne bez końca, więc nie boję się zostawić go samego.

Wyprowadzam z garażu wyposażony w dziesięć przerzutek rower Donny i wkładam B3 do przytwierdzonego do kierownicy koszyka, który dla niego kupiła. Mieści się w nim idealnie, tak że wystaje mu tylko głowa. Wygląda megasłodko.

Prujemy przez zimne styczniowe powietrze, opuszczamy miasto, przejeżdżamy tory i wjeżdżamy do slumsów. Mnóstwo tu bezdomnych, którzy często się na mnie gapią, kiedy mijam ich na rowerze.

Za pierwszym razem strasznie się bałam, bo wyglądało tak, jakby ci ludzie chcieli mnie zabić, ale od tamtego czasu nauczyłam się małej sztuczki.

Ileć ktoś patrzy na mnie tak, jakby chciał mi skopać twarz, spoglądam mu w oczy, uśmiecham się szeroko, macham i wołam: „Miłego dnia!”. Najbardziej zwariowane w tym wszystkim jest to, że ten trik

naprawdę działa. Jeśli mi nie wierzycie, spróbujcie sami. Nawet ludzie, którzy wyglądają na strasznie wrednych, najpierw wydają się dezorientowani, ale po chwili pojawia się uśmiech i zazwyczaj odmachują i mówią coś miłego, na przykład: „Niech cię Bóg błogosławi” albo „Wzajemnie!”. To fajna sztuczka i megafajny sposób na życie, jeśli jest się tak zakręconym na punkcie religii jak ja. Słowo.

Dziś krzyczę: „Miłego dnia!” osiem razy i w zamian dwa razy słyszę: „Dziękuję!”, jeden raz: „Jezus cię kocha!”, dwa razy: „Daj czadu, dziewczyno!”, dwa razy: „Wzajemnie!” i jeden raz: „Gorąca z ciebie rowerzystka! Pedałuj, pedałuj!”, co mnie rozśmieszyło, bo facet, który to krzyknął, musiał mieć z dziewięćdziesiąt siedem lat.

W końcu docieram do koreańskiego kościoła katolickiego. Mieści się w dawnym sklepie obuwniczym, który przekształcono w Dom Boży wciśnięty pomiędzy McDonalda i sklep monopolowy. Ojciec Chee w stroju, w którym wygląda jak pingwin, czeka na mnie przed budynkiem, bo mężczyźni przesiadujący przed sklepem mówią do mnie czasem brzydkie rzeczy, a życzenie im miłego dnia nic nie daje.

Z Ojcem Chee spiknął mnie szkolny pedagog. Twierdzi, że muszę odbębnić mnóstwo prac na rzecz lokalnej społeczności, żeby dostać się do Bryn Mawr College, gdzie chciałabym studiować angielski, bo jeśli skończy się studia na tym kierunku i ma się dobre wyniki, można iść na prawo. Tak przynajmniej zrobiła Donna. Ale prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie spełnianie warunków dotyczących wolontariatu, które są z tego świata, jak mawia Frank. Chcę studiować na Bryn Mawr, ale to, co robię z Ojcem Chee, stanowi część mojej praktyki religijnej. Niektórzy mogą się z tego śmiać, ale naprawdę wierzę w to, co robimy z OC. Serio. Modliłam się o szansę, żeby pomóc ludziom, którzy najbardziej tego potrzebują, bo to właśnie chciałabym robić w życiu – pomagać potrzebującym, tak jak nakazał JC.

Mniej więcej rok temu Ojciec Chee skontaktował się z naszym liceum. Szukał kogoś, kto pomógłby opanować angielski kobietom z jego kościoła, które chciały się nauczyć języka. Z początku próbowałam po prostu uczyć je słownictwa, gramatyki i takich tam, ale było to dla nich tak nudne i dołujące, że stanęłam przed wyborem: mogłam wymyślić jakąś odlotową alternatywę albo zrezygnować. Wierni kościoła Ojca Chee mają szczęście, bo jestem całkiem niezła w wymyślaniu takich odjazdowych bzdetów. Poza tym OC i ja lubimy ze sobą pracować – stanowimy zgrany zespół – i odkąd zastosowałam nową metodę nauczania, liczba uczestników mojego kursu wzrosła ponad dwukrotnie.

Ojciec Chee przytrzymuje mi otwarte drzwi, a ja wjeżdżam rowerem Donny prosto do kościoła.

Mój ksiądz zamyka za nami budynek, co jest dosyć dziwne, bo to w końcu Dom Boży.

– Witaj, Bob – mówi, poklepując B3 po łebku. Pies liże jego rękę, bo są facetami, po czym OC wyciąga psa z koszyka, żeby po męsku go przytulić. To jest w porządku, bo B3 uwielbia przytulać ludzi Boga.

Mój pies jest katolikiem. A jeśli powiecie, że psy nie mają duszy, przez co nigdy nie pójdą do nieba, spuszczę wam łomot. Bez kitu.

Może – zanim opowiem o Chrystusowych Diwach z Korei i Ojcu Chee – chcielibyście wiedzieć, jak to się stało, że zostałam megapobożną katoliczką?

Jedyną rzeczą, jaką mój ojciec Bob mi zostawił, zanim odszedł, była seria książek dla dzieci pod tytułem *Jezus był gwiazdą rocka*. Składały się na nią wielkie książki z obrazkami dla dzieci – w serii znajdowało się dwanaście tomów – a w każdej z nich opisana była jedna z odjazdowych przygód Jezusa na Ziemi, jak dał czadu na świecie oraz jak został ukrzyżowany za to, że był taki fajny. Te książki są rewelacyjne, bo Jezus zawsze czynił cuda, takie jak zamiana wody w wino i chodzenie po wodzie, a nawet wskrzeszanie ludzi, a to coś naprawdę mega. Poza tym na obrazkach Jezus był bardzo przystojny (wyglądał trochę jak Jack White z The White Stripes) i nosił długie włosy jak gwiazda rocka. JC zawsze miał wokół siebie świętę, nigdy nie wpadał w szal, kiedy ludzie nie spełniali Jego oczekiwań lub coś poszło nie tak. Zawsze był wcieleniem spokoju – wszystkich kochał i ratował ludzi takich jak mama i ja,

o których nikt się nie troszczy.

Najbardziej mi się podobało, kiedy powstrzymał tłum przed ukamienowaniem prostytutki. Pewnie już to słyszeliście, ale ci wszyscy faceci naprawdę zamierzali rzucać w tę babkę kamieniami. Chcieli wgnieść jej czaszkę i zatłuc ją na śmierć, ale Jezus zastosował mentalną sztuczkę w stylu wojowników Jedi i po prostu zaczął pisać słowa na piasku, aż ci wredni faceci to zauważyli i zapytali, co robi. Wtedy Jezus – wyluzowany jak gwiazda rocka – powiedział, żeby ten, który jest bez grzechu, pierwszy rzucił w kobietę kamieniem. Mężczyzn ogarnęły wyrzuty sumienia, zgłupieli i odeszli. To najlepszy moment tej opowieści. Jezus nie musiał nawet podnosić głosu, nie wspominając o stosowaniu przemocy. Kto by pomyślał, że wystarczy zapisać kilka słów na piasku? W dodatku JC nawet nie krzyczał na prostytutkę za to, że uprawiała tyle seksu. Po prostu ocalił ją i powiedział, żeby dobrze żyła, a to bardzo fajne z Jego strony. Żadnego wpędzania w poczucie winy ani nic takiego.

Wciąż mam książki z serii *Jezus był gwiazdą rocka* – kartki są zniszczone, bo tyle razy je czytałam. Powaga.

Mama nigdy za bardzo nie wkręciła się w Jezusa, może dlatego że mój tata był Jego wielkim fanem, a i tak złamał mamie serce. Roztrzaskał je na drobne kawałki, kiedy zostawił ją samą z noworodkiem i masą beznadziejnych facetów.

Więc mama nigdy nie wzięła mnie do kościoła.

Kiedy byłam w ósmej klasie, Ty narzekał na to, że jego mama zmusza go do chodzenia na katechezy o Jezusie, żeby mógł się stać członkiem Kościoła katolickiego i nie wylądował w piekle. Zapytałam, czy mogę iść z nim, a to bardzo ucieszyło panią Hendrix. Zaczęłam więc chodzić z Tyem na lekcje o Jezusie do kościoła Świętej Dymfny – starej świątyni z zabójczymi witrażami, gdzie stały wiekowe drewniane ławki wyściełane wygodnymi czerwonymi poduszkami i ogromne organy, od których mogą pęknąć bębenki. W kościele Świętej Dymfny jest właściwie wszystko.

Tylko że tamtejszy ksiądz, ojciec Johns, opowiadał o Jezusie same bzdury. Bez przerwy powtarzał, jak to Jezus będzie nami zawiedziony, jeśli zgrzeszymy lub nie spełnimy wystarczającej liczby dobrych uczynków. Z jego słów wynikało, że Syn Boży przypomina raczej złośliwą, nadętą starą babę, a nie gwiazdę rocka. Ale powiedział też coś, co trafiło w mój czuły punkt – że pójdziemy do piekła, jeśli nie wstąpimy do Kościoła katolickiego, nie zaczniemy się udzielać dobroczynnie i prowadzić dobrego życia. To mnie trochę przeraziło. Dlatego właśnie zostałam prawdziwą katoliczką.

Oczywiście zostałam ochrzczona, poszłam do spowiedzi i przystąpiłam do Pierwszej Komunii razem z tymi wszystkimi maluchami, których rodzice są dobrymi katolikami i nie pozwolili, by ich synowie i córki poszli do gimnazjum przed Pierwszą Komunią. Tak więc Ty i ja staliśmy się członkami Kościoła, a jego rodzice obserwowali to wszystko z dumą. Pani Hendrix wszystko mi ufundowała – z okazji tego ważnego dnia kupiła mi nawet białą sukienkę i buty. Na bierzmowanie wybrałam sobie imię Maria – przyznaję, że niezbyt to oryginalne – a potem poszliśmy na uroczyste przyjęcie do Hendriksów, gdzie krewni Tya wręczyli mi prezenty, bo stałam się oficjalnie katoliczką.

Mama nie chciała oglądać, jak mnie chrzczą ani przyjmują do wspólnoty Kościoła – prawdopodobnie dlatego, że mój religijny ojciec ją zostawił.

Mniej więcej przez rok co tydzień chodziłam do kościoła z Hendriksami, ale potem z jakiegoś powodu po prostu przestałam. Chyba dlatego, że ksiądz strasznie mieszał w historiach o Jezusie – opowiadał o Nim tak, jakby Jezus był aroganckim nudziarzem, który nie miał w sobie ani odrobiny rock and rolla, a przecież wszyscy wiemy, że to nieprawda. Kiedy chodziłam do kościoła, nic nie czułam, a równie dobrze mogłam czytać o Jezusie w domu i modlić się gdziekolwiek, więc po prostu przestałam chodzić na msze. Myślę, że mama Tya była naprawdę zawiedziona, ale religia i JC nie są po to, żeby robić wrażenie na czyichś mamach. Bez kitu.

Zamierzałam iść do innego kościoła, żeby sprawdzić, czy inaczej mówią tam o Jezusie, ale wtedy

poznałam Ojca Chee i natychmiast zrozumiałam, że znalazłam sobie księdza na całe życie. Powaga. OC rządzi – tak jak Jezus.

W kościele Ojca Chee znajduje się małe pomieszczenie, w którym można powiesić płaszcz – tam właśnie wprowadzam rower Donny – a nieco dalej zaczyna się świątynia. Na samym środku nad małym ołtarzem i prostą amboną wisi wielki krzyż. Ściany zbudowane są z pustaków pomalowanych żółtą farbą w odcieniu wymiocin. Nie ma tu żadnych okien ani ławek, tylko długie białe świetlówki na suficie – takie, które wyglądają jak miecz świetlny – oraz rzędy beżowych składanych krzeseł zajmowanych przez kilkanaście Koreanek. Kiedy tylko wchodzę do kościoła, wszystkie zrywają się z miejsc i rozplývają w uśmiesach.

Nie chcę się chwalić, ale dla tych ludzi jestem prawie jak gwiazda rocka.

Oto co się dzieje, kiedy tylko przekraczam próg koreańskiego kościoła katolickiego:

Każda z członkiń Chrystusowych Diw z Korei mocno mnie ściska i wypowiada po angielsku zdanie, które im zadałam. Pod koniec każdego zajęcia uczę je nowego zdania, które przepisuję kilkanaście razy, bo nie mam dostępu do kserokopiarki. Ojciec Chee zazwyczaj tłumaczy im to na koreański. Wprawdzie można by to uznać za oszustwo, ale chcemy, żeby CDK odrobiły pracę domową, a ich angielski się poprawił i żeby zaczęły się integrować z całą Ameryką i tak dalej.

W zeszłym tygodniu żadna z nich nie odrobiła zadania poprawnie.

Poprosiłam je, żeby opowiedziały o tym, co najbardziej chciałyby zrobić, i opisały, jak by się wtedy czuły, używając jednego odlotowego przymiotnika. Ale wszystkie te łagodne kobiety – każda, co do jednej – opisały, co chciałyby zrobić dla męża, swoich dzieci i rodziców.

„Chciałabym kupić duży dom dla syna lub córki”. „Chciałabym kupić mężowi drogi samochód”. „Chciałabym wysłać moich kochanych rodziców na Hawaje”. Więc żadnej z nich nie zaliczyłam zadania. Kazałam im użyć lepszych przymiotników i powiedzieć, czego pragną dla *siebie*, bo robienie czegoś dla siebie jest stuprocentowo amerykańskie, a skoro mają mieszkać w Ameryce, muszą myśleć jak Amerykanki.

– Czy odrobiłaś zadanie domowe, Na Jung? – pytam.

– Tak, Amber – odpowiada.

– Słuchamy.

Na Jung, która ma tyle lat, że mogłaby być moją mamą, denerwuje się, ilekroć mówi przy mnie po angielsku, dlatego zaczęłam od niej, żeby miała to z głowy i mogła się wyluzować.

– Chciałabym zobaczyć żywego przystojnego aktora w Hollywood, takiego jak *apetyczni* mężczyźni, których oglądam w amerykańskich magazynach ze zdjęciami.

– Świetna robota – mówię Na Jung. – To bardzo amerykańskie! Masz dobrą wymowę, a „apetyczny” to naprawdę odlotowy przymiotnik! Piątka z plusem. A ty, Sun?

– Marzę, żeby polecieć pięknym, tłustym, *obłym* balonem, żeby dmuchało na mnie ciepłe powietrze, a włosy powiewały mi za uszami.

– Cholernie dobra odpowiedź, Sun. „Obły” to *bardzo* dobre słowo. Ja też chciałabym polecieć pięknym, tłustym, obłym balonem. Byłoby super.

Kiedy słucham marzeń zgromadzonych w kościele Koreanek, Ojciec Chee uśmiecha się do mnie tak, że mogę policzyć wszystkie jego zęby. Widzę, że naprawdę bardzo mu się podobam, ale w taki nieerotyczny, dobroduszny, księżowski sposób. Może chciałby, żebym była jego córką, bo jemu nie wolno zrobić sobie własnej. Byłoby super tata.

Członkinie CDK uwielbiają, kiedy chwale ich angielski, i widać, że lubią wyrażać siebie na moich zajęciach – fajna sprawa. Z przyjemnością słucham o ich marzeniach. Kiedy kończą swoje wypowiedzi, ustawiają się w dwa rzędy przy ołtarzu ze śpiewnikami w dłoniach. Robią to z dużym przejęciem, bo

przyszły tu głównie po to, żeby wyśpiewać, co im w duszy gra. OC i ja wiemy, że wolą śpiewać, niż uczyć się angielskiego, i właśnie dlatego wymyśliliśmy te alternatywne zajęcia.

– Zaczynamy? – mówi Ojciec Chee i podaje mi ramię jak prawdziwy dżentelmen.

Trzyma mnie pod rękę i jak zwykle prowadzi na środek kościoła, jak ojciec, który w dniu ślubu prowadzi córkę do ołtarza.

Ustawiam się na swoim miejscu, a Ojciec Chee kłania mi się, po czym zajmuje miejsce przy starym rozklekotanym pianinie ustawionym po mojej lewej stronie i otwiera śpiewnik na stronie, od której zawsze zaczynamy.

– No dobrze, moje panie – mówię. – Nad czym musimy popracować w tym tygodniu?

Na jednych z pierwszych zajęć pozwoliłam każdej Chrystusowej Diwie z Korei wybrać sobie angielskie imię. Tak kazała nam zrobić nauczycielka na lekcji hiszpańskiego (wybrałam sobie imię Juanita). Kiedy zaczęłam prowadzić rozrywkowe zajęcia z angielskiego, poprosiłam, by każda Diwa wybrała sobie imię znanej piosenkarki R&B.

Hje Min – znana jako Tina – unosi rękę, więc kiwam do niej głową. Mówi:

– Nad umieniem sprzedawania tekstu.

– Świetnie, Tina. Musicie umiejętnie sprzedać ten tekst. A w jaki sposób to robimy?

Stojąca na środku Kjung Ah – vel Diana – podnosi dłoń, a kiedy wskazuję na nią głową, mówi:

– Biodra i ręce.

– Tak, najważniejsze są biodra i ręce. I co jeszcze?

Stojąca w tylnym rzędzie wyjątkowo wysoka kobieta Sueng Hee – nazywamy ją Beyoncé – krzyczy: „Ruchy ramion!”, mimo że wcale jej nie wywoływałam. Trochę mnie to wkurza, bo jej wybuch zagraża mojemu autorytetowi, ale doceniam jej nieposkromiony entuzjazm, więc się nie czepiam.

– Ruchy ramion. I co jeszcze?

Najstarsza z członkiń CDK, pomarszczona babcia znana jako Ella, macha do mnie, więc wskazuję ją palcem.

– Klaskanie na osiem – dodaje.

– Odlotowe klaskanie na osiem. Brawo – odpowiadam, po czym nadaję rytm i zaczynam powoli klaskać.

CDK idą w moje ślady, bo są megaprofesjonalistkami.

Dodaję ruch ramion i robię krok w prawo – klaśnięcie! CDK natychmiast zaczynają się ruszać razem ze mną. Ruch ramion, krok w lewo – klaśnięcie! Powtarzamy to kilka razy, po czym krzyczę:

– Zakręćcie bioderkami, moje panie! Pochwalcie się tym, co dał wam Bóg! Poruszajcie swoimi krągłymi tyłeczkami!

Synchronizujemy więc ruch bioder z ruchem głowy. Lewa – ślizg – klaśnięcie! Prawa – ślizg – klaśnięcie! Kiedy są już rozgrzane, krzyczę:

– Dawaj po klawiszach, Chee!

Ojciec zaczyna grać na pianinie, a CDK dają czadu przy *You Can't Hurry Love* The Supremes. Ich śpiew jest urywany, bo są Koreankami i niezbyt dobrze znają angielski, ale potrafią odpowiednio sprzedać tę piosenkę dzięki ruchom, których ich nauczyłam. Muszę powiedzieć, że jestem dziś naprawdę dumna ze swoich laseczek, bo idzie im odlotowo.

Zanim stałyśmy się takimi dobrymi piosenkarkami soulowymi, za pieniądze z budżetu kościoła Ojciec kupił nam dwadzieścia śpiewników z piosenkami The Supremes. Za pomocą koreańsko-angielskich słowników razem z Chrystusowymi Diwami z Korei przetłumaczyłyśmy wszystkie teksty, zapisując koreańskie słowa pod angielskimi, żeby moje uczennice wiedziały, o czym właściwie

śpiewają. Potem pracowałyśmy nad wymową, a na koniec uczyłyśmy się, jak dobrze sprzedać piosenki na scenie.

Kiedy wpadłam na pomysł, żeby uczyć angielskiego poprzez śpiew, nie miałam pojęcia, że Ojciec Chee umie grać na fortepianie, ale gdy po raz pierwszy miałyśmy zacząć śpiewać, w kościele jak za sprawą czarów pojawiło się pianino. Zapytałam Ojca Chee, skąd się tu wzięło, a on odpowiedział, że to sprawka Boga. Kiedy zapytałam, kto będzie na nim grał, odparł, że Bóg zagra jego palcami. Możecie powiedzieć, że to straszna tandeta, ale podoba mi się to, że dla Ojca Chee Bóg jest magiczny – trochę jak Święty Mikołaj, w którego wierzyło się w dzieciństwie. Inni księża też powinni mieć takie podejście – w końcu w dzisiejszym świecie Święty Mikołaj jest popularniejszy od Jezusa.

Wraz z CDK śpiewamy piosenki *I Hear a Symphony*, *Stop! In the Name of Love*, *Baby Love* i *You Keep Me Hangin' On*, po czym ustawiamy się w półkolu – wszystkie kobiety obejmują się za ramiona, tak że tworzymy krąg supersilnych lasek, a ja wykrzykuję motywujące bzdety, które wymyśliłam jakiś czas temu.

- Jakie jesteśmy?! – krzyczę.
- Silne! – odkrzykują członkinie CDK.
- Kim jesteśmy?!
- Chrystusowymi Diwami z Korei!
- Kto nas kocha?!
- JC!
- Kto pragnie naszego szczęścia?!
- Bóg!
- Kto rządzi?!
- Chrystusowe Diwy z Korei!
- Jak się nazywają najlepsze koreańskie piosenkarki soulowe na świecie?!
- Chrystusowe Diwy z Korei!
- Tak jest?!
- Tak jest!
- TAK JEST?!
- TAK JEST!

Wbiegam do środka kręgu mocy, unoszę obie ręce nad głowę i przybijam każdej Chrystusowej Diwie superpiątkę. CDK uwielbiają ten dynamiczny finał. Lubią też przytulić mnie, zanim wyjdę, a ponieważ za tym przepadam, ściskam się z nimi aż miło. Robimy to na misia z każdą CDK, więc schodzi nam jakieś dziesięć minut.

Kiedy trzeba wracać, jest już zazwyczaj ciemno, dlatego Ojciec Chee biegnie obok mnie i B3 w tym swoim stroju pingwina, a ja przejeżdżam rowerem przez slumsy. Upewnia się, że wrócę do domu cała i zdrowa. Uśmiecham się do prawie wszystkich ludzi w sąsiedztwie i stosuję swoją sztuczkę z życzeniem im miłego dnia, a Ojciec Chee śmieje się i promienieje ojcowską dumą.

Jadąc rowerem, zazwyczaj wyznaję swoje grzechy.

- Przebacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam – mówię do Ojca Chee.
- Wyznaj swoje winy, a Jezus ci przebaczy – odpowiada OC.

– Wczoraj kopnęłam Leksa Pinkstona w goleń, a dziś uderzyłam go w twarz. Ale obrzucił mnie obrzydliwym dwusylabowym słowem, którego nie powtórzę, powiedział, że uprawiał seks z moją mamą, i kazał Ricky'emu powiedzieć coś nieprzyzwoitego do koleżanki z klasy.

Wciąż biegnąc, Ojciec Chee jakiś milion razy mądrze kiwa głową.

- Jezus dał nam przykład. Powiedział, żebyśmy nadstawiali drugi policzek.
- Dlatego się spowiadam. Myślisz, że nie czytałam Biblii?
- Odpuszczam ci grzechy.
- A co z pokutą? – pytam.
- Już ją wypełniłaś. Ucząc angielskiego w moim kościele.
- Ale ja to lubię.
- Bóg chce, żebyśmy byli szczęśliwi – odpowiada OC, a ja się uśmiecham.

Kiedy zostawiamy slumsy daleko z tyłu, Ojciec Chee mówi:

- Ja już wracam.

Zatrzymuję się i spoglądamy na siebie z uśmiechem – wiemy, że daliśmy dziś czadu dla Boga, podarowując CDK radość i nadzieję.

Udaję, że Ojciec Chee jest moim tatą. Może on udaje, że jestem jego córką?

- Mogę się przytulić, Chee? – pytam.
- Jasne – odpowiada i przytula mnie jak dobry ojciec.
- A może trochę czułości dla B3?

Ojciec Chee czule klepie Boba po głowie, a ja mówię:

- Dobry z ciebie człowiek, Chee. – Potem odjeżdżam.

Odwracam się i – jak zwykle – widzę, że OC mnie obserwuje, upewniając się, że bezpiecznie dotrę do Donny, a ja się uśmiecham i czuję, że na świecie jest mnóstwo dobra.

Kiedy dojeżdżam do domu, Ricky wciąż rozwiązuje zadania matematyczne przy stole w kuchni, więc karmię Boba mokrym jedzeniem z puszki i zaczynam przygotowywać kolację dla Donny. Decyduję się na ryż, czerwone papryki i kurczaka. Rozmrażam mięso w mikrofalówce, siekam dwie czerwone papryki, gotuję ryż i wyciągam woka.

Kiedy kurczak i papryki są już pokrojone w cienkie paski, wkładam je do dużej srebrnej miski, a następnie zatapiam to wszystko w sosie sojowym i posypuję sezamem.

Potem nalewam do kieliszka trochę jacka daniel'sa z barku i maceruję w nim kurczaka oraz papryki.

– Raz się żyje – mówię, po czym wylewam nieco whiskey na rozgrzanego woka, tak że jego powierzchnia zaczyna skwierczeć, a powietrze wypełnia się zapachem pszenicy.

Smażę wszystko na dużym ogniu i danie pachnie naprawdę apetycznie.

Ricky wciąż rozwiązuje zadania, a B3 relaksuje się na kuchennej macie. Patrzy na mnie i obserwuje każdy mój ruch, bo ten szykowny kundel kocha się we mnie na zabój.

Donna wraca punktualnie o szóstej trzydzieści. To niezłe zorganizowana babka.

– Powtarzałam ci już milion razy, Amber, że nie musisz dla nas gotować. Ale pachnie pięknie – mówi i wrzuca klucze do starej kryształowej popielniczki, którą trzyma na stoliku przy kuchennych drzwiach, po czym odkłada torby i wiesza płaszcz.

Przeczesuje dłonią włosy Ricky'ego i całuje go w czoło. Muszę przyznać, że robię się trochę zazdrosna, bo w porównaniu z Donną moja mama jest strasznie drętwa.

– Jak się miewa mój synek?

– Odrabia matematykę. Nie odzywaj się do...

– Która godzina? – Ricky spogląda na ścienny zegar i zatrząskuje zeszyt. – Czas, żeby Ricky Roberts zjadł kolację z Mamusią Roberts i Amber Appleton.

– Zuch chłopak – mówi Donna, po czym zwraca się do mnie: – Jak ci minął dzień, Amber?

Kiwam głową i wzruszam ramionami jak jakiś lamus.

– Dobrze – oznajmia Donna. – Możemy już jeść?

Podaję wszystkim talerze i zabieramy się do kolacji.

– Czy w tym jest jack daniel's? – pyta Donna po pierwszym kęsie mojego najnowszego dania.

– Tak – odpowiadam.

– Boskie. Kupiłam ci prezent, Ricky.

– Mamusia Roberts kupiła Ricky'emu Robertowskiemu prezent!

– Widzisz tę siatkę przy mojej aktówce? Tam przy drzwiach?

– Ricky Roberts widzi siatkę!

– Zobacz, co w niej jest.

Ricky wstaje i podchodzi do torby. Podnosi ją i potrząsa jak bożonarodzeniową paczką. Przystawia ją nawet do ucha. W końcu zanurza rękę w środku i wyjmuję materiał moro.

– Ricky Roberts dostał koszulkę.

– Co jest napisane na koszulce? – pyta Donna z widelcem w dłoni.

Ricky unosi ciuch ponad głowę i odczytuje jaskrawopomarańczowy napis.

– Federacja Fantastycznych Fanatyków Franka!

To najfajniejsza koszulka, jaką widziałam.

– Ile koszulek jest w siatce, Ricky? – pyta Donna. Ricky liczy.

– Siedem!

– Jedna dla każdego członka zaangażowanego w misję.

Z trudem przełykam ślinę. Tak bardzo Kocham Donnę. Cały dzień spędziła w sądzie – na rozprawie o morderstwo – ale i tak załatwiła koszulki dla całej ekipy. Jest ekstra!

– W Federacji Fantastycznych Fanatyków Franksa jest *pięć* osób. Mamusia Roberts kupiła *siedem* koszulek. Siedem.

– Cóż, wasz adwokat też musi odpowiednio wyglądać. Pomyślałam, że Franksowi też się jedna przyda, więc poprosiłam moją asystentkę, żeby zrobiła siedem. Raz się żyje, prawda, Amber?

Kiwam głową w milczeniu. Chciałabym kiedyś mieć asystentkę, która wykona szalowe koszulki dla nastolatków, żeby robili dobre uczynki, a jednocześnie wyglądali stylowo. Chciałabym być Donną. I to jak.

Donna mruga do mnie i kończy jeść to, co przyrządziłam.

Ricky zdejmuje koszulkę Uteleya i wkłada moro.

– Federacja Fantastycznych Fanatyków Franksa!

– Podoba ci się? – pyta Donna.

– Ricky’emu Robertsowi bardzo się podoba.

– A tobie, Amber?

Kiwam głową z pięćdziesiąt razy jak jakiś matoł.

– Jedna z nich jest dla ciebie – mówi Donna.

Podbiegam do siatki i znajduję w niej dopasowaną dziewczęcą koszulkę przeznaczoną dla mnie, więc idę do drugiego pokoju, żeby ją włożyć, i przeglądam się w lustrze w korytarzu. W tej koszulce sterczą mi piersi, a jej kolor sprawia, że wyglądam groźnie – trochę jak Sarah Michelle Gellar w serialu *Buffy: Postrach wampirów* albo Uma Thurman w filmie *Kill Bill 2*. Jestem gotowa do wieczornej walki.

Kiedy wracam do kuchni, Donna mówi:

– Wyglądasz zabójczo. I ja mam włożyć dopasowaną koszulkę, a potem stanąć obok tej młodej seksownej dziewczyny?

– Amber Appleton jest seksowna! – oznajmia Ricky.

– Słowo? – pytam i rumienię się jak głąb.

– Słowo – odpowiada Donna i kiwa głową w taki odlotowy sposób, że jej wierzę.

Bob potwierdza to pojedynczym szczeniakiem.

– Hau!

– Super – mówię z uśmiechem. Kończę jeść kolację, a potem Ricky i ja sprzątam ze stołu, podczas gdy Donna odpisuje na miliard e-maili ze swojego telefonu BlackBerry. Jej kciuki poruszają się z prędkością światła. Podoba mi się, że mamrocze pisane słowa pod nosem jak dziecko.

Jared zjawia się ze swoim bratem Chadem przypiętym do pleców, tak że wygląda jak niemowlak w nosidełku. Chad nigdy nie urósł, a jego głowa jest niemal tak duża jak reszta ciała. Powiedzieliśmy mu, żeby dla dramatycznego efektu zostawił Das Boota w domu. Ty zjawia się tuż po braciach Foksach i wszyscy wariują na punkcie swoich nowych koszulek.

Chłopcy rozmawiają o Halo 3, kiedy zabieram B3 na siusiu, a Donna się przebiera.

Zamykam Boba w pokoju, gdzie słucha muzyki klasycznej, i słyszę, że Donna mnie woła, więc idę po schodach do jej sypialni.

Mimo że jest szczupłą singielką, ma wielkie łóżko typu *king-size*. Jest zabójcze. Kiedy wchodzę,

poprawia makijaż przed lustrem ubrana w dopasowaną koszulkę moro, czarną spódnicę i skórzane kozaki do kolan na masywnych pięciocentymetrowych obcasach.

– Usiądź – mówi, więc przysiadam na krawędzi łóżka. – Czy ci chłopcy na dole zrobiliby to, co mają zrobić, gdybyś im nie przewodziła?

Wzruszam ramionami. Serce wali mi jak szalone. Donna patrzy mi w oczy. Jest boginią.

– Niczego by dziś nie robili, gdyby cię nie znali. Graliby w gry, waliliby konia albo zajmowaliby się tym wszystkim, czym zajmują się nastoletni chłopcy, kiedy da się im wolną rękę.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc milczę.

– Jest coś, co bardzo mi się w tobie podoba, Amber. Wyróżniasz się na tle innych ludzi. Osiągniesz coś w życiu. Dokonasz dziś czegoś wyjątkowego, bo jesteś do tego stworzona.

Czuję, że zaraz się posikam, i lekko drzę.

– Jesteśmy dobrymi przyjaciółkami, więc wyjawię ci sekret – mówi Donna, po czym pochyła się i szepcze mi do ucha: – Większość ludzi... Dorośli, dojrzały mężczyźni... Wszyscy przypominają nastoletnich chłopców, tylko udają, że nimi nie są. – Donna wstaje i mruga do mnie. – Ludzie tacy jak ty i ja muszą nimi kierować, żeby świat nie stanął na głowie. Chcą, żebyś dała im wskazówki. Potrzebują tego. A ty wiesz, co trzeba zrobić, bo masz dobre serce i odwagę. W ciągu kilku ostatnich lat wiele razy udowodniłaś, że masz dobre serce. Jest w tobie mnóstwo dobroci. Sto procent. Więc zaufaj intuicji i powiedz dziś to, co myślisz. Bądź odważna. Ci chłopcy cię podziwiają. Jesteś ich pasterzem. Prowadź swoje owce. Zrozumiano?

Kiwam głową trzydzieści razy w ciągu dziesięciu sekund i mrugam, żeby odpędzić łzy – nikt nigdy nie mówił do mnie w ten sposób i chyba rozumiem, co Donna ma na myśli, bo czasem łapie mnie w piersi dziwne wrażenie, że naprawdę różnię się od innych ludzi.

– Do roboty – rzuca Donna, a ja wychodzę za nią z sypialni.

Kiedy zjawiamy się w salonie, chłopcy milkną i podziwiają urodę Donny, a ona im na to pozwala. Obserwuję ją. To jedna z jej sztuczek. Czekają, aż ludzie skończą ją podziwiać, i dopiero wtedy się odzywa – zawsze tak robi. Jest najfajniejszą osobą, jaką znam, i gdyby nie była ateistką, powiedziałabym, że jest idealna, a nawet boska.

W drodze na zebranie rady szkoły zauważam, że moi chłopcy się denerwują. Siedzę z tyłu z Tyem, Jaredem i Chadem. Martwi mnie ich milczenie. Poza tym Donna nie puściła żadnej muzyki i się nie odzywa, a to trochę dziwne, bo kiedy jedziemy samochodem, zawsze z nami rozmawia albo włącza radio. Wiem, że sprawdza moje zdolności przywódcze. Ricky cicho liczy mijane latarnie – nie wie, co się dzieje.

Zaczynam się zastanawiać, czy moim chłopcom potrzebna jest dopingująca gadka, więc mówię:

– Jak się czujecie?

– Dobrze – odpowiada Ty.

Jared i Chad kiwają głowami. Chad siedzi na kolanach brata.

– Nauczyliście się swoich przemówień na pamięć? – pytam.

– Tak – rzuca Chad.

– Dacie im popalić?

– Jasne – potakuje Jared.

– Tu chodzi o przyszłość Franksa. Jeśli go wyrzucą, w przyszłym roku koniec z Halo 3 – dodaję.

– Wiemy – mówi Ty.

– Poza tym Franks ma sześcioro dzieci – rzucam. – Pomyślcie dziś o nich. Nie chcemy, żeby wyłądowały na ulicy, prawda? Niech będą dla was motywacją. Niech was zainspirują.

– My to wszystko wiemy – oznajmia Jared.

– Czy kiedykolwiek cię zawiedliśmy? – pyta Chad.

W ogóle się nie denerwują, może dlatego, że są nastolatkami i nie wiedzą, ile mają do stracenia. Żaden z nich nigdy nie był bezdomny. Żaden z nich nie chodził głodny. Ich ojcowie – prawnicy i bankierzy – zapewniają im dach nad głową, ciuchy, jedzenie i inne rzeczy. Ci chłopcy nie wiedzą tego co ja.

Słucham własnej rady i kiedy parkujemy, myślę o rudowłosych dzieciakach Franksa. Czuję ciepło w klatce piersiowej i zaczynają mi łzawić oczy.

– Zostawcie kurtki w samochodzie, chłopcy – mówi Donna. – Chcę, żeby wszyscy zobaczyli wasze koszulki.

Zdejmujemy kurtki, umieszczamy Chada w nosidełku na plecach Jareda, po czym Donna oznajmia:

– Wkraczamy do środka. Ja wygłaszam krótki wstęp, a wy, chłopcy, słuchacie poleceń Amber. Zrozumiano?

Moi chłopcy kiwają głowami. Rozumieją.

– Mogę zacząć filmować? – pyta Donna. – Jak się czujecie?

– Dobrze – mówi Ty.

– Chwileczkę – przerywam. – Powinniśmy się najpierw pomodlić. Zanim tam wejdziemy.

– Jeśli musicie – rzuca Donna i rusza w kierunku drzwi, a Ricky idzie za nią, bo podobnie jak jego mama jest ateistą.

Trzęsiemy się w naszych koszulkach, bo na zewnątrz panuje ziąb, ale jesteśmy gotowi do przeprowadzenia misji.

Chad, Ty i Jared nie szaleją za JC tak jak ja, ale wszyscy wierzą w Boga, więc pochylają głowy i zamykają oczy. Biorę Tya i Jareda za ręce i mówię:

– Drogi Boże, gromadzimy się tu dzisiaj w słusznej sprawie. Praca Franksa wisi na włosku. Wierzmy, że szkoła średnia w Childress potrzebuje Franksa, który czyni wiele dobra w tym budynku i nikomu nie wyrządza szkody, a to fajne i ważne. Jeśli uważasz nasz cel za słuszny, daj nam siłę, żebyśmy potrafili wykorzystać talenty, którymi nas obdarzyłeś. Spraw, by członkom rady szkoły pospadały kaptcie z nóg. Nara, Boże. Pokój z Tobą.

Opuszczamy dłonie i otwieramy oczy.

– Gotowi? – pytam.

– Jak nigdy! – odzywa się Chad zza głowy brata.

Idziemy w stronę Donny, która trzyma włączoną kamerę, a ja uświadamiam sobie, że nagrała moją modlitwę. Nie wiem, czy mi się to podoba, ale nic nie mówię.

– Przedstawcie się, chłopcy – prosi Donna.

– Chad Fox, znany także jako Czadowy Chad, zwarty i gotowy.

– Ty Hendrix. Wieża Mocy, mimo że mam tylko metr siedemdziesiąt siedem.

– Jared Fox. Po prostu Jared.

– Nazywam się Ricky Roberts. Milutki matematyk – mówi Ricky, a ja się uśmiecham, bo sama wymyśliłam mu to przydomko.

– Amber Appleton. Zwykła dziewczyna, ziomalka Boga.

Donna prostuje rękę i filmuje siebie.

– Donna Roberts, adwokat – mówi. – Przybyliśmy na spotkanie rady szkoły średniej w Childress. Jest siódma czterdzieści sześć, wtorek, dwudziestego siódmego stycznia dwa tysiące dziewiątego roku. Reszta zaraz się okaże.

Wciąż filmując siebie, Donna wchodzi do stojącego obok podstawówki domu przerobionego na biura, a następnie wkracza do sali posiedzeń, gdzie zbiera się rada szkoły.

Na składanych krzeselkach siedzą członkowie społeczności i kilku lokalnych dziennikarzy. Dyrccio Tony znajduje się w pierwszym rzędzie wraz z kilkoma innymi pracownikami, a członkowie rady szkoły siedzą za długim stołem ustawionym na środku pomieszczenia. Klasyczne spotkanie dorosłych.

Mamy na sobie koszulki moro, a jaskrawopomarańczowe litery głośno i wyraźnie głoszą, kim jesteśmy. Nagle podnosi się pan Pinkston. Nosi trzyczęściowy garnitur z zegarkiem kieszonkowym na łańcuszku ułożonym na jego wydatnym brzuchu tak, że przypomina złowrogi złoty uśmiech. Wygląda, jakby urwał się z jakiegoś starego, tandetnego filmu, w którym bohaterowie czekają na pociąg. Pan Pinkston wyjmuje zegarek z kieszeni, sprawdza godzinę i mówi:

– Kim jesteście i co tu, u diabła, robicie?

Ubrana w moro Donna staje przed panem Pinkstonem na samym środku pomieszczenia i filmując siebie, pozwala, by zebrani nasycili się jej urodą.

– Siadać – rzuca Donna, jak gdyby mówiła do Boba. Niewiarygodne, ale zdumiony pan Pinkston podnosi wzrok, po czym siada.

W pomieszczeniu zapada głucha cisza.

– Panno Roberts – mówi Dyrccio Tony łagodnym, kojącym głosem. – Co tu się dzieje? Nie pozwalamy na filmowanie tych posiedzeń. Z pewnością to pani rozumie.

Donna kompletnie ignoruje Dyrccia Tony'ego i zwraca się do zebranych:

– Chłopcy i panie. Pracuję w kancelarii Roberts, Bradley i Wong. Nawet jeśli nie słyszeliście o naszej kancelarii, z pewnością znają ją wasi prawnicy, a oni będą chcieli wiedzieć, co zostało tu dziś powiedziane, więc lepiej zacznijcie notować. Dotarła do nas informacja, że rozważacie zlikwidowanie zajęć z marketingu prowadzonych przez pana Jonathana Franksa. Reprezentuję pana Franksa i pięcioro uczniów, którzy będą dziś przemawiać. Zamierzam robić to bezpłatnie tak długo, jak będzie trzeba. Zanim zacniemy, powinniście wiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, nazwiska Roberts, Bradley i Wong nie są zapisane w kolejności alfabetycznej. Po drugie, Roberts to szefowa. Czyli ja. Amber?

Donna zaczyna mnie filmować. Z wrażenia zapominam języka w gębie.

– Amber? – powtarza Donna. Ty wymierza mi kuksańca w plecy. – Twoja kolej – dodaje Donna.

Spoglądam na wszystkich członków rady. Na widok takich świrów jak my reprezentowanych przez jedną z najgroźniejszych prawniczek w obrębie najbliższych stanów opanowała ich panika. Mają ją wypisaną na twarzach. Wszyscy są pod wrażeniem Donny, może poza panem Pinkstonem, który wygląda trochę jak Dick Cheney i wpatruje się we mnie ze złością, jak gdyby chciał mnie żywcem upiec i pożyć na kolację. Jaki ojciec, taki syn. Nagle odzyskuję pewność siebie.

– Jak powiedziała już moja koleżanka... – Nazwałam Donnę swoją koleżanką. Czy to błąd? Przesadziłam? – Jesteśmy tu w imieniu pana Jonathana Franksa. Mogą państwo...

– Dobra, dosyć tych głupot. Ta rada ma pełne prawo się tu spotykać – mówi pan Pinkston, przerywając mi. – Mamy pełne prawo rozważać...

– Proszę już nigdy nie przerywać mojej klientce, panie Pinkston. – Donna patrzy mężczyźnie w oczy z kamiennym wyrazem twarzy. – Myślę, że panna Appleton zna przepisy o wiele lepiej niż pan czy osoby zebrane w tym pomieszczeniu. Pouczyłam ją o przysługujących jej prawach. Jako podatniczka i zaangażowana obywatelka chcę państwa przestrzec przed popełnieniem kolejnego niezwykle kosztownego błędu.

Donna zaczyna filmować pana Pinkstona.

– Niech pani to zabierze! – wrzeszczy.

Donna się uśmiecha i nie przestaje go filmować, aż mężczyzna robi się czerwony, po czym

skierowuję kamerę na mnie. Odchrząkuję i mówię:

– Mogą państwo myśleć, że szkoła obejdzie się bez pana Jonathana Franksa, ale jego obecność służy dwóm celom. Jeden to ochrona rady przed procesami sądowymi. Procesami, pytacie? Właśnie tak. Jestem najuboższą dziewczyną w szkole. Od dziesięciu lat nie byłam u lekarza ani dentysty, bo mojej mamy nie stać na ubezpieczenie. Równie dobrze mogłabym mieć raka albo potrzebować przeszczepu płuca. Ale się tego nie dowiem, bo nie stać nas na wizytę u lekarza. Może gdyby mama była zatrudniona przez dobrego pracodawcę, byłabym ubezpieczona. Ale ona od piętnastu lat pracuje dla szkoły jako kierowca autobusu i kiepsko zarabia. Nie otrzymuje też żadnych świadczeń. Nie mam więc pieniędzy na modne ciuchy, które noszą wasze dzieci, nie stać mnie na wyprostowanie krzywych zębów, przez co mam problemy z poczuciem własnej wartości. Czy jednak mogę pójść do jednego z wykwalifikowanych terapeutów, u których bywa część moich kolegów z klasy? Nie. Bo nie mam ubezpieczenia. Bez kitu. Nie ukrywam, ta szkoła jest dla mnie piekłem, ale istnieje jedno miejsce, w którym zawsze czuję się mile widziana i w którym nie dostaję ataku szału. To klasa pana Franksa. Jestem przewodniczącą Koła Marketingowego i nadzoruję tę organizację. Zająłam drugie miejsce w konkursie na opracowanie najlepszej strategii marketingowej fast foodu podczas zeszłorocznych zawodów regionalnych. Pan Franks prowadzi nasze koło za marne grosze, jeśli podliczyć godziny, koszt nagród, wstęgi i spotkania przy pizzy, które organizuje, żeby podnieść nasze morale. To jedyna rzecz w ciągu całego dnia, która daje mi jakiegokolwiek poczucie własnej wartości. Więc nie odbierajcie mi jedynej dobrej rzeczy w tej szkole, bo się załamie i będę potrzebowała terapii, której nie zapewniacie dzieciom swoich pracowników. Ty? Teraz twoja kolej.

Robię krok w tył. Patrzę na twarze członków rady i napotykam kilka współczujących spojrzeń. Jedna otyła kobieta nawet kiwa do mnie głową i mruga, jakby była moją mamą i odczuwała dumę czy coś. Fajnie, myślę. Nasze słowa do nich docierają.

Ty występuje naprzód i mówi:

– Mam marzenie. Marzę o tym, że któregoś dnia w najbliższej przyszłości szkoła średnia w Childress stanie się zróżnicowana rasowo i zacznie obchodzić Dzień Martina Luthera Kinga. Jestem jedynym czarnym nastolatkiem w szkole i swobodnie czuję się tylko na zajęciach pana Franksa. Jeśli pan Franks straci pracę, nie będę się miał gdzie schować. Obawiam się, że zacznę wtedy pisać listy do lokalnych gazet o tym, jak ciężko jest być czarnoskórym dzieciakiem w szkole średniej w Childress. To miejsce, które nie robi nic, żeby uczcić moje pochodzenie, i które co dzień pokazuje mi, że to biali mają władzę. Na liście lektur brakuje czarnoskórych autorów. Trenerzy zawsze zapraszają mnie do drużyny koszykówki. Pani Watts próbuje mnie zachęcić do śpiewania niewolniczych murzyńskich piosenek w chórze, gdzie wszyscy są biali. Mam tego, kurna, dość. Jediną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem dzięki naszemu liceum, aby uczcić swoje dziedzictwo, było zebranie pieniędzy na rzecz organizacji UNCF, która funduje stypendia czarnoskórym studentom, bo przecież nie można marnować ich potencjału. W zeszłym roku zorganizowałem dobroczynny turniej ping-ponga. Kto pomógł mi rozreklamować i poprowadzić to wydarzenie? Pan Franks. On także wpłacił najhojniejszy datek ze wszystkich osób. Nie zwalnijcie Franksa albo pożałujecie, kiedy nadejdzie Dzień Martina Luthera Kinga, a wy znów nie będziecie go świętować! Jeśli Franks wyleci, w tym roku nie będę siedział cicho.

Ty wraca na miejsce i spogląda na mnie, a ja kiwam głową. Uśmiecha się, więc mrugam do niego tak jak Donna i mówię:

– Jared i Chad.

– Jestem zwykłym białym dzieciakiem. Uwielbiam Franksa i w ogóle, ale pewnie zauważyliście, że noszę mojego młodszego brata w plecaku – mówi Jared.

Martwię się, że wyleci mu z głowy cytat z *Człowieka z blizną*, ale przypomina go sobie i mówi:

– Przywitajcie się z moim małym przyjacielem!

– Dzień dobry – odzywa się Chad zza ramienia Jareda. – Mógłbym tu przyjechać na elektronicznym wózku, gdyby budynek był przystosowany dla osób niepełnosprawnych. Ale nie jest. Podobnie jak sala gimnastyczna i szatnie. A Das Boot, mój dwuślad, nie mieści się pomiędzy półkami w bibliotece, więc nie mogę nawet wypożyczać książek. Żeby to zrobić, muszę poprosić kogoś, by wniósł mnie do biblioteki, a to upokarzające. W szkole nikt poza dziećmi obecnymi w tej sali ze mną nie gada. Spóźniam się na każde zajęcia, bo muszę jechać windą, a inni uczniowie wciskają wszystkie guziki, tak że czekam w nieskończoność. Śmieszne, nie? Nie dbacie o potrzeby uczniów specjalnej troski. Ale wiecie, kto sprawia, że codziennie czuję się tu mile widziany? Pan Franks. Dobra, może i gramy w gry wideo, ale wiecie co? W tych grach mam normalne nogi i ręce. Mogę biegać, skakać i chodzić po wirtualnym świecie, który buduje dla mnie Franks za pomocą własnego sprzętu. Kupuje go za własne pieniądze, bo wy nie robicie nic, żeby wspomóc jego program. Spróbujcie przez siedemnaście lat nie chodzić, a potem powiedzcie, że gry wideo są głupie. Jeśli Franks odejdzie, w szkole nie będzie już xboxa, a więc i miejsca, w którym będę mógł się spotykać i normalnie integrować z innymi nastolatkami, robiąc to samo co moi rówieśnicy.

– Nie mamy konsoli w domu – dodaje Jared, po czym bracia wracają na swoje miejsca.

Kiedy na mnie spoglądają, kiwam do każdego z nich głową i mrugam. Moi chłopcy dają dziś czadu. Jestem z nich dumna.

– Ricky?

Donna podaje Ricky'emu gotowe przemówienie i prosi, żeby je przeczytał.

– Nazywam się Ricky Roberts. Jestem jedynym uczniem w szkole średniej w Childress, u którego zdiagnozowano autyzm, i nie lubię nauczycieli od pedagogiki specjalnej. Poza tym syn członka rady szkoły pana Pinkstona Alexander Pinkston codziennie mnie maltretuje, przez co czasem jestem smutny i zły. Ale kocham pana Franka, bo zawsze wpuszcza mnie do swojej klasy i sprawia, że czuję się akceptowany. Dzięki niemu czuję, że mam wielu przyjaciół, którzy też są mile widziani w tej szkole. Nie jem obiadów w stołówce, bo Alexander Pinkston się nade mną znęca. Lubię jeść obiad z panem Franksem. Pan Franks to mój ulubiony nauczyciel. Proszę, nie zwalnijcie go. Dziękuję. Tak.

Donna robi krok naprzód i mówi:

– Należę do tej społeczności. Płacę podatki. Syn pana Pinkstona namawia mojego syna do składania nieprzyzwoitych propozycji dziewczętom z klasy. Mój syn powtarza wszystko, co mu się każe, zwłaszcza zachęcony przez kapitana szkolnej drużyny futbolowej, więc nie jest to trudne zadanie. W poniedziałek syn pana Pinkstona kazał mojemu synowi powiedzieć uczniom drugiej klasy Ryan Gold, że, cytuję, ma fajne cycki. Więc Ricky to zrobił, a Ryan Gold wybuchła płaczem pośrodku stołówki.

Pan Pinkston wstaje i mówi:

– Jak pani śmie włączyć tu bez zaproszenia i bezpodstawnie oskarżać mojego syna o...

– Niech pan siada, panie Pinkston – rzuca Donna.

Pan Pinkston rozgląda się wokół, szukając wsparcia u zebranych, ale kiedy go nie znajduje, siada.

– Wczoraj odwiedziliśmy Ryan Gold i jej rodziców – ciągnie Donna. – Ryan Gold należy do National Honor Society⁸. Co tydzień chodzi do kościoła. To najmiłsza, najbardziej elokwentna dziewczyna pod słońcem. Zgodziła się zeznawać w sądzie. Kilkakrotnie rozmawiałam z dyrektorem Fiorillim, a nawet wysyłałam mu listy dotyczące nękania, jakiego syn pana Pinkstona dopuścił się na moim synu oraz innych uczniach. Mam oczywiście kopie tych listów. Zachowałam też odpowiedzi. Więc jeśli zwolnicie Franka lub jeśli syn tego mężczyzny ze złymi zamiarami zbliży się na odległość dziesięciu metrów do mojego syna, Ryan Gold lub któregokolwiek z obecnych tu dziś nastolatków, wniosę sprawę do sądu przeciwko tej szkole. Proces tak szybko pochłonie cały wasz budżet, że będziecie musieli zwolnić wszystkich nauczycieli z okręgu, żeby się wymigać. Czy mówię jasno?

Donna spogląda na zebranych. Pozwala, by nasycili się jej urodą.

– A jeśli którekolwiek z tych dzieci doświadczy jakiegokolwiek dyskomfortu w ciągu kilku następnych dni w szkole, ten cyfrowy dokument zostanie skopiowany i wysłany do wszystkich gazet i stacji telewizyjnych w okolicy. Owocnego zebrania, chłopcy i panie. Zatrzymajcie Franksa. Unikniecie procesu. Wszyscy na tym skorzystamy.

Wychodzimy z pomieszczenia za Donna. Na zewnątrz Donna przybija nam gratulacyjne piątki, a moi chłopcy rozplývają się w uśmiechach.

– I co, Amber? – mówi Chad.

– Podobały ci się nasze przemówienia? – pyta Ty.

– Myślisz, że się uda? – dodaje Jared.

Zamiast odpowiedzieć, uśmiecham się i mocno przytulam każdego z chłopców, a Ricky woła:

– Hi! Hi! Hi! Hi!

Donna mówi:

– Jedźmy do Friendly's.

Więc pakujemy się do jej mercedesa. Na miejscu dostajemy stolik z dwoma kanapami, a Donna zamawia wszystkie desery lodowe z karty i sześć łyżeczek. Jemy jak drużyna, tocząc pojedynki długimi łyżeczkami i głośno się śmiejąc. Brudzimy sobie nasze nastoletnie brody polewą czekoladową, bitą śmietaną i karmelem, kiedy wymieniamy się deserami, żeby spróbować wszystkich przepysznych mieszanek. Odtwarzamy w pamięci dzisiejsze wydarzenia. Rozmawiamy o tym, jacy byliśmy opanowani, o tym, że teraz Franks na pewno utrzyma pracę i że Federacja Fantastycznych Fanatyków Franksa wymiata, zwłaszcza w naszych nowych koszulkach moro. Zamierzamy włożyć je jutro do szkoły jak drużyna przed ważnym meczem. Ale kiedy ludzie zapytają nas, o co chodzi z tymi koszulkami, nic nie powiemy, bo to nasza tajemnica. Bez kitu.

Próbuję więc nie ubrudzić deserem nowej koszulki i łapię się na tym, że często spoglądam na Donna. Prawie się nie odzywa i nie zjada zbyt dużo lodów, ale uśmiecha się z satysfakcją i od czasu do czasu przeczesuje włosy Ricky'ego, co znów wzbudza we mnie zazdrość. Boże, tak strasznie bym chciała, żeby była moją mamą. Byłabym o wiele fajniejsza i mądrzejsza... Po chwili przypominam sobie, że powinnam być wdzięczna za to, co dostałam dziś od JC, więc uśmiecham się i mierzwię czuprynę każdemu z chłopców, a oni protestują: „Przestań!”, „Lodowe łapy!”, „Ty lepka glizdo!”. Śmieję się z nich i wciąż próbuję zanurzyć palce w ich włosach, udając, że zaczajam się na jednego, po to, by w ostatniej chwili odwrócić się i wetknąć palce we włosy innego, co skutkuje niekończącym się chwytniem za nadgarstki i krzykami.

Kiedy prawie przewracamy dziecięce krzeselko Chada, podchodzi do nas kelnerka. To nastolatka z innego liceum, która mówi:

– Musicie wyluzować, bo Kevinowi zaraz odwali.

– Jutro szkoła, dzieciaki – przypomina Donna i płaci rachunek, podczas gdy my targamy się za włosy na trawniku przed Friendly's. Kiedy się tak siłujemy, myślę o tym, że uwielbiam tych chłopaków. To dobrzy ludzie. Naprawdę bardzo, bardzo ich kocham. Wszystkich po równo. Moje chłopaki. Moi przyjaciele. Federacja Fantastycznych Fanatyków Franksa.

Kiedy Donna odwozi Tya, Jareda i Chada, mówię:

– Skąd wiedziałaś, że Lex kazał Ricky'emu powiedzieć to wszystko Ryan Gold?

– Lex Pinkston to zły chłopak! – mówi Ricky. – Zły chłopak! Zły chłopak! ZŁY CHŁOPAK!

– No halo – rzuca Donna. – Mam syna z autyzmem. W domu Robertsów nie ma tajemnic.

– Naprawdę rozmawiałaś z Ryan Gold i jej rodzicami?

– Tak.

– Ale przecież miałaś dziś rozprawę o morderstwo i...

– Posłałam tam Jessicę, żeby reprezentowała nas u Goldów.

Jessica to młoda, ładna i niesamowicie mądra asystentka Donny, której nienawidzę, bo Donna w kółko opowiada o tym, że czeka ją świetlana przyszłość.

– Spoko – mówię i marzę, że któregoś dnia załatwię sobie własną Jessicę, która będzie mi pomagać w robieniu superowych rzeczy dla ludzi w potrzebie.

– Czy ty naprawdę masz kompleksy z powodu swoich zębów? – pyta Donna.

– Nie. Wymyśliłam to na spontanie. Moje zęby są spoko.

– To dobrze, bo są naprawdę białe i proste.

– Dzięki.

– Odwieźć cię do domu, Amber?

– Muszę odebrać Boba, bo nie mogę spać bez mojego psiaka – odpowiadam.

– To może odwiozę was oboje?

– Nie, dziękuję.

– Jest dość zimno – mówi Donna.

– Tak, ale muszę jeszcze wpaść do Franksa.

– Pan Jonathan Franks! – woła Ricky.

– Tak? – rzuca Donna, bo doskonale wie, że to bujdy. Donna prawie na pewno wie, że mieszkam w Żółtku. Jest megamądra. Milczę, a Donna mówi: – Amber, wiem, że trudno jest ci przyjąć ode mnie pomoc, ale naprawdę mogę pomóc tobie i twojej mamie, jeśli tego potrzebujecie. Znam ludzi, którzy...

– Nie potrzebujemy twojej pomocy – odpowiadam, zaskoczona swoim tonem. Brzmie jak sucz. Jest mi z tym źle, zwłaszcza po tym wszystkim, co zrobiła dla mnie Donna, ale nie mogę się powstrzymać i dodaję: – Nie wszyscy potrzebują twojej pomocy.

Straszna ze mnie zdzira.

Ale któregoś dnia mama stanie na nogi. Stawiam na swoją *madre* i nigdy w nią nie zwątpię, ziom.

– Duma to nieładna cecha – mówi Donna.

– Nie jestem ładną dziewczyną – odpowiadam, bo nie mogę się powstrzymać i uwielbiam Ani DiFranco, która zatyłowała tak jedną ze swoich płyt⁹.

– Jesteś śliczna – odpiera Donna – i bije od ciebie światło, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

To, co mówi Donna, jest trochę dziwaczne, więc milknę i słucham, jak Ricky liczy na głos. Zastanawiam się, co on właściwie może liczyć.

⁸ Organizacja zrzeszająca najlepszych uczniów szkół ponadpodstawowych w Stanach Zjednoczonych.

⁹ Mowa o płycie Ani DiFranco *Not a Pretty Girl*.

Kiedy docieramy do domu Donny, wypuszczam B3 z pokoju, wycieram jego powitalną kałużę i zakładam mu kraciaste wdzianko. Potem idę do Donny, która przebiera się w pokoju.

– Donna – zaczynam.

– Tak?

– Przepraszam, że w samochodzie zachowałam się jak suka.

– To nieprawda, nie zachowałam się tak.

– Dałaś czadu na zebraniu – mówię.

– Nie, to ty dałaś czadu.

– Bez ciebie bym sobie nie poradziła.

– Poradziłabyś sobie. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

– Pójdę już – informuję Donnę. Nie chcę, żeby mówiła do mnie tym protekcjonalnym tonem, choć stara się być miłą. Nigdy nie potrafiłabym robić tego co ona. Nocuję w szkolnym autobusie. Jestem dziwadłem. Nie zdołałam nawet zająć pierwszego miejsca w regionalnym etapie konkursu marketingowego.

– Dobrze – odpowiada Donna. – Widzimy się rano?

– Tak – mówię, po czym wychodzę, nie żegnając się z Rickym, bo z jakiegoś powodu nagle robi mi się smutno.

Na zewnątrz panuje zimno. Jak na biegunie północnym. A ja nie mam nawet prawdziwej zimowej kurtki.

Idąc w stronę parkingu dla autobusów, przypominam sobie, co powiedziałam o odwiedzinach w domu Franksa. Nie chcę, by JC uznał mnie za parszywą kłamczuchę, więc nadkładam drogi. Franks mieszka niedaleko w jaskrawozielonym domu z dużą dobudówką na tyłach, w której mieszczą się pokoje jego rudowłosych dzieciaków.

Jest już dość późno jak na środek tygodnia, ale B3 i ja idziemy w górę podjazdu i pukamy do okna piwnicy. Franks gra tam w Halo 3, prawdopodobnie przeciw Tyowi z Federacji Fantastycznych Fanatyków Franksa i ludziom z całego świata. Chłopcy i mężczyźni robią to za pośrednictwem czegoś, co nazywa się Xbox Live. Franks podnosi wzrok, po czym wskazuje na zegarek i potrząsa głową. Zanim udaje mi się ponownie zapukać, słyszę głos jego wrednej rudowłosej żony:

– Jeśli natychmiast nie opuścisz naszej posesji, zadzwonię po policję! Wiem, kim jesteś, Amber Appleton. Idź do domu i zostaw mojego męża w spokoju. On teraz nie pracuje!

– Kocham się na zabój w twoim facecie – mówię jego żonie, tylko po to, żeby ją wkurzyć. – Zostawi cię i ożeni się ze mną, kiedy tylko skończę osiemnaście lat!

– Rozszarpię cię gołymi rękami! – wrzeszczy, wychodząc z kuchni wprost w zimną noc. Ma na sobie przygnębiający szlafrok i kapcie. Wygląda naprawdę żałośnie i domowo.

– Ja tylko żartuję, Ruda. Twój mąż jest honorowym mężczyzną, strasznie cię kocha i nigdy nie zostawiłby ciebie ani dzieci. Nawet za milion dolców. To dlatego tak bardzo chcę go przytulić. Nie oczekuję, że zrozumiesz, ale co noc modlę się za was i waszą rodzinę.

– O czym ty mówisz? – rzuca pani Franks.

– Jesteś szczęściarą – mówię, po czym Bob i ja odchodzimy.

W nocy B3 trochę przygasa. To poranny pies. Dlatego podczas długiej drogi do Żółtka rozmawiam

z JC.

– JC – modłę się. – Widziałeś nas na spotkaniu rady szkoły? Co Ty na to, ziom? – Śmieję się, bo nazwanie JC ziomem w modlitwie jest dość zabawne. – Byłeś ze mnie zadowolony, Ojciec Niebieski? Byłeś dumny ze swojej córki?

Spoglądam w niebo, ale nie ma na nim gwiazd. Wokół tylko latarnie uliczne i mrok.

Mam wrażenie, że JC mnie dziś nie słucha, więc przestaję się modlić i zaczynam płakać.

Kiedy jestem sama, dużo płaczę, prawdopodobnie dlatego że jestem laską i w ogóle. A może po prostu nie jestem tak twarda jak Donna i za dużo myślę – na przykład czasem wmawiam sobie, że mój tata tak naprawdę przez siedemnaście lat obserwował mnie jak Anioł Stróż czy ktoś w tym stylu. Tylko że on żyje i czeka, aż zasłużę na to, by mieć tatę. Kiedy zobaczy, jak dobrze sobie radzę, podbiegnie do mnie od tyłu i zaskoczy mnie mocnym ojcowskim uściskiem. Podniesie mnie z ziemi i okręci jak w jakimś filmie. Czasem kiedy zrobię coś naprawdę wystrzałowego, błyskawicznie się oglądam, bo wierzę, że stoi za moimi plecami i chce mnie uściskać. Ale jego nigdy tam nie ma.

Nie chcę się dziś odwracać, bo mam siedemnaście lat, więc wiem, że to głupiutka fantazja, a może nawet urojenie, ale kiedy wracam do domu, myślę o tym, jak obroniłam Ricky'ego przed Leksem Pinkstonem i jak radosne były CDK, kiedy śpiewałyśmy *You Can't Hurry Love*. Wiem, że Ojciec Chee jest ze mnie zadowolony. Nakłoniłam swoich chłopaków do ratowania Franksa, a każdy dobry ojciec byłby z tego dumny. Kiedy tak maszeruję ulicą, mam wrażenie, że mój tata naprawdę idzie za mną – wydaje mi się nawet, że słyszę kroki.

Nie chcę się odwracać i znów się rozczarować, ale wciąż mam nadzieję i wierzę, że na tym świecie może się wydarzyć coś pięknego. Jestem pewna, że JC i Bóg mają odjazdowy plan dla każdego z nas, więc mówię:

– Tato?

Z sercem pełnym nadziei odwracam się na środku ulicy, ale nikogo tam nie ma. Jak zwykle.

Płaczę – tak głośno, że Bob zaczyna się bać i szczekać, więc biorę go na ręce i zanoszę do Żółtka.

Mama śpi pod kołdrą. Nie budzę jej. Nie odrabiam lekcji. Przez dłuższą chwilę siedzę w cichej ciemności. Z jakiegoś powodu przypomina mi się, jak poprosiłam mamę o namiot. To najpiękniejsza chwila numer cztery z życia Amber i jej mamy:

Kiedy miałam siedem lat, widziałam w telewizji serial, w którym mama i córka spędzają noc w ogródku. Dziewczynka dostaje na urodziny namiot i zamiast w swoim pokoju chce spać na zewnątrz. Mama rozbija dla niej namiot i świetnie się bawią, udając, że są odkrywcami podróżującymi przez Amerykę w czasach, kiedy zamieszkiwali ją jeszcze Indianie. Wyglądały na szczęśliwe, więc ja też zaczęłam błagać mamę o namiot.

Nie kupiła mi namiotu, ale pewnej letniej nocy zrobiła mi go z koców i kijów od mioteł. Próbowaliśmy urządzić sobie biwak za osiedlem, na którym wtedy mieszkaliśmy. Mama była w związku z Trevorem, ale wytrzymali ze sobą tylko kilka miesięcy.

Przy latarce czytałyśmy książki, które wypożyczyłam z biblioteki, a przed pójściem spać mama opowiadała mi głupiutkie bajki o duchach.

Obudziłam się w środku nocy, bo poczułam na twarzy jakąś maź.

– Mamo? – wyszeptałam. – Mamo?

– Co się dzieje? – zapytała.

– Chyba mam coś na twarzy.

– Śpij – odparła mama.

– Naprawdę mam coś na twarzy. Możesz sprawdzić?

Mama włączyła latarkę i zaczęła krzyczeć. Usiadłam i też się rozdarłam. W namiocie z koców roило się od ślimaków bez skorup – były na pościeli, a kilka z nich siedziało na nas. Wybiegłyśmy na zewnątrz i nie mogłyśmy przestać krzyczeć. W końcu zjawiły się gliny z odbezpieczoną bronią. Ktoś złożył zawiadomienie o zakłócaniu spokoju. Byłyśmy tak przerażone, że nie mogłyśmy nawet mówić. Mama po prostu wskazała na namiot. Policjanci wycelowali w niego pistolety i zaczęli bardzo groźnie przemawiać do ślimaków.

– Jesteś otoczony. Wyjdź z podniesionymi rękami. Możemy to rozwiązać bez użycia siły.

To, że policjanci mówili w ten sposób do ślimaków, było dość zabawne, więc zaczęłam się śmiać.

Glinom się to nie spodobało, więc zaczęły nas przesłuchiwać. Kiedy policjanci zdali sobie sprawę, że mierzyli z pistoletów do namiotu pełnego ślimaków, także wybuchli śmiechem.

Mama wyjaśniła im całe zajście i zaproponowała, że w ramach zadośćuczynienia postawi im kawę. Zgodzili się, a my wsiadłyśmy do radiowozu. Zapytałam policjantów, czy włączą koguta i syreny, a oni przytaknęli.

Pojechaliśmy superszybko do całonocnej cukierni, gdzie mama flirtowała z policjantami, a ja mogłam jeść pączki w środku nocy, co było naprawdę wystrzałowe.

Kiedy odwieźli nas z powrotem do mieszkania, weszłyśmy do środka, a ponieważ Trevor rano szedł do pracy, mama spała ze mną w łóżku. To było bardzo miłe, zwłaszcza że wydawało się takie wygodne po tym, jak próbowałyśmy spędzić noc na trawie.

Oddałabym wszystko, żeby znaleźć się dziś w łóżku.

Wracam do terażniejszości. Wyprowadziłam B3 na ostatnie siusiu, przez cały czas bojąc się, że dorwie mnie morderca-gwałciciel. Siedzę teraz w Żółtku, mimo że wcale nie mam na to ochoty, i zmuszam się do modlitwy za wszystkie osoby z mojej listy. Proszę Boga, by pomógł nam wszystkim stać się tym, kim mamy być. Modlę się naprawdę gorliwie, chociaż nie czuję dziś Boga, i zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest na mnie zły. Przez to mam wrażenie, że mój dzień nie był aż taki wystrzałowy.

Bez kołdry jest mi zimno, ale B3 mnie ogrzewa – jego drobne ciało unosi się i opada na mojej piersi wraz z każdym oddechem – i w końcu zasypiam.

Kiedy się budzę, nie pamiętam, co mi się śniło. Mama stoi przed autobusem i pali newporta. Wszystko zaczyna się od nowa.

Część druga
Banda świrów

Po kolejnej lodowatej nocy spędzonej w Żółtku mój tyłek w końcu odtajał i jest już ciepłuteńki. Siedzę na tylnym siedzeniu mercedesa Donny i śpiewam. Podkreślam: podgrzewane skórzane fotele to bardzo przyjemna sprawa.

Słuchamy piosenki zespołu Dinosaur Jr *Freak Scene*, Banda świrów, a to mój ulubiony kawałek D. Jr, przede wszystkim dlatego, że to także ulubiona piosenka Donny – lubię, kiedy śpiewa ją jak nastolatka.

Donna jedzie zbyt szybko – wybija głową rytm i ile sił w płucach wyśpiewuje słowa, rytmicznie uderzając dłońmi w kierownicę, podczas gdy Ricky bezgłośnie liczy.

To dość zabawne, że Donna słucha piosenek o świrach, bo jest taka fajna, nowoczesna, stylowa, mądra i zorganizowana. Moim zdaniem każda kobieta chciałaby być taka – Donna na pewno nie jest dziwadłem jak ja.

Może po prostu słucha takiej muzyki, żeby znaleźć wspólny język ze swoim synem Rickym i naszą Piątką.

Może. Tego ranka daje niezłego czadu – nie zatrzymuje się nawet przed znakiem STOP, ale nic nie mówię, bo nie chcę psuć imprezowej atmosfery. Przecież nieczęsto ma się okazję dać tak ostrego czadu. Nie mówiąc już o tym, że Donna jest wpływową panią mecenas, która powinna się zajmować sprawą o morderstwo. Czasem trzeba odpuścić dorosłym, którzy zachowują się jak dzieciaki, bo to może być coś pięknego. Prawda?

Kiedy dojeżdżamy do szkoły w jednym kawałku, Donna wyłącza muzykę, całuje Ricky'ego i rzuca mi koszulkę moro w rozmiarze XXL dla Franksa.

– Twój ziomal Franks powinien być dzisiaj dumny – mówi Donna, po czym mruga do mnie, podkreca głośność i odjeżdża.

– Zagram w Halo 3 z panem Jonathanem Franksem! – obwieszcza Ricky, po czym pukamy do zewnętrznych drzwi od piwnicy.

Ty otwiera je kopniakiem, a Franks i Chad zabijają kosmitów Tya i Jareda, żeby Ricky mógł dołączyć do gry. Jak co rano. Zanim gra bez reszty pochłonie chłopców, mówię:

– Zobacz, Franks! – I unoszę koszulkę moro.

– To dla mnie? – pyta.

– Mamusia Roberts zrobiła koszulkę dla pana Jonathan Franksa i całej Piątki Federacji Fantastycznych Fanatyków Franksa!

– Super – odpowiada Franks, bierze ode mnie koszulkę, podziwia pomarańczowe litery i pociera materiał w palcach, jakby była zrobiona z drogocennej tkaniny, podobnie jak oryginalna amerykańska flaga uszyta przez Betsy Ross¹⁰ czy coś w tym stylu. – Bardzo fajna – dodaje.

– Zauważyłeś, że wszyscy mamy na sobie takie same koszulki? – mówię.

– To też bardzo fajne.

– Gramy czy jak? – pyta Ty, po czym wszyscy chłopcy logują się do wirtualnego świata.

Czy moi chłopcy zapomnieli o wczorajszym wieczorze, a może obgadali już z Franksem zebranie rady szkolnej?

Zanim udaje mi się poruszyć ten temat i zanim umysły chłopaków zostają wessane do rozmieszczonych w pokoju konsol, do drzwi od strony korytarza puka Lex Pinkston i wtyka głowę do środka.

– Panie Franks, czy mogę wejść i coś powiedzieć?

– Wszyscy uczniowie są mile widziani w mojej klasie. Zapraszam.

Lex powoli wchodzi do środka. Jest wysoki, ma mnóstwo mięśni i twarz kretyna, ale dziś ma poważną minę.

– Posłuchajcie – zaczyna. – Czasem mówię głupoty, bo przy innych ludziach czuję, że muszę. Cięży na mnie presja, bo w końcu jestem kapitanem drużyny i, no cóż... Wiem, że to, co kazałem mówić Ricky’emu, jest... hmm... niefajne.

– Czy to mają być przeprosiny? – pytam.

– Przepraszam, że powiedziałem ci te wszystkie rzeczy, Amber.

– Modłę się za ciebie co wieczór – mówię.

– Dlaczego?

– Bo tego potrzebujesz.

– Przepraszam też za to, że kazałem Ricky’emu powtórzyć to wszystko Ryan. Przepraszam, to się więcej nie powtórzy. W porządku?

– Tatuś kazał ci tu dzisiaj przyjść? – pytam jak totalna suka.

– Słuchaj, powiedziałem, że mi przykro. To się więcej nie powtórzy. W porządku?

– Nie. Nie w porządku. Nie możesz tak po prostu wymazać...

– Lubisz grać na xboksie, Lex? – mówi Franks.

– Co? – pyta Lex.

– Grasz na konsoli? – powtarza Franks. – Lubisz gry wideo?

– Tak. A kto nie lubi?

– Jesteś dobry w Halo 3? – pyta Franks.

– Lepszy niż ktokolwiek w tej sali – odpowiada Lex.

Moi chłopcy spoglądają na siebie i powstrzymują uśmiechy.

– To zagraj z nami – rzuca Franks.

– Teraz?

– Lekcja wychowawcza zaczyna się dopiero za kwadrans.

– Mówi pan poważnie? – Lex nie dowierza.

– Jesteś w drużynie z Rickym – mówi Franks. – Amber, weź sobie krzesło.

Stawiam krzesło obok Franksa i przez następne dziesięć minut patrzę, jak wirtualni kosmici moich chłopców na każdy sposób spuszczaają manto wirtualnemu kosmicie Leksa. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że Lex ginie około pięciu razy na minutę, a sam nie zalicza nawet jednej ofiary.

Moi chłopcy są bezlitośni. Moi chłopcy triumfują. Moi chłopcy są piękni.

– Jesteście naprawdę dobrzy – mówi Lex, kiedy gra się kończy.

– Następnym razem przyprowadź znajomych – mówi do niego Franks. – Gramy codziennie przed lekcjami i w czasie przerwy obiadowej. Wszyscy są tu mile widziani.

Kiedy odzywa się dzwonek sygnalizujący koniec przerwy, moi chłopcy rzucają się do ucieczki, jak gdyby ktoś krzyknął, że wybuchł pożar czy coś w tym stylu. Uciekają jak szczury z laboratorium, ale ja nie ruszam się z miejsca.

– Dlaczego powiedziałaś Leksowi, że może przychodzić do *naszej* klasy? – pytam Franksa.

– To nie *nasza* klasa. Wszyscy są tu mile widziani – odpowiada Franks.

– *Lex Pinkston*? Wiesz, że wczoraj nazwał mnie obrzydliwym dwusylabowym słowem określającym kobietę, którego nie zamierzam nawet powtarzać?

– Może gdyby częściej przebywał w tej sali, wcale by cię tak nie nazwał. Może byście się zaprzyjaźnili?

– Mówisz poważnie, Franks?

– Nie, na niby – odpowiada, po czym śmieje się z własnego dowcipu jak jakiś burak.

– Słyszałeś, jak głosowała wczoraj rada szkoły?

– Nie.

Nie wspomina o tym, że pomogliśmy mu utrzymać pracę, więc moi chłopcy pewnie nic mu nie powiedzieli.

– Nie martwisz się wynikiem głosowania? – pytam.

– To sprawy z tego świata.

– Twoja żona była nieźle wkurzona, kiedy wczoraj do was wpadłam.

– Nie powinnaś mnie odwiedzać w domu, Amber.

– Chyba nie sądzi, że naprawdę się w tobiekocham? Dlaczego nie mogę cię przytulić, Franks?

Tylko raz.

– Dlaczego to robisz? Ilekroć jesteśmy sami, sprawiasz, że czuję się niekomfortowo.

– Uścisk to coś miłego, Franks.

– Nie zawsze.

– W takim razie kiedy uścisk nie jest czymś miłym?

– Kiedy sprawia, że druga osoba odczuwa dyskomfort.

– Ja lubię przytulanie – mówię. – Przytulam wszystkich i to masowo.

– Nie każdy chce być przytulany.

– Moim zdaniem to głupie.

– Dlaczego? Bo ty tak mówisz? Przytuliłabyś Leksa Pinkstona?

Trochę się wkurzam na Franka, zwłaszcza po tym wszystkim, co zrobiliśmy dla niego wczoraj wieczorem, nie wspominając o tym, że zaprosił Leksa i jego koleżków do Jaskini, ale odzywa się drugi dzwonek, który oznacza, że już jestem spóźniona, więc wychodzę bez odpowiedzi i wracam do klasy, gdzie czeka na mnie wezwanie do dyrektora. Robię zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wlekę się do gabinetu Dyrcia Tony'ego.

Wszyscy moi chłopcy tłoczą się na ławce dla niepokornych uczniów. Tylko Chad siedzi w swoim Das Boocie.

– Amber – mówi czerwonousta pani Baxter, zanim udaje mi się porozmawiać z chłopakami – możesz tu podejść?

Staję przy biurku sekretarki Dyrcia Tony'ego.

– Słyszałam o tym, co się stało wczoraj wieczorem – szepcze. – Trzeba przyznać, że masz tupet.

– Dzięki – odpowiadam, po czym dołączam do moich chłopców, którzy wiercą się na ławce dyscyplinarce.

– Obyśmy nie mieli kłopotów – mówi Ty.

– Za ile minut Ricky Roberts musi iść na matematykę?

– To nie wygląda dobrze – obwieszcza Chad z Das Boota.

– Lepsze to niż WF – rzuca Jared.

– Chłopaki, przecież to Dyrcio Tony – uspokajam ich. – Pozwólcie, że ja z nim pogadam. Będzie spoko.

– A co, jeśli wezwie nas po kolei? – pyta Ty.

– Nie ma szans – odpowiadam.

– Skąd wiesz? – drażni Jared.

– Ile minut zostało do matematyki?

– Znam Dyrca Tony’ego. Będzie chciał oszczędzić czas. Jest wydajny do bólu.

Drzwi się otwierają i Dyrco Tony mówi:

– Cała banda do środka.

Rzucam chłopcom porozumiewawcze spojrzenie oznaczające: „A nie mówiłam?”, po czym wchodzimy i zajmujemy miejsca w przeciwległych krańcach gabinetu.

Chad parkuje Das Boota na środku, a Dyrco Tony siada za swoim ogromnym biurkiem.

– Rada szkoły głosowała za utrzymaniem działu biznesowego.

Bijemy brawo i wiwatujemy.

– Pewnie się ucieszycie, że pan Franks otrzyma też większy budżet.

Uśmiecham się i kiwam głową. Bingo!

– A teraz pomówmy o innych sprawach, na które wczoraj narzekaliście – oznajmia Dyrco Tony. – Mówiliście poważnie? Czy naprawdę tak silnie to wszystko przeżywacie, czy była to po prostu zbiorowa strategia, żeby ocalić pana Franksa?

– Raczej strategia – mówi Ty.

– My po prostu bardzo lubimy Franksa – dodaje Jared.

– Ile czasu zostało do matematyki?

– Gra w Halo 3 podczas przerwy obiadowej i przed szkołą. Czy naprawdę prosimy o zbyt wiele? – rzucą Chad.

– A więc sprawę uznajemy za rozwiązaną? – pyta Dyrco Tony. – Koniec z wdzieraniem się na zebrania rady szkoły? Jesteście usatysfakcjonowani?

– Raczej tak – odpowiada Ty, kiedy nikt inny się nie odzywa.

– To dobrze – oznajmia Dyrco Tony, po czym dodaje: – Zrobiliście na nas wczoraj wielkie wrażenie. Naprawdę. A teraz zmykajcie na lekcje.

Moi chłopcy zrywają się z miejsc i radośnie wychodzą z gabinetu dyrektora, podążając za Das Bootem i Chadem, ale ja się nie ruszam i ze smutkiem kręcę głową.

Mimo rzezi, której dopuszczają się w wirtualnym świecie xboxa, moim chłopcom brakuje morderczego instynktu.

– Panno Appleton?

– A więc tak to działa u dorosłych? – mówię.

– Nie rozumiem.

– Wystarczy kilka gróźb, żeby dostać to, czego się chce. Tylko że nikogo tak naprawdę nie obchodzą sprawy, które nie dotyczą ich samych. Nikomu nie zależy na tym, żeby zrobić po prostu coś dobrego?

– O czym ty mówisz? Program pana Franksa jest bezpieczny co najmniej przez kolejny rok, aż skończycie szkołę. Osiągnęliście swój cel. Powinnaś się cieszyć.

– Niby tak.

– O co chodzi?

– Nie wiem.

– Możesz ze mną porozmawiać, Amber – mówi jak każdy dorosły.

– Nie sądzi pan, że powinniśmy świętować Dzień Martina Luthera Kinga i wprowadzić różnorodność rasową wśród nauczycieli? Nie uważa pan, że należy dostosować szkołę do potrzeb osób

niepełnosprawnych? Nie sądzi pan, że dzieciaki nie powinny doświadczać nękania ze strony ludzi takich jak Lex Pinkston?

– Oczywiście. Zgadzam się ze wszystkim.

– Więc dlaczego nic z tym nie robicie?

Dyrcio Tony nachyla się, spogląda na mnie ojcowskim wzrokiem i mówi:

– Myślisz, że nie zrobiłbym tego, gdybym mógł?

– Przecież jest pan dyrektorem szkoły. Może pan robić, co się panu podoba.

Dyrcio Tony uśmiecha się ze smutkiem i stwierdza:

– Dobry z ciebie dzieciak, Amber. Wyrośniesz na wspaniałą kobietę.

– Dlaczego wszyscy to powtarzają? Czuję się jak butelka wina.

– Kiedyś to zrozumiesz.

– Co za gówniana odpowiedź.

– Kiedyś udzielisz takiej samej odpowiedzi komuś młodszemu od ciebie.

– Nieprawda.

– Lepiej wracaj na lekcje, Amber – mówi Dyrcio Tony, po czym zabiera się do otwierania listów, jak gdyby mnie już nie było. Zastanawiam się, czy wczorajszy wieczór cokolwiek zmienił.

¹⁰ Betsy Ross – szwaczka, postać powiązana z amerykańską rewolucją. Legenda głosi, że uszyła amerykańską flagę dla Jerzego Waszyngtona.

W trakcie przerwy obiadowej Lex Pinkston rzeczywiście przyprowadza swoich koleżków z drużyny do Jaskini Franksa, a moi chłopcy beztrudnie grają w Halo 3 z wrogiem. Co gorsza, robią to pod okiem Franksa i wszyscy wydają się świetnie dogadywać, co mnie strasznie wkurza, więc wracam do stołówki i czytam *Czarownice z Salem* Arthura Millera.

Podziwiam mężczyzn takich jak John Proctor¹¹. Zamiast wydać przyjaciół w czasie polowania na czarownice, idzie na stryczek. Proctor to człowiek z zasadami w przeciwieństwie do Dyrca Tony’ego i moich chłopców, którzy natychmiast zaczęli grać w gry wideo z kliką popularnych dzieciaków – tych samych, które niecałe dwa dni temu nazwały mnie obrzydliwym dwusylabowym słowem określającym kobietę i doprowadziły Ryan Gold do płaczu.

To takie dołujące. Niezrozumiałe. Porąbane.

Po szkole zgarniam Ricky’ego spod jego szafki na korytarzu i idziemy do klasy Franksa. Po lekcjach Franks zazwyczaj odbiera swoje dzieci ze szkoły – jego żona nie jest nauczycielką i pracuje w takich godzinach jak każdy normalny dorosły – więc nie zostaje zbyt długo po ostatnim dzwonku, ale udaje mi się go złapać w korytarzu, jeszcze zanim opuszcza budynek.

– Słyszałeś o tym, co wczoraj dla ciebie zrobiliśmy? – pytam.

– Tak – odpowiada Franks, który niesie mnóstwo teczek. – Dyrektor Fiorilli mi o wszystkim powiedział.

– No i?

– No i co?

Staram się zlekceważyć ten brak wdzięczności, ale nie potrafię opanować zaskoczenia, które jasno komunikuje: „Nie zamierzasz nawet podziękować?”

– Doceniam to, że przemawiałaś w moim imieniu, Amber. I ty też, Ricky.

– Pan Jonathan Franks jest ulubionym nauczycielem Ricky’ego Roberta.

Franks przybija Ricky’emu szybką, ale serdeczną piątkę.

– Więc dlaczego nie jesteś bardziej... wzruszony tym, co zrobiliśmy? – pytam.

– Cóż, wolałbym myśleć, że nie wyrzucają mnie z pracy, bo dobrze wychodzi mi uczenie marketingu i reklamy, a nie dlatego, że zagroziliście radzie szkoły, nie pytając nawet, co o tym myślę. Może rada szkoły zagłosowałaby tak samo, bo uważa, że jestem dobrym nauczycielem.

Nie mogę uwierzyć, że nie jest mi wdzięczny i że nie szaleje ze szczęścia. Byłam pewna, że Franks mnie przytuli. Naprawdę sądziłam, że to będzie nasza chwila. Coś we mnie pęka.

– Co? – rzucam. – To my uratowaliśmy twoje stanowisko, Franks. *My to zrobiliśmy*. Federacja Fantastycznych Fanatyków Franksa. Naprawdę wierzysz w ten cały szajs z „dobrym nauczycielem”? Cały dzień grasz w gry wideo i proponujesz dzieciakom łatwe przedmioty nadobowiązkowe, żeby mogły podnieść sobie średnią. Ocaliliśmy ci tyłek. Nie rozumiesz tego? Gdyby nie my, na pewno by cię wylali.

Robi mi się głupio, kiedy tylko wypowiadam te słowa.

– Dlaczego tak naprawdę poszłaś na zebranie rady szkoły, Amber? Dla mnie czy dla siebie? Nie potrzebuję ratunku. A ty? – odpowiada Franks chłodno, po czym dodaje: – Jeśli potrzebujesz pomocy, jestem do twojej dyspozycji w szkole między szóstą trzydzieści a trzecią piętnaście. Wystarczy poprosić. Zawsze jesteś mile widziana w mojej klasie. Ale przestań przychodzić do mojego domu. Zaczynasz naprawdę przesadzać, Amber. *Nie żartuję*.

Po tych słowach Franks odchodzi.

– Amber Appleton płacze. Dlaczego Amber Appleton płacze? Dokąd Amber Appleton idzie? Dlaczego Amber Appleton płacze? Dlaczego Amber Appleton płacze?

Wypłakuję łzy wściekłości aż do samych drzwi Donny, a Ricky depcze mi po piętach.

– Dlaczego Amber Appleton płacze? Dlaczego Amber Appleton płacze? Dlaczego Amber Appleton płacze?

Przestaje zadawać to pytanie, kiedy otwiera zeszyt do matematyki i siada przy stole w kuchni.

Wypuszczam B3 z pokoju. Sika przez całą minutę, tak że na podłodze powstaje żółty strumyczek, po czym wskakuje mi na rękę.

Mocno go przytulam i wycieram kałużę papierowym ręcznikiem.

Przed wyjściem daję Ricky’emu miseczkę precli i puszkę pomarańczowo-mandarynkowego napoju, a następnie wkładam B3 do koszyka i wskakuję na rower Donny.

– Przestań ryczeć – nakazuję sobie. – Musisz rozweselić starszków. Wierzą w to, że potrafisz przegonić łzy. I tak mają wystarczającego doła, bo są starzy. Weź się w garść, Amber! Nie możesz brać udziału we freestyle’owej bitwie, jeśli będziesz płakać. Musisz bronić tytułu. Przestań beczeć!

W ostatniej chwili przypominam sobie, żeby zatrzymać się przy kiosku Alana i kupić duży kubek kakao oraz snickersa, a kiedy sprzedawca pyta, czy płakałam, odpowiadam:

– Co? – po czym wybucham wariackim śmiechem, żeby drugi raz nie zadawał tego pytania. W końcu biorę się w garść i pokonuję kilka ostatnich przecznic do Metodystycznego Domu Spokojnej Starości.

Wykombinowałam sobie tę środową fuchę, kiedy zobaczyłam ogłoszenie przyklejone do jednego z potężnych starych drzew przed domem starców. Przechodziłam tamtędy w drodze powrotnej z pracy. Jaskraworóżowy papier, na którym wydrukowane było ogłoszenie, przykuł moją uwagę, więc przyjrzałam mu się dokładniej. Treść ogłoszenia brzmiała mniej więcej tak: „Dziś nadarza się wspaniała okazja, żeby znaleźć nowego przyjaciela. Seniorzy mają w zanadrzu mnóstwo ciekawych historii i zawsze chętnie dzielą się bogatym doświadczeniem życiowym. Jeśli chcesz zostać kumpelkiem seniora, który będzie cię zabawiać opowieściami o minionych czasach, zasięgnij informacji w środku. Już dziś zdobądź nowego przyjaciela”. Lubię zaprzyjaźniać się z nowymi ludźmi, jestem bardzo dobrą kumpelką i po prostu uwielbiam być zabawiana, więc zasięgnęłam informacji w środku i zapisałam się na listę wolontariuszy. Kiedy sezon się skończył i lodziarnię U Rity zamknięto, przestałam sprzedawać sorbety po szkole i zaczęłam regularnie bywać w Metodystycznym Domu Spokojnej Starości.

Gdy po raz pierwszy znalazłam się w domu starców, pracownicy powiedzieli mi, że mam po prostu rozmawiać ze starszkami w świetlicy – rozwiązywać krzyżówki, słuchać opowieści o wnukach, wielkim kryzysie i cenach mleka sprzed siedemdziesięciu lat. To wszystko zaczęło mnie bardzo przygnębiać. Ci starsi ludzie nie potrzebowali słuchaczy, którym mogliby opowiadać te swoje beznadziejne historyjki. Potrzebowali iskry, czegoś, co przypomni im, że jeszcze nie umarli. Pracownicy domu nie zwracają na nich uwagi, zwłaszcza że ludzie umierają tam prawie codziennie. Jestem tam raz w tygodniu i co tydzień ktoś znika. Ale przez długi czas nie wiedziałam, jak ożywić to miejsce.

Później poznałam Joan Sędziwą, która na oko jest najwredniejszą kobietą na świecie, ale w głębi duszy to prawdziwa myślicielka. Żeby się o tym przekonać, trzeba się przedrzeć przez jej złośliwość i też być złośliwym. Tylko w ten sposób można zyskać jej szacunek. Odkryłam to któregoś dnia przez przypadek, kiedy powiedziałam jej, że chciałabym pójść do Bryn Mawr College, a ona odparła, że nigdy się tam nie dostanę, bo nie jestem dość inteligentna.

Jej nieuprzejmość mnie zaskoczyła, bo stare kobiety powinny być babciowate i miłe, więc straciłam panowanie nad sobą i niezłe ją zwyzywałam. Naprawdę obrzuciłam ją dość paskudnymi określeniami, a ona się uśmiechnęła. Zdziwiłam się, ale dzięki temu wpadłam na odjazdowy pomysł, żeby zamienić

światlicę w arenę do bitwy na słowa, gdzie raz w tygodniu nadzieja spuści manto rozpaczy. Z początku brzmiało to dziwnie, ale zawsze wierzę swoim wizjom, dlatego podrzuciłam mój pomysł kilku starszym panom – którzy zawsze mnie obejmują i ściskają za ramiona – a oni go podchwycili i pomogli wcielić w życie.

Joan Sędziwa uwielbia być nieprzyjemna i od razu wcieliła się w swoją rolę. To bardzo podniosło morale w domu seniora – tak przynajmniej twierdzą jego rezydenci.

Od frontu Metodystyczny Dom Spokojnej Starości ma ogromne kolumny z czasów, kiedy istniały wielkie plantacje z niewolnikami, oraz ganek z bujanymi drewnianymi fotelami, z którego rozciąga się widok na rozległy pofałdowany trawnik. Ja jednak korzystam z tylnego wejścia, gdzie trzeba się wpisać na listę i przejść obok budki strażnika. Środowe popołudnia to zmiana Odźwiernej Lucy.

Parkuję rower Donny za krzakiem – ukrywam jednośląd, żeby nikt go nie buchnął – wyjmuję B3 z koszyka, po czym podchodzę do wejścia dla gości z psakiem w jednej ręce i kubkiem parującego kakao w drugiej.

– Nie wolno wprowadzać psów – mówi Odźwierna Lucy zza biurka, powoli kręcąc głową i patrząc mi w oczy. – Zna pani zasady, panno Appleton. Nie ja je ustanawiam, ale muszę mieć z czego żyć, więc ten kudłaty szczur ma zostać na zewnątrz.

– OL! – Tak w skrócie mówię do Odźwiernej Lucy i chyba jej się to podoba, bo zawsze się wtedy uśmiecha. – Jest straszny ziąb.

– Nie da się ukryć.

– Za zimno, żeby zostawiać psa na dworze.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Przecież za każdym razem, kiedy otwierają się te drzwi, robi się zimno.

– To prawda – przyznaje Odźwierna Lucy, unosząc brew.

– Kupiłam kakao, ale nie mam teraz ochoty na ten aromatyczny zimowy napój. Szkoda by go było wyrzucić. Nie chciałabym, żeby te pyszności się zmarnowały.

– Panno Appleton, wie pani, że nie wolno mi przyjmować łapówek od gości, ale gdyby zostawiła pani ten napój na moim biurku, wiedząc, że nie zmieni to faktu, iż pies musi zostać poza budynkiem, postaram się, żeby nic się nie zmarnowało.

Bardzo powoli stawiam kubeczek na jej biurku, w ramach bonusu kładę snickersa na wieczku, osładzając nieco naszą transakcję – bo naprawdę uwielbiam Odźwierną Lucy – podpisuję się na liście gości, którzy odwiedzili dziś to miejsce, zapisuję czas wizyty i powoli ruszam w stronę budynku z Bobem pod pachą.

– Dziękuję, że zostawia pani psa na zewnątrz, panno Appleton. Na pewno rozumie pani, że obowiązują tu pewne zasady – mówi Odźwierna Lucy.

– Tak, tak, rozumiem – odpowiadam.

Bob wydaje pojedyncze szczeknięcie, potwierdzając, że on także wszystko rozumie. Wchodzimy do środka przez drugie drzwi. Pokonujemy ciąg przygnębiających korytarzy, gdzie w kątach stoją przykurzone sztuczne rośliny, ale nie dostrzegam nikogo z pracowników.

Kiedy wchodzimy do świetlicy, witają nas owacje.

Nie chcę się chwalić, ale dla tych ludzi jestem prawie jak gwiazda rocka. Podrzucam Boba Dziegającej Carol, która ukrywa psiaka w zwojach włóczki. B3 uwielbia spać we włóczce, więc nie dzieje mu się krzywda. Dziegająca Carol kocha psy, więc idealna z nich para. Kiedy Bob leży jej na kolanach, uśmiecha się jak mała dziewczynka w Wigilię. Bez kitu.

– W porządku, dzieciaku – mówi do mnie Stary Linder, ustawiając się za mną i rozmasowując mi kark. – Ta starucha przez cały tydzień mamrotała pod nosem obraźliwe uwagi pod twoim adresem. Dziś

pójdzie na całość. Nie daj się ciosom poniżej pasa, bo jak wiesz, ten pomarszczony babsztyl przygotował ich całe mnóstwo.

Stary Linder jest moim trenerem. Ma jakieś sto piętnaście lat i ciągnie za sobą butlę z tlenem, która pompuje czyste powietrze przez przezroczyste rurki umieszczone w nosie. Jego oddech cuchnie, a na twarzy ma plamy, jest jednak supertrenerem, który we mnie wierzy. To twardziel, więc cieszę się, że mam go w swoim narożniku.

Biuściasta Bernice zamknęła drzwi do świetlicy, żeby personel nie słyszał okrzyków i nie przerwał bitwy w czasie mojej nawijki z Joan Sędziwą.

Wszyscy staruszkowie niespiesznie podsuwają krzesła i wózki z przykutymi do nich mieszkańcami domu opieki, co oznacza, że wszyscy z bardzo bliskiej odległości będą obserwować bitwę, bo starzy ludzie niezbyt dobrze widzą i słyszą. Powaga.

Otaczają mnie siwe włosy, swetry własnej roboty, stylowe niemarkowe adidasy, syropy na kaszel, włosy w uszach, żółte paznokcie, drżące kończyny, zmarszczki, pieluchy oraz intensywny szpitalny zapach, który w dziesięć sekund potrafi wyjałowić błonę śluzową nosa.

Joan Sędziwa siedzi w wózku na samym środku, wlepiając we mnie pomarszczone różowe powieki i starając się mnie onieśmielić. Nawet w mokrych ciuchach ważyłaby jakieś czterdzieści kilogramów. Jak zwykle ma na sobie czarne ubranie, bo wciąż jest w żałobie po mężu, który umarł jakieś trzydzieści lat temu. Bez kitu.

Joan Sędziwa potrząsa swoim starym różowym palcem w moim kierunku, po czym kręci głową, tak że jej czarny czepek przekrzywia się w lewą stronę, więc poprawia go drżącymi kościstymi dłońmi.

Joan Sędziwa nie ma trenera, głównie dlatego, że wszyscy mieszkańcy jej nienawidzą. Przez większość czasu jest bardzo przygnębiona i dwadzieścia cztery godziny na dobę cytuje dołującego Nietzschego, co oczywiście nie przysparza jej przyjaciół.

Zajmuję miejsce przy najbardziej słonecznym oknie w pomieszczeniu, a Stary Linder mówi:

– Pamiętaj, że publiczność nie zawsze rozumie te twoje nowomodne odniesienia rodem z MTV, więc dostosuj swoje żarty do właściwej grupy wiekowej. Robisz to dla naszej przyjemności. To jedyna rzecz, na którą czekamy przez cały tydzień. Gdyby nie ta cotygodniowa bitwa, zanudzilibyśmy się tu na śmierć. Tylko to daje nam odmianę i trochę rozrywki, więc nas nie zawieź. Nadzieja na to, że ta zrzędliva matrona się uśmiechnie, przerywa beznadziejną rutynę dni. Zrób to dla nas. Nie przerywaj, dopóki się nie uśmiechnie. Nie miej litości!

Kiwam głową i rozgrzewam kark, wyłamuję kostki i boksuję powietrze jak Cassius Clay (znany również jako Muhammad Ali, ziom!).

Wszyscy staruszkowie siedzą na miejscach i czekają na rozpoczęcie bitwy, więc Stary Thompson – który w każdą środę wkłada muszkę, żeby lepiej wejść w rolę – wstaje i zwraca się do widowni. Jest przygarbiony, ale dziarski.

– Witajcie na kolejnej środowej bitwie pomiędzy nadzieją i pesymizmem. W lewym narożniku powitajmy niezłomną orędowniczkę nadziei, nastolatkę o niesłabnącym optymizmie, radosną faworytkę widowni, dziecko, dziewczynkę, którą chcielibyście widzieć w roli swojej wnuczki, a nawet prawnuczki, jedyną małąlatę odwiedzającą nas w dni nieświęteczne, niekwestionowaną czempionkę środowych popołudni, Amber Księżniczkę Nadziei Apple-tooon!

Unoszę ręce nad głowę i kilka razy podskakuję.

Zebrani biją brawo, a staruszkowie, którzy mają jeszcze przednie zęby, gwizdzą.

– A teraz czas na jej przeciwniczkę – mówi Stary Thompson i wszyscy zaczynają buczeć. – Tej niewiasty nie trzeba nikomu przedstawiać. Dama w czerni. Wieczna żałobniczka. Samozwańcza nihilistka. Kobieta, która mówi, że w budynku jest za zimno, i zmusza zarządców, by podkręcili termostat,

żebyśmy musieli chodzić w takich samych strojach jak wiosną trzydziestego szóstego roku, kiedy zanotowano rekordowe upały. Osoba, która podczas zeszłorocznej Wigilii symulowała atak serca, bo uznała, że za dobrze się bawimy. Wszyscy ją znacie. Z pewnością co najmniej raz w ciągu ostatniej doby usłyszeliście od niej obelgę. Krucha niewiasta, którą kochacie nienawidzić. Joan Sędziwa!

Rozległy się okrzyki niezadowolenia. Ktoś rzucił w Joan szydełkiem, ale spudłował o co najmniej półtora metra.

Joan macha kościstymi dłońmi w stronę krzyczących, których nie rozpoznaje, bo jest niewidoma.

– W porządku, moje panie – mówi Stary Thompson. – Zapraszam.

Joan Sędziwa wyjeżdża wózkiem na środek, a ja do niej dołączam.

– Pamiętajcie, że interesuje nas uczciwa walka – instruuje Stary Thompson, a jego oddech pachnie tak, jakby posypał sobie język proszkiem, który zebrał się na dnie buteleczki lekarstwa na zgagę Tums. – Trzymajcie się z dala od polityki i religii. To dom prowadzony przez metodystów, więc ograniczmy też przekleństwa. Znacze zasady. Jeśli Joan Sędziwa się uśmiechnie, nasza młoda dama znów wygra. Jeśli Amber Appleton się rozpłacze, staruszka po raz pierwszy osiągnie zwycięstwo. Czas na rzut monetą. Ta, która dobrze wytypuje, ma pierwszeństwo wyboru.

– Reszka – mówi Joan Sędziwa.

Stary Thompson podrzuca i łapie ćwierćdolarówkę, po czym kładzie ją na zewnętrznej stronie nakrapianej żyłastej dłoni.

– Orzeł!

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? – pyta Joan Sędziwa. – W końcu jestem ślepa.

– Możesz sobie dotknąć górnej powierzchni monety – odpowiada Stary Thompson, podsuwając dłoń Joan Sędziwej.

Kobieta maca jego rękę i monetę, po czym rzuca:

– Cholera!

– Atakujesz czy odpierasz? – pyta Stary Thompson.

– Atakuje – odpowiada za mnie Stary Linder, po czym klepie mnie w tyłek, mówiąc: – Pokaż jej, dzieciaku! – I siada.

– Czas rozpocząć walkę! – oznajmia Stary Thompson, a zebrani staruszkowie biją brawo i pokrzykują.

– Problem z kobietami z twojego pokolenia – zaczyna JS – polega na tym, że marnujecie czas, wykonując prace społeczne i marząc o uniwersytecie, podczas gdy powinniście szukać sobie męża, który zapewni wam dach nad głową i wypełni lodówkę jedzeniem. Lepiej zmądrzej, latawico. Przychodzenie tutaj to strata czasu. Za kilka tygodni wszyscy i tak kopniemy w kalendarz. Powinnaś szukać męża teraz, kiedy jesteś jeszcze chuda, bo za niecałe dziesięć lat zamienisz się w grubą krowę. Naprawdę chcesz skończyć jako stara panna?

– Uuu! – huczy publiczność, a Joan Sędziwa kiwa głową z zadowoleniem.

– Dobrze, dobrze – mówię. – Wiecie, jak stara jest Joan Sędziwa?

– Jak stara jest Joan Sędziwa? – powtarza mój trener, tak jak go nauczyłam.

– Jest tak stara, że w podstawówce nauczyciel wykuwał jej świadectwa w kamieniu, a Joan musiała dojeżdżać do szkoły na dinozaurze.

– Hej! – krzyczą zebrani, po czym wiwatują i przekazują sobie mój głupiutki żart, z uznaniem kiwając przy tym głowami.

Ten żart może was nie śmieszyć, ale pamiętajcie, jaką mam publiczność – starzy ludzie uwielbiają takie suchary.

Twarz Joan się nie zmienia. Żadnego uśmiechu.

– Kiedy byłam młodą kobietą, nie widziałam żadnego dinozaura. Widziałam za to samotne, nudnawe dziewczątka, które nigdy nie były zapraszane na potańcówkę przez obiecujących przystojnych chłopców. Wszystkie te brzydule prowadziły potem samotne życie dziewczyc w przygnębiająco ciasnych mieszkaniach socjalnych, bo żaden mężczyzna ich nie chciał. Kiedy byłam w twoim wieku, znajdowaliśmy te dziewczyny z twarzami dinozaurów w domach spokojnej starości, gdzie pracowały jako wolontariuszki.

Zebrani wyją.

Z trudem przełykam ślinę. Trochę mnie to zabolalo. Czy naprawdę mam twarz dinozaura? I skąd Joan miałaby to wiedzieć, skoro jest ślepa? Czy ktoś jej o tym powiedział? To prawda, że chłopcy nigdy nie zapraszają mnie na potańcówki. Nie, żebym sama szalała na ich punkcie – niby jak miałabym szaleć po tym, co ten Dupek Oliver i cała reszta zrobili mojej mamie? – ale nie jest też tak, że do końca życia chcę być sama, po tym, jak moi chłopcy z Piątki ożenią się z głupimi kobietami w stylu młodszej Joan Sędziwej.

I naprawdę nie chcę skończyć jak moja mama.

Łapię oddech i spoglądam na mojego trenera. Stary Linder zarzucił sobie na ramię biały ręcznik i zachęcająco kiwa do mnie głową, podnosząc swoje stare różowe dłonie i mówiąc: „Spokojnie”, więc roluję głowę wzdłuż ramion, spoglądam na zebranych i widzę, że są bardzo zaniepokojeni.

– Joan jest taka stara – odgryzam się – że pierdzi kurzem.

– Hej! – ryczy tłum, a ja unoszę ręce. Jednak Joan Sędziwa jest nieporuszona. Nie uśmiecha się.

– Friedrich Nietzsche napisał kiedyś: „Myśl o samobójstwie wielką jest pociechą: dzięki jej niejedna noc zła przepędza się dobrze”¹². Ofiarowuję ci ten kasek w formie przyszłej pociechy, kiedy my będziemy leżeć głęboko pod ziemią, a ty znajdziesz się zupełnie sama w jakiejś ciasnej socjalnej klitce, bez mężczyzny i dzieci, rozmyślając o swoim jałowym łonie.

– To cios poniżej pasa! – protestuje mój trener.

– Pilnuj się, Joan – ostrzega Stary Thompson.

– Joan, czy ty przypadkiem nie spotykałaś się z Nietzschem w dziewiętnastym wieku? Tuż po tym jak umarł twój mąż? – mówię i kilku starszych mężczyzn krzyczy z uznaniem, ale większość staruszków jęczy, więc wiem, że mój żart się nie przyjął. Robienie sobie jaj z nieżyjącego męża raczej się tu nie sprawdza. Niepisana zasada.

– Pilnuj się, Amber – oznajmia Stary Thompson. – Zachowujmy się porządnie. Niech to będzie czysta i uczciwa gra.

– Co ty tam wiesz, dziecko? – rzuca Joan Sędziwa. – Życie zawsze staje się cięższe, gdy dociera się na szczyt. Czuje się wtedy chłód i samotność. To także Nietzsche. Nie znasz jeszcze bólu, młoda kobieto, ale poczujesz go. Poczujesz ból. Życie to piekło, a twoje dopiero się zaczęło.

Mam wrażenie, że Joan spogląda na mnie przez różowe pomarszczone powieki, i nagle na widok tej starej kobiety cytującej Nietzscha przechodzi mnie dreszcz. Może ma rację. Może w przyszłości nie czeka mnie nic oprócz bólu. Człowiek cierpi w nieskończoność, a potem umiera. Czy to w ogóle może być prawda?

W pomieszczeniu panuje martwa cisza, a ja nie mogę wymyślić żadnego żartu. Czuję, że to może być koniec, że Joan Sędziwa po raz pierwszy mnie pokona i że w Metodystycznym Domu Spokojnej Starości nadzieja umrze razem ze wszystkim i wszystkimi dokoła.

Wtedy jednak przypominam sobie, że mam po swojej stronie Boga, więc modłę się cicho.

Proszę, JC. Tylko jeden żarcik. Pomóż mi podtrzymać wiarę w tych staruszkach, którzy zaraz umrą. Pozwól mi ofiarować im chociaż trochę nadziei, tak by wierzyli do czasu, aż kopną w kalendarz.

Mam!

Podchodzę do Joan i mówię:

– Nic nie szkodzi. Możesz być sobie pesymistką, JS. Ja i tak cię kocham. – Po czym wyciskam jej wielkiego mokrego całusa na policzku. Joan dramatycznie rozdziawia usta i wiem, że ją mam. Wszyscy wyją ze śmiechu. – Ty stara, słodka, pomarszczona, przygnębiająca wariatko. Kocham cię! – Daję jej kolejnego mokrego całusa w drugi policzek. Joan się rumieni i...

– Uśmiecha się! – ogłasza Thompson. – Joan Sędziwa przez ułamek sekundy się uśmiechała. Czy mamy świadków?

Połowa zebranych krzyczy:

– Tak!

– Zuch dziewczyna – mówi Stary Linder, unosząc swoją lewą rękę i kolejny raz ogłaszając moje zwycięstwo.

– Amber Appleton zwycięża. Jest niekwestionowaną mistrzynią!

Ci starszycy, którzy mogą się ruszyć o własnych siłach, wstają i zaczynają mi gratulować. Gratulacje błyskawicznie przekształcają się w opowieści o wnukach, które nigdy nie przyjeżdżają w odwiedziny – tym historiom towarzyszą niekończące się harmonijki zdjęć przedstawiających wnuki na różnych etapach życia i są zazwyczaj prezentowane w kolejności chronologicznej, po jednym zdjęciu na rok szkolny. Opowiadają o tym, ile kosztowała żywność pięćdziesiąt lat temu, o tym, jaka była pogoda przez ostatnie osiem dekad, o domowych sposobach na reumatyzm, o zbyt niskiej emeryturze, o tym, kto w tym tygodniu zmarł, i oczywiście o tym, jak ostatnio poradzili sobie z trudnymi puzzlami.

Przed opuszczeniem świetlicy Bob łąduje na kolanach niemal każdej starszej osoby w budynku, a wszyscy uśmiechają się, klepią go po głowie i drapią po brzuchu. Mój pies świetnie sobie radzi ze starszycami – jest taki łagodny i spokojny – i zachowuje się tak, jakby wiedział, że ci słabi ludzie stoją nad grobem.

Zanim opuszczam dom starców, podchodzę do odległego kąta, gdzie samotnie siedzi Joan Sędziwa i spogląda w ścianę, którą bierze za okno.

– Joan? – zaczynam.

– A ty czego tu szukasz, Panno Nadziejo? Przyszłaś triumfować? Napawać się swoim zwycięstwem?

– Czy chciałabyś pogłaskać mojego psa, zanim wyjdę?

– Tego brudnego kundla? Jeszcze czego!

– Prawie doprowadziłaś mnie do płaczu. Tym tekstem o chłopakach, którym się nie podobam. To naprawdę mnie zapiekło, jak to mówicie. Nie widziałaś tego, bo jesteś ślepa, ale drżała mi dolna warga. Bez kitu.

– Naprawdę?

– Tak. Było blisko. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Mówisz to tylko po to, żeby mnie pocieszyć.

– Pewnie rozpłaczę się wieczorem, kiedy będę sama.

– Nie musiałaś tego mówić – odpowiada Joan Sędziwa – ale dziękuję.

– Jesteś naprawdę strasznie złośliwa i przygnębiająca, JS.

– Cóż, staram się. Z trudem to przyznaję – mówi Joan Sędziwa – ale ty jesteś strasznie optymistyczna i zabawna, Amber Appleton. Wiedz, że ten pocałunek był tanią zagrywką i zamierzam oprotestować werdykt.

Znów zauważam, że się uśmiecha, ale nikomu o tym nie mówię.

Jej uśmiech znika jak płomień na wietrze, po czym Joan Sędziwa mówi bardzo smutnym głosem:

– Wiesz, że jesteś jedyną osobą, która nakłoniła mnie do uśmiechu od osiemdziesiątego drugiego

roku, kiedy umarł Lawrence?

To naprawdę przygnębiająca informacja, choć wiem, że kryje się w niej też dziwaczny komplement. Wzdycham.

– Żałuję, że nie mogę dać ci tej satysfakcji, Joan, ale ty nie jesteś jedyną osobą, która doprowadza mnie do łez. Przykro mi.

– „W następstwie nieustannej konieczności działań defensywnych człowiek może się stać na tyle słaby, że nie będzie już zdolny do defensywy”¹³. To dotyczy także kobiet takich jak my. Zapamiętaj to, Amber. Zapamiętaj.

– Nietzsche?

Joan Sędziwa kiwa głową i mówi:

– Mam nadzieję, że przed śmiercią uda mi się doprowadzić cię do łez, Amber. Któregoś dnia wybije z ciebie ten hurraoptymizm.

– Mam nadzieję, że czeka nas jeszcze wiele bitew – mówię, po czym podchodzę do Agnes Zaklinaczki Roślin i zabieram jej Boba z kolan. Agnes rozmawia z każdą rośliną i udaje, że to jej syn, który mieszka w Kalifornii i nigdy jej nie odwiedza.

Kiedy się ubieram, Stary Linder ostatni raz ściska mnie w ramię i mówi:

– Byłaś rewelacyjna, dzieciaku. Dzięki tym twoim młodzieńczym żarcikom i harcom znów czujemy się młodo.

– Mogę się przytulić? – pytam.

– A czy papież jest katolikiem? – odpowiada, a następnie mocno i długo mnie ściska. Od jego śmierzącego oddechu wilgotnieje mi szyja, ale znoszę to, bo Stary Linder ma w nosie rurki z tlenem i prawdopodobnie lada dzień umrze. Poza tym naprawdę lubię się przytulać.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu!

– Jeśli dożyję – mówi i mruga do mnie pomarszczoną powieką.

– Żegnajcie, moi zwariowani staruszkowie! – krzyczę do zebranych w świetlicy ludzi, po czym Bob i ja ruszamy przygnębiającym korytarzem, gdzie w kątach stoją zakurzone sztuczne rośliny.

– Jak przemyciłaś tego psiaka do mojego budynku? – rzuca Odźwierna Lucy, kiedy ją mijam, a ja wybucham śmiechem.

– Jak ci smakowało kakao i snickers? – pytam.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Odźwierna Lucy i ja uśmiechamy się do siebie. To porządna babka. Bez kitu.

Wyprowadzam rower z krzaków, wkładam B3 do koszyka i ruszam z powrotem w stronę domu Donny.

Pedałując, zaczynam mieć złe przeczucia. Czuję, że nic się nie układa, że wszyscy ci ludzie, którzy się ode mnie różnią, mają rację i że mój optymizm to dziecinna bzdura.

Okej, jest kilka osób, które lubią, jak robię swoje: wpraszam się na zebrania rady szkoły i stawiam się Dyrციowi Tony’emu, śpiewam z Chrystusowymi Diwami z Korei i co tydzień pokonuję Joan Sędziwą. Ale to naprawdę nie ma żadnego znaczenia, bo istnieję tylko jedna ja, a przecież jest tak wiele osób, które mną nie są... Może inni traktują mnie po prostu jak rozrywkę. Może jestem tylko dziwolągiem. Jak atrakcja w wesołym miasteczku.

A skoro już o tym mowa, oto najpiękniejsza chwila numer trzy z życia Amber i jej mamy:

Kiedy byłam mała, mama co roku zabierała mnie do cyrku, niezależnie od tego, czy było nas na to stać, czy nie. Trwało to przez całą podstawówkę. Były lata, kiedy nie mogłyśmy sobie nawet pozwolić na to, by włączyć ogrzewanie, i od czasu do czasu głodowałyśmy, ale mamie zawsze udawało się

zorganizować nam bilety do cyrku. Kiedy już w nim byliśmy, kupowała mi watę cukrową, popcorn, orzeszki, napoje i jakąś pamiątkę – czasem był to pluszowy słoń lub małpa, czasem koszulka, a innym razem kapelusz lub plakat kogoś, kogo wystrzeliliwują z armaty, kogoś, kto idzie po linie, albo mnóstwa klaunów wysiadających z maleńkiego samochodziku.

Niespecjalnie przepadałam za cyrkiem, ale lubiłam patrzeć na minę mamy, kiedy oglądałyśmy te wszystkie atrakcje – wyglądała wtedy jak dziecko. Strasznie się ekscytowała, ilekroć jakiś facet zamykał się w klatce z lwem, motocyklista z zawrotną prędkością jeździł po wnętrzu metalowej kuli, a akrobaci wisieli na trapezie i robili fikołki. Mama była tym wszystkim zachwycona – przez całe przedstawienie siedziała na skraju krzesła, a na jej twarzy malował się ten sam zachwyt co na twarzach zgromadzonych wokół dzieci.

Pamiętam moment, w którym po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam, że moja mama w głębi duszy wciąż jest dzieckiem. Byłam wtedy w szóstej klasie i ostatni raz poszłam z nią do cyrku – zaczynałam już wtedy wyrastać z tego typu dziecięcych rozrywek. Tego roku wcale nie chciałam iść do cyrku, ale ponieważ była to nasza tradycja, nic nie powiedziałam. Nagle znalazłyśmy się pośród tych wszystkich atrakcji w potężnym namiocie i oglądałyśmy te same oklepane numery, a ja straszliwie się nudziłam, dopóki nie zauważyłam, jak bardzo mama kocha cyrk i ile to wszystko dla niej znaczy. Miała to wypisane na twarzy – mama po prostu uwielbiała cyrk.

Marzyłam o tym, by tak samo rozjaśnić jej twarz.

To była dla mnie ważna chwila.

Może właśnie wtedy nabrałam ochoty, żeby być kimś więcej niż w rzeczywistości, ale pięć lat później okazało się, że nikt nie traktuje mnie poważnie. W najlepszym razie jestem ciekawym przebłyskiem w życiu innych ludzi – zabawnym dodatkiem. To pewnie właśnie dlatego tata odszedł, mama ciągle pije, a jej faceci zostawiają nas już po kilku miesiącach. Czasem zastanawiam się nad tym, po co w ogóle się staram. Po co to wszystko?

Przygotowując się do walki z Joan Sędziwą, przeczytałam trochę o Nietzschem w bibliotece. Był ateistą tak jak Donna i Ricky. Kiedyś napisał: „Jest-że człowiek jeno omyłką Boga? Lub Bóg jeno omyłką człowieka?”¹⁴.

To zdanie z początku mnie rozwścieczyło, bo jestem katoliczką, ale dało mi też do myślenia. Skąd tak naprawdę wiemy, czy po prostu nie wymyśliliśmy sobie Boga? Czy mamy jakikolwiek dowód na Jego istnienie? A jeśli Boga nie ma, to czy naprawdę warto mieć nadzieję?

Kilka tygodni temu zadałam te wszystkie pytania Ojcu Chee, a on powiedział, że w wierze chodzi właśnie o to, że niczego nie jesteśmy pewni. Stwierdziłabym prawdopodobnie, że to główniana odpowiedź, gdyby nie udzielił mi jej OC, bo w moim słudze bożym jest coś naprawdę niezwykłego. Robi wrażenie oświeconego, nie tylko dlatego że jest Azjata. Wierzę w OC (i Boga), więc z jakiegoś powodu wciąż mam nadzieję, mimo że im bliżej szczytu życia, tym robi się trudniej – tak mówią Joan Sędziwa i Nietzsche. Bez kitu.

Te wszystkie myśli mnie przygnębiają, dlatego naprawdę nie mam ochoty przygotowywać kolacji dla Donny i Ricky’ego. Nie przychodzi mi nawet do głowy żaden przepis.

Może powinnam odpuścić sobie kolację i odwiedzić Szeregowca Jacksona?

Jego dom leży prawie na przedmieściach. To właśnie tam chodzę, kiedy jest mi smutno.

¹¹ Jeden z głównych bohaterów dramatu *Czarownice z Salem* Arthura Millera.

¹² Friedrich Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski, Warszawa 1990, punkt 157.

¹³ Friedrich Nietzsche, *Ecce Homo. Jak się stajemy tym, czym jesteśmy*, przeł. Grzegorz Sowiński, Kraków 2002, s. 60.

¹⁴ Friedrich Nietzsche, *Zmierzch bożyszczczyli jak filozofuje się młotem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski, Warszawa 1905–1906, s. 7.

Szeregowca Jacksona poznałam w zeszłym roku. Nauczyciel historii polecił nam skontaktować się z mieszkającymi w okolicy weteranami. Mieliśmy napisać do tych facetów w Dzień Weteranów, żeby otrzymać dodatkowe punkty za pracę domową. Trzeba było odtworzyć formę listu, którą stworzył i rozdał nam pan Bonds. Krótko mówiąc, kazał nam go przepisać własnym charakterem pisma, tak by wszyscy myśleli, że sami ułożyliśmy te wyrefinowane zdania. List opowiadał o tym, jak bardzo cieszymy się z tego, że jesteśmy Amerykanami, i że dziękujemy za to, co nasz weteran – uzupełnij puste pole – zrobił w – uzupełnij puste pole – wojnie, w której walczył. Było w nim napisane, że choć nigdy nie pojmiemy, ile wycierpieli dla naszego kraju, doceniamy korzyści płynące z amerykańskiego obywatelstwa, o które tak walczyli.

Nauczyciel przypisał mi Szeregowca Paula Jacksona i powiedział, że mój weteran walczył w Wietnamie. Przepisałam swój list i wypełniłam puste pola, ale czułam się przy tym jakoś dziwnie. Skąd niby miałam wiedzieć, że wsławił się czymś na wojnie? Może był beznadziejnym żołnierzem, który zrobił więcej szkody niż pożytku, a ja mu za to dziękuję. Skąd miałabym to wiedzieć? Gdy nauczyciel kazał mi to napisać, byłam zła, ale prawdę mówiąc, kiedy już to zrobiłam i list został wysłany, wyleciało mi to z głowy – zwłaszcza że większość moich kolegów z klasy dostała fantastyczne odpowiedzi z podziękowaniami, a ja nic.

Mniej więcej miesiąc później, po feriach, pan Bonds zaprosił na lekcję kilku weteranów z Wietnamu, do których pisaliśmy. Szeregowiec Jackson nie przyszedł, ale czterech facetów, którzy się zjawili, opowiedziało nam niesamowite historie. Większość uczniów płakała, bo opowiadali o swoich przyjaciółach, którzy zginęli w okropny sposób, o nastawionych antywojennie hipisach plujących na naszych żołnierzy, kiedy ci wrócili do Stanów, i o tym, że wszyscy weterani z Wietnamu nienawidzą Jane Fondy – starej aktorki przezwanej Hanoi Jane, bo podczas wojny pozowała do zdjęć z wrogami, a to naprawdę chore. Bez kitu. Kiedy zobaczyłam, jak tych czterech podtusiających facetów walczy ze łzami, stojąc przed grupą nastolatków, i jak wciąż cierpią z powodu wojny, która miała miejsce tyle lat temu, zdałam sobie sprawę, że nasze listy były dla nich naprawdę ważne, i zaczęłam sporo myśleć o Szeregowcu Jacksonie i o tym, dlaczego mi nie odpisał.

Napisałam do niego kolejny list i opowiedziałam o mężczyznach, którzy przyszli, żeby porozmawiać z uczniami. Zapytałam, czy zna tych kolesi, chociaż w liście nie nazwałam ich w ten sposób. Potem opowiedziałam mu różne rzeczy o swoim życiu – o tym, jak mój ojciec zwiął, jeszcze zanim nauczyłam się mówić, o tym, że czasem czuję się samotna, ale jestem bardzo lojalna i jeśli chciałby napisać do kogoś, kto docenia jego poświęcenie w Wietnamie, to chętnie będę z nim korespondować. Zapewniłam, że jeśli nie chce o tym mówić, to zrozumieć – chciałam tylko, by wiedział, że dziś jest mile widziany przez Amerykanów takich jak ja i że ludzie, przez których kiedyś czuł się inaczej, powinni się wstydzić. Mój list był bardzo szczerzy i formalny, a jednocześnie naprawdę odlotowy.

Kiedy poprosiłam pana Bondsa o adres Szeregowca Jacksona, nie chciał mi go dać, ale powiedział, że przeczyta mój list i jeśli uzna, że nadaje się do wysłania, zrobi to za mnie. Oznajmiłam mu, że to niedopuszczalne, i zaczęliśmy się kłócić o cenzurę i wolność słowa, którą gwarantuje pierwsza poprawka, czyli to, o co walczył Szeregowiec Jackson. W końcu Bonds zgodził się, żebym przeczytała mu list na głos. Powiedział, że jeśli jego treść będzie odpowiednia, będę mogła patrzeć, jak adresuje kopertę, po czym wspólnie wrzucimy ją do skrzynki, żebym miała pewność, że ją wysłał. Powiedział jednak, że nie zmuszę go do wyjawienia prywatnych danych pana Jacksona, którego nazwiska nie było w książce telefonicznej ani w internecie. Wiem, bo sprawdziłam to w bibliotece. Umowa polegała na

tym, że my, uczniowie, mamy napisać wstępne listy do weteranów, a jeśli ci zechcą nam odpisać, możemy kontynuować korespondencję. Mój weteran mi nie odpisał, więc nie przysługiwała mi druga szansa.

Przeczytałam panu Bondsowi swój drugi list, a ponieważ jestem świetną korespondentką i ominęłam wszystkie naprawdę osobiste fragmenty o moim tacie i innych sprawach, nauczyciel uznał, że jest dobrze napisany i stosowny i że zasługuje na to, by przykleić na nim znaczek. Więc przykleił go na oficjalnej kopercie szkoły średniej w Childress, po czym wcisnął moje słowa do białego kartonika.

Kiedy dotarliśmy do skrzynki pocztowej przed szkołą, zapytałam pana Bondsa, czy mogę wrzucić do niej kopertę, bo uwielbiam wysyłać listy, co totalnie zmyśliłam, a on odparł:

– Jasne.

Zanim wrzuciłam list do skrzynki, spojrzałam na adres, a kiedy pan Bonds wrócił do szkoły, posłałam do domu Szeregowca Jacksona.

Szeregowiec Jackson mieszka w bardzo małym, ceglastoczerwonym parterowym domu na skraju miasta blisko slumsów. Budynek niczym się specjalnie nie wyróżnia – od frontu rośnie trochę krzaków i młody klon. Szeregowiec Jackson jeździ normalnym samochodem. Można wiele razy minąć jego dom i nie wpaść na to, że należy do weterana z Wietnamu. Spodziewałam się, że przed budynkiem powiewać będzie czarna flaga poświęcona jeńcom wojennym, ale nic z tego.

Musiałam poszukać numeru – tak kiedyś szukało się właściwego adresu – a kiedy dostrzegłam sześćset osiemnaście, podeszłam do drzwi i zapukałam.

Nikt nie odpowiedział, więc zapukałam znowu, a potem jeszcze raz.

Miałam już zawrócić, myśląc sobie: „No halo, facet pewnie siedzi w robocie”, kiedy drzwi otworzyły się do wewnątrz i stanął w nich mężczyzna w średnim wieku. Wyglądał normalnie – miał żółtą koszulę, okulary w srebrnych oprawkach i brązowe płócienne spodnie.

– Słucham? – powiedział.

– Czy otrzymał pan list od zwariowanej nastolatki Amber Appleton? – zapytałam.

– Tak, a co?

– Co pan sądzi o jej umiejętnościach pisarskich?

– Nic.

– To dlatego jej pan nie odpisał?

– Czy to ty jesteś Amber?

– W szkole uczyliśmy się o wojnie w Wietnamie i poznałam kilku pańskich przyjaciół.

– Moich przyjaciół?

– Facetów, którzy tam byli. Tak jak pan. Przyszli do szkoły i opowiedzieli nam różne rzeczy. – Nie chciałam wspominać o jego zabitych kolegach ani o tym, jak ludzie na nich pluli, więc mówiłam o tym, co wydawało się najmocniej jednoczyć koleśki, którzy przyszli do nas na lekcję. – Na przykład o tym, jaką suką była Jane Fonda. – Spojrzał na mnie jak na wariatkę. – No wie pan. Hanoi Jane.

– Czego chcesz?

– Chciałam przeprosić za to, że napisałam do pana ten gówniany szablonowy list. Nauczyciel mi kazał. Ale to było, jeszcze zanim pańscy przyjaciele odwiedzili naszą szkołę i opowiedzieli o tym, jak to jest walczyć w dżungli. Gdybym wiedziała, jak to wyglądało naprawdę, nigdy nie wysłałabym panu takiego żalostnego sztamowego listu. Dzisiaj napisałam panu lepszy. Jest bardziej interesujący i atrakcyjny. Ale mój nauczyciel kazał mi go wysłać, więc sądzę, że dostanie go pan dopiero za jakieś trzy dni.

Szeregowiec Jackson przez chwilę na mnie patrzył, po czym powiedział:

– Czy to jakiś żart?

– Nie! Mówię poważnie. Pomyślałam po prostu, że... no nie wiem... chciałby mnie pan poznać?

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

– Nie zamierzam opowiadać ci historii wojennych, jeśli o to ci chodzi. Nie chcę już rozmawiać o wojnie. Zapomniałem o niej.

– Nie. Wcale nie chodzi mi o opowieści o Wietnamie. Nie mogłam uwierzyć w to, co opowiadali pana koledzy na lekcji, i było mi bardzo trudno ich słuchać, zwłaszcza że każdy z nich co najmniej raz się rozpłakał, a ciężko się patrzy na dorosłych facetów, którzy płaczą. Już się nasłuchałam. Powaga. Ma pan dzieci?

– Nie.

– Mogę wejść?

– To niezbyt dobry pomysł.

– Może chciałby się pan ze mną spacerować? – zapytałam.

– Dlaczego miałbym tego chcieć?

– Nie wiem. Chciałabym się dowiedzieć więcej o tym, kim jest pan dzisiaj.

– Po co?

– Bo nie lubię pisać do nieznajomych, a skoro zmuszono mnie, żebym do pana napisała, uznałam, że powinnam pana poznać, żebyśmy mogli wymieniać listy i od czasu do czasu się spotykać.

– Przykro mi – odparł Szeregowiec Jackson, po czym zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Zrobiło mi się bardzo smutno. Poczulałam się odrzucona.

Więc zaczęłam walić pięściami do drzwi i krzyczeć:

– To było wredne! – Ale nie otworzył już drzwi. – Kiedy przeczyta pan mój drugi list, pożałuje pan, że zatrzasnął mi drzwi przed nosem, zwłaszcza że pisałam go przez kilka godzin i dlatego jest bardzo wzruszający! Gdyby nie to, że walczył pan za nasz kraj w Wietnamie i przez rok siedział w dżungli, nazwałabym pana teraz brzydkim słowem! Do widzenia!

Tydzień później zdążyłam już prawie zapomnieć o Szeregowcu Jacksonie, ale pod koniec lekcji historii, gdy wszystkie dzieciaki ustawiły się pod drzwiami, pan Bonds powiedział:

– Panno Appleton, dostała pani list.

Podał mi kopertę zaadresowaną do mnie i wysłaną do pana Bondsa na adres szkoły średniej w Childress.

Otworzyłam kopertę, a w środku znalazłam kartkę papieru, na której napisane było dziesięć słów:

Spacer z Miss Jenny

Dziś o godzinie piątej

Obiegnie diament

Jackson

Natychmiast się zorientowałam, że Szeregowiec Jackson napisał mi haiku – to japońska forma poetycka, która składa się z trzech wersów i siedemnastu sylab. Uczyłam się o tym w trzeciej klasie. Ale nie miałam pojęcia, dlaczego Szeregowiec Jackson wysłał mi haiku ani co ono oznacza. Wiedziałam jednak, że później tego dnia odwiedzę go w domu.

Zdałam sobie sprawę, że otrzymywanie wierszy haiku od obcego mężczyzny jest dość dziwaczne – ale to pewnie dlatego, że Jackson był w Wietnamie. Wielu weteranów wróciło zwichrowanych, jednak to wciąż nasze chłopaki! Czułam, że rozszyfrowanie haiku Szeregowca Jacksona to mój obywatelski

obowiązek. Jako obywatelka wolnego świata byłam mu to winna.

O piątej po południu stanęłam przed jego domem i czekałam na to, co się wydarzy.

Szeregowiec Jackson wyszedł punktualnie w brązowym płaszczu i kaszkiecie, które staruszkowie noszą daszkiem do przodu, a czarnoskórzy do tyłu. SJ założył swój tak jak ta pierwsza grupa.

Ale najfajniejsze w tej chwili było to, że SJ prowadził na smyczy maleńkiego, śmiesznego, burego psa. Kiedy zobaczyłam psiaka, podbiegłam do niego jak stuprocentowa dziewczyna i pochyliłam się, żeby mocno ucałować suczkę i pogłaskać ją po głowie.

Jak wiecie, mam kompletnego fioła na punkcie psów.

– Zdałaś egzamin – usłyszałam nad sobą głos Szeregowca Jacksona. – Polubiła cię. A to bardzo krytyczny pies.

– A więc to jest Miss Jenny? – zapytałam, tarmosząc łebek psa.

– Tak.

– Jaka to rasa?

– Charcik włoski.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że „obiega diament”?

– Sama zobaczysz, jeśli się ze mną przespacerujesz.

Ruszyliśmy w dół ulicy, idąc za Miss Jenny.

– Więc kręci pana haiku? – zapytałam.

– Tak.

– To ciekawe, że facet w pana wieku pisze haiku.

– Dlaczego?

– To chyba raczej dla dzieci?

– Dlaczego tak uważasz?

– Dzieciaki w podstawówce piszą haiku, kiedy uczą się o Japonii. Jak byłam bardzo mała, na Festiwalu Kultur Świata musiałam przeczytać haiku ubrana w kimono z prześcieradła.

– Pamiętasz haiku, które czytałaś?

– Nie.

Szeregowiec Jackson nic nie odpowiedział.

– Dlaczego tym razem mi pan odpisał? – zapytałam. – Dlaczego wysłał mi pan haiku?

– Nie wiem. Nie chciałem. I jeśli mam być szczery, żałuję, że to zrobiłem.

– Dlaczego?

– Nie przepadam za ludźmi.

– Dlaczego?

– Psy są lepsze od ludzi. Mam psa. Nikogo więcej nie potrzebuję. Psy są proste. Ludzie skomplikowani.

– Zgadzam się. Psy są o wiele lepsze niż ludzie.

– Nie powinienem był ci zatrzaskać drzwi przed nosem. Przez kilka dni nie dawało mi to spokoju. To było niemiłe. Niedobre. Czuję, że gromadzę złą karmę.

– Spoko. Ludzie wciąż są dla mnie niemili. Przynajmniej nie nazwał mnie pan suką. Oliver to dopiero kosmiczny dupek.

SJ nie zaśmiał się z mojego żartu, ale powiedział:

– Chyba lubisz psy.

– Skąd pan wie?

- Wyglądasz na ich miłośniczkę.
- Dzięki.
- To nie był komplement. Stwierdzam tylko fakt.
- Nie-dzięki.

Tym razem lekko się zaśmiał, zasłaniając usta, jak ktoś, kto beknął, po czym powiedział:

– Pomyślałem, że jeśli wyślę ci haiku, a ty je zrozumiesz, to będziesz chciała zobaczyć, jak mój pies biega. Zobaczysz, jak Miss Jenny obiega bazy, i będziemy kwita.

- Co za misterny plan, Jackson.
- Nie wyśmiewaj się ze mnie, proszę.
- Nie wyśmiewam się. Stwierdzam tylko fakt – powiedziałam, bo uwielbiam takie dyżurne żarty.

– Nie napiszę do ciebie więcej listów. To twoja jedyna szansa. Chcę być z tobą szczerą. Nie szukam przyjaciół. Chcę tylko odwrócić złą karmę, którą stworzyłem, kiedy zamknąłem ci drzwi przed nosem. Nie prosiłem, żebyś zjawiła się na moim progu, ale przysłał cię wszechświat, a ja zachowałem się niewłaściwie, więc muszę to cofnąć, zanim wrócę do domu, gdzie znów będę mógł być sam z Miss Jenny.

– Super. Listy są do dupy – odparłam, mimo że je uwielbiam. W tamtej chwili zrozumiałam, że SJ jest trochę stuknięty, ale i tak wciąż go lubiłam. Nie wydawał się złośliwy i próbował wynagrodzić mi to, że zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Rzadko się zdarza, żeby ktoś próbował mi coś wynagrodzić. – Dlaczego napisał mi pan haiku?

– Całymi dniami je piszę. To właśnie robię. I nic więcej.

– Jak to: tylko to pan robi?

– Wstaję rano, wyprowadzam i karmię Miss Jenny, piszę haiku do piątej po południu, starając się, by moje myśli były skupione i czyste, po czym wyprowadzam i karmię Miss Jenny, wieczorem czytam haiku bardziej utalentowanych mistrzów poezji, starając się, by moje myśli były skupione i czyste, po czym około ósmej kładę się spać.

– I tak dzień w dzień?

– Tak.

– Bez kitu?

– Tak właśnie robię. Obawiam się, że niezbyt to interesujące.

– Żartuje pan? Od tygodni nie słyszałam niczego bardziej interesującego.

Słyszac to, SJ się uśmiechnął, ale jakoś tak dziwnie – jak gdyby chciał pierdnąć.

– Podpuszczasz mnie.

– W życiu. Naprawdę uwielbiam haiku. Pięć. Siedem. Pięć. Siedemnaście sylab. Rewelacja.

– Naśmiewasz się ze mnie.

– Dlaczego miałabym to robić? – zapytałam SJ.

– Nie jestem przyzwyczajony do spacerowania z ludźmi.

– Ja też nie.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział SJ, a kiedy podniosłam wzrok i rozejrzałam się wokół, zrozumiałam, że znajdujemy się na miejskim boisku do baseballu. *Obiega diament*¹⁵. – Spójrz, jakie to piękne. To przeciwieństwo drzwi zatrzaskiwanych przed nosem.

Kiedy spuścił Miss Jenny ze smyczy, suczka rzuciła się pędem wokół boiska. Biegła naprawdę szybko i energicznie, ale jej łapy były tak małe, że obiegnięcie całego obwodu zajęło jej sporo czasu. Wyglądało to tak uroczo, że przy drugim okrążeniu ruszyłam za nią. Zaczęła szczekać i krążyć wokół mnie, kiedy obiegałyśmy bazy. Gdy dotarłam do ostatniej, spojrzałam na Szeregowca Jacksona, a on miał na twarzy bardzo dziwny, a nawet trochę przerażający uśmiech, więc wzięłam jego suczkę na rękę,

wtuliłam w nią twarz i dałam jej buziaka, po czym ruszyliśmy z powrotem do SJ.

– Wybaczasz mi, że zatrzasnąłem ci drzwi przed nosem? Czy teraz jesteście kwita? – zapytał.

– Jasna sprawa. Było super!

Uśmiechnął się smutno, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć.

W drodze powrotnej do jego domu Miss Jenny nasiusiała na drzewo i zrobiła kupkę pod krzakiem, ale żadne z nas się nie odezwało.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, powiedziałam:

– Może będzie miał pan ochotę napisać mi kolejne haiku. Chętnie poznam pańską twórczość.

– Nie naśmiewaj się ze mnie – odparł.

– Nie naśmiewam się. Czy mogę wysłać panu kilka swoich haiku? Może oceniłby pan jedno czy dwa – zaproponowałam, mimo że nie napisałam żadnego od trzeciej klasy. Powaga.

– Chciałem tylko zrekompensować ci to, że zatrzasnąłem ci drzwi przed nosem, a ponieważ wymazałem już złą karmę, zostaw mnie teraz w spokoju. Proszę. Tego właśnie pragnę najbardziej.

Po tym zdaniu mnie zatkało.

Odwrócił się i zaczął iść w stronę drzwi, a ja czekałam, aż obejrzy się przez ramię i powie coś miłego albo da mi znak, że tak naprawdę chce mnie znów zobaczyć i być moim przyjacielem, ale nawet na mnie nie spojrział. Najpierw poczułam złość, jednak po chwili złość ustąpiła miejsca smutkowi, który towarzyszył mi przez wiele dni, aż wpadłam na szalony pomysł: codziennie będę wysyłać Szeregowcowi Jacksonowi optymistyczne haiku, a każde z nich będzie o psach, bo tylko je lubi.

Umyłam i nawoskowałam mercedesa Donny za dwadzieścia dolarów – czasem mi na to pozwala – a za zarobione pieniądze kupiłam pudełko kopert i dwa arkusze znaczków.

Zacząłam wysyłać Szeregowcowi Jacksonowi po jednym haiku dziennie.

Szeregowiec Jackson uważa, że to moje trzy najlepsze psie haiku (a napisałam ich chyba z tryliard):

*Kupkają wszędzie
Kiedy i gdzie tylko chcą
Psy mają fajnie*

*Pies nie zapomni
Ucałować cię przed snem
Nawet gdy cuchniesz*

*Czy psie futerka
Służą im jako ciuchy
Czy psy są nagie?*

No dobra, moje haiku są do bani, ale nie poddawałam się i pisałam do Szeregowca Jacksona codziennie przez ponad miesiąc.

Ani razu nie odpisał.

Jak wiecie, któregoś dnia w pudełku po nike'ach znalazłam mokrą futrzaną kulkę, którą nazwałam Bobem i którą się zaopiekowałam.

*Znalazłam psiaka
W pudle po modnych butach
Był bardzo smutny*

(Wysłałam to haiku Szeregowcowi Jacksonowi, ale nie dostałam odpowiedzi).

Nie wiecie, że B3 ciężko przeżył to, że mieszkał na ulicy w jaskrawym pudełku po markowych butach, i nawet kiedy go odkarmiłam, przez pewien czas był bardzo smutny.

Śpiewałam Bobowi, dawałam mu dodatkowe łyżeczki masła orzechowego, kąpałam go w wannie Donny, masowałam mu całe ciało, czytałam radosne książki, a nawet zrobiłam szykowny płaszczyk. Donna kupiła mu mnóstwo zabawek i wyśmienitego jedzenia dla psów oraz miseczki z logiem drużyny Phillies, ale nic nie poprawiało mu nastroju. Nie wiedziałam, jak go uszczęśliwić.

Wtedy zobaczyłam dwójkę nastoletnich gotów obściskujących się na schodach w naszym liceum – wydawali się tak szczęśliwi i zakochani, kiedy przestali wymieniać się śliną i pozwolili mi przejść, że nagle zrozumiałam, że muszę skombinować Bobowi dziewczynę.

Kiedy pomyślałam o rozmiarze i wadze, jakie powinna mieć idealna partnerka dla B3, przypomniałam sobie o Miss Jenny, więc o piątej po południu zabrałam swojego psa na boisko baseballowe i przedstawiłam go Szeregowcowi Jacksonowi i Miss Jenny.

Kiedy tam dotarliśmy, Miss Jenny była już spuszczonej ze smyczy i obiegała boisko, dlatego z początku nas nie zauważyła.

– Kto to? – zapytał Szeregowiec Jackson, nie wspominając ani słowem o haiku, które mu wysłałam, co trochę mnie zdołowało.

– To Bob.

Szeregowiec Jackson pochylił się i pogłaskał B3 po głowie.

– Skąd go masz?

– Znalazłam go na ulicy w pudełku po butach – powiedziałam, zastanawiając się, czy SJ dostał lub przeczytał którekolwiek z wysłanych przeze mnie haiku o Bobie.

– Uratowałeś go – odparł SJ.

– Tak jest.

– To dobra karma.

Wtedy właśnie Miss Jenny zauważyła Boba i została ugodzona strzałą Amora. Pędem przybiegła z boiska i zaczęła wachać pupę B3. Trzymałam go na smyczy, więc zaczął piszczeć.

– Spuść go – powiedział SJ.

– A jeśli się pogryzą?

– Nie pogryzą się. Miss Jenny jest kochliwa.

Kiedy spuściłam Boba ze smyczy, dwa małe pieski zaczęły się mocować, biegać w kółko i tarzać przez mniej więcej pół godziny, podczas gdy SJ i ja obserwowaliśmy je z uśmiechem.

– B3 nie był tak szczęśliwy, odkąd zabrałam go z ulicy – powiedziałam Szeregowcowi Jacksonowi.

– Wygląda na to, że Miss Jenny się zakochała – oznajmił SJ.

Potem oboje doszliśmy do wniosku, że ze względu na dobro naszych psów będziemy się spotykać na boisku co najmniej raz w tygodniu, żeby psiaki mogły się pobawić.

Kiedy jednak przyszła pora na pożegnanie, nie mogłam się powstrzymać i zapytałam, czy SJ podobały się psie haiku, które mu wysyłałam.

– Miss Jenny cieszy się na kolejne spotkanie z Bobem – odparł SJ. Wziął suczkę na smycz i odszedł.

Byłam dumna, że B3 nie próbował przelecieć Miss Jenny na pierwszej randce, więc całe doświadczenie zaliczyłam do udanych i więcej o tym nie myślałam.

Zaczęliśmy bywać na boisku do baseballu dość regularnie, po kilku tygodniach odprowadzaliśmy Miss Jenny i SJ do domu, a któregoś dnia wstąpiliśmy do środka na herbatę. Zauważyłam, że Szeregowiec Jackson wiesza moje wiersze w salonie i że jedna z czterech ścian w całości pokryta jest

moimi haiku!

– Dlaczego wiesz pan moje haiku na ścianie? – zapytałam.

– Lubisz zieloną herbatę? – odparł.

– Tak – powiedziałam, mimo że nigdy wcześniej nie próbowałam zielonej herbaty, po czym piliśmy w milczeniu, podczas gdy B3 i Miss Jenny wtuleni w siebie drzemali na dywanie pod szklanym stolikiem.

Po wielu wizytach Szeregowiec Jackson pozwolił mi przejrzeć swoje zeszyty z haiku, które bardzo mi zaimponowały, bo SJ pisze przepiękne wiersze. Oto najlepsze haiku Szeregowca Jacksona:

*Razem się bawią
Nasze biało-bure psy
Patrzymy w ciszy*

Proste i prawdziwe. Jak fotografia. Jackson napisał ten wiersz dla mnie i wręczył mi go w zeszłym roku na ładnej kartce w moje urodziny. Noszę to haiku w plecaku i czytam je, ilekroć jest mi naprawdę smutno. Oczywiście znam je na pamięć, ale lubię patrzeć na pismo Szeregowca Jacksona, bo jest takie staranne – jak pismo dziecka. To tak jakby za wszelką cenę próbował sobie przypomnieć, jak zapisać każdą sylabę. A może nadaje im tak wielkie znaczenie, że każda kolejna litera musi odczekać dodatkową sekundę, żeby się narodzić, i dlatego odstępy pomiędzy nimi są nieco zbyt duże. Przyrzekam, że nigdy nie widzieliście czegoś takiego, a odlotowe pismo Szeregowca Jacksona sprawia, że to haiku jest jeszcze lepsze.

Do dziś kiedy zadaję mu jakiegokolwiek pytania na temat przeszłości, rodziny lub czegoś w tym rodzaju, zapodaje jakąś zenowską bzdurę w stylu: „Przeszłość nie istnieje” lub „Przebywam w terażniejszości”, lub „Jestem jak nasze psy bawiące się w trawie”. Zanim przyzwyczaiłam się do tego całego zen, strasznie mnie to wkurzało. Ale teraz nawet to lubię. Bez kitu.

To właśnie robimy z Szeregowcem Jacksonem – wyprowadzamy psy, pijemy herbatę i czytamy jego haiku. Wciąż piszę mu haiku, tylko że teraz z oszczędności dostarczam mu je osobiście, bo znaczki trochę kosztują, a ja mieszkam w Żółtku.

Fajna sprawa: moje psie haiku pokryły już trzy i pół ściany w jego salonie. Przed końcem roku szkolnego zapełnię wszystkie cztery. Słowo.

Kiedy rowerem Donny wracamy od staruszków, pytam B3, czy potrzebuje trochę miłości, a on wydaje pojedyncze szczeknięcie, więc wybieram okrężną drogę w stronę slumsów do domu Szeregowca Jacksona.

Jest już po piątej, tego dnia Bob nie pobiega po boisku – przeoczyliśmy codzienny bieg Miss Jenny wokół baz. Ale B3 wciąż może zaliczyć kilka całusów i spanie w pozycji na łyżeczkę. Kiedy dojeżdżamy, chowamy rower na tyłach budynku i pukamy do drzwi SJ.

Szeregowiec Jackson otwiera, a B3 wbiega do domu, szukając Miss Jenny, i znika w głębi korytarza prowadzącego do sypialni. Mój pies bywa napalony. Od czasu do czasu musi sobie ulżyć.

– Wstawię wodę na herbatę – mówi SJ, kiedy wchodzę do jego domu i siadam na starej kanapie.

Nasłuchuję, jak SJ przygotowuje herbatę w sąsiednim pomieszczeniu. Słyszę dźwięk wody wpadającej do metalowego czajnika, pstrykający odgłos zapalnika kuchenki i syczenie zapalanego gazu. Wyobrażam sobie błękitne płomienie oraz bąbelki tworzące się w czajniku i od razu robi mi się lepiej.

Kiedy przebywam w domu SJ, mam wrażenie, że czas się zatrzymuje. Czuję się tak, jakbym weszła do prawdziwego kościoła – nie do kościoła przerobionego ze sklepu jak u Ojca Chee, ale do starej kamiennej świątyni, w której unosi się wielowiekowy zapach modlitwy, nadziei i wiary, jak w katolickim kościele Świętej Dymfny, gdzie byłam bierzmowana. To, że dom SJ wydaje mi się święty, jest dziwne, bo – po przeczytaniu mnóstwa wierszy Szeregowca Jacksona – zdążyłam się domyślić, że należy do tego

samego obozu co Nietzsche, Donna i Ricky. Jestem prawie pewna, że SJ jest ateistą.

Oto najsmutniejsze haiku, jakie kiedykolwiek czytałam:

*Cunningham grzebie
Naszych zmarłych, modli się
A ja jestem sam*

Szeregowiec Jackson napisał to w Wietnamie. Nie wie, że czytałam to haiku, bo kiedy przeglądałam zapiski na końcu jednego z jego zeszytów, robił herbatę.

Powiedział, że mogę przeczytać wiersze w części oddzielonej niebieskimi, czerwonymi i czarnymi plastikowymi przekładkami, ale nie chciał, żebym patrzyła na strony pomiędzy tymi zielonymi. Oczywiście zajrzałam tam, kiedy tylko SJ wyszedł z salonu. Spędził w kuchni bardzo dużo czasu – o wiele więcej, niż wymaga zrobienie herbaty – więc może chciał, żebym przeczytała haiku z Wietnamu, ale nie wiem tego na pewno. Czytając jego haiku – bo sam nigdy nie mówi mi nic o swoim życiu – wywnioskowałam, że Szeregowiec Jackson zaczął je pisać w dżungli. Może robił to po to, żeby nie oszaleć, a po powrocie do domu po prostu nigdy nie przestał.

– Co ci dziś dolega? – mówi SJ, wręczając mi parującą filiżankę zielonej herbaty.

– A czy nie mogę odwiedzić pana tak po prostu, bez powodu?

– Przychodzisz tylko wtedy, kiedy jesteś smutna.

– Joan Sędziwa obrzuciła mnie dziś mnóstwem dołączających cytatów z Nietzschego, ale koniec końców zmusiłam ją do uśmiechu – oznajmiam i upijam łyk herbaty, która smakuje jak świeżo skoszona trawa. W zielonej herbacie trzeba się rozsmakować i chociaż mnie się to jeszcze nie udało, sączę ją jak dama ze względu na Szeregowca Jacksona, głównie dlatego że oprócz wody w jego domu nie ma prawie nic. Żywi się zazwyczaj ryżem i korzonkami, więc na przekąskę też nie mam co liczyć.

– Jak udało ci się ją rozśmieszyć w tym tygodniu? – pyta, a ja przez chwilę się waham, bo zazwyczaj nie zadaje mi żadnych pytań. To najbardziej ożywiona konwersacja, jaką kiedykolwiek prowadziłam z SJ. To Szeregowiec Jackson na amfie.

– Pocałowałam ją. I powiedziałam kilka śmiesznych rzeczy. Myśli pan, że mam twarz dinozaura? Może być pan ze mną szczerzy. Czy poleciałby pan na mnie jako siedemnastolatek? A jeśli nie, to czy właśnie przez twarz dinozaura? Niech pan mówi szczerze.

– Uważam, że wyglądasz dokładnie tak jak powinnaś. Na tę chwilę jesteś idealna.

– Znowu te zenowskie bzdety.

– Masz dla mnie jakieś wiersze?

Sięgam do kieszeni i podaję mu kartkę papieru z ośmioma psimi haiku mojego autorstwa. Szeregowiec Jackson bardzo powoli czyta moją poezję, z zawziętą miną siorbiąc herbatę – wygląda jakby siedział na sedesie.

– Który podoba się panu najbardziej? – pytam po mniej więcej pięciu minutach.

Wciąż czyta, rozważając każdy zbiór siedemnastu sylab, jak gdyby były to nowe konstelacje, które nagle pojawiły się na niebie. Czasem jest megapoważny.

– Wszystkie są doskonałe – odpowiada, nie podnosząc wzroku.

– Darujmy sobie te zen-pierdoły. Który podoba się panu najbardziej?

– Wszystkie cenię jednakowo i kiedy sobie pójdiesz, powieszę je na ścianie, znajdując idealne miejsce na twoje słowa.

– W takim razie który jest najśmieszniejszy?

Szeregowiec Jackson ponownie czyta moje haiku, a na jego twarz wypływa nieśmiały uśmiech, po czym dramatycznym tonem recytuje:

– „Psiaki szaleją – w sypialni, my pijemy – zielony napar”.

– Próbowałam uchwycić chwilę – tłumaczę.

– Udało ci się.

– Chce pan poznać Donnę? – pytam, bo mówiłam Szeregowcowi Jacksonowi, że mogłabym go spiknąć z najseksowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. A w dodatku bogatą.

– Nie.

– Sam pan nie wie, jaka okazja przechodzi panu koło nosa i...

– Jak herbata?

– Smakuje jak trawa.

– Trawa jest naturalna. Trawa jest dobra.

Sączymy herbatę w milczeniu, dopóki Miss Jenny i B3 nie wychodzą z sypialni – chwieją się na nogach, jak gdyby byli pijani, i patrzą na nas mętным wzrokiem.

– Tylko psy potrafią prawdziwie kochać – mówi Szeregowiec Jackson.

– Pan też mógłby poznać miłość, przyjacielu – odpowiadam. – Donna to świetna partia. To... megalaska.

– Umyję twoją filiżankę – oznajmia Szeregowiec Jackson.

Podaję mu ją i pytam:

– Czy przed wyjściem mogę się przytulić?

– Z przyjemnością uściskam dłoń tak znakomitej poetce – odpowiada jak zwykle, po czym wyciąga rękę, a ja chwytam ją obiema dłońmi i trzymam tak długo, jak Jackson mi na to pozwala.

– Jest pan dobrym człowiekiem, panie Jackson – mówię, patrząc mu w oczy. – I świetnym poetą.

– Umyję teraz filiżanki – rzuca, puszcza moją dłoń, odwraca się i wchodzi do kuchni.

Bob i ja znów wskakujemy na rower Donny i wracamy do jej domu.

Kiedy dojeżdżamy, z jakiegoś powodu nie mam ochoty wchodzić do środka, ale B3 musi coś zjeść, więc robimy to ze względu na zdrowie mojego psiaka.

Kiedy Donna słyszy, że otwierają się tylne drzwi, niemal wbiega do kuchni i pyta:

– Nic ci się nie stało, Amber?

– Nie. A co? – mówię, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, chociaż wiem, że się martwiła, bo nie przygotowałam kolacji, po czym ruszam w stronę szafki z puszkami Boba.

Otwieram jedną z nich i karmię B3.

Zaczyna się obżerać, bo zawsze jest głodny po seksie z Miss Jenny.

– Czy Joan Sędziwa w końcu doprowadziła cię do płaczu? – pyta Donna i wygląda na naprawdę zatroskaną.

– Prawie, ale udało mi się ją zmusić do uśmiechu. Zaskoczyłam ją potężnym, mokrym całusem. Zamierza oprotestować werdykt, bo mówi, że całowanie jest niedozwolone. To idiotyczne żądanie, a Stary Thompson nigdy nie stanie po jej stronie. Nie po tym, jak zadzwoniła na policję i próbowała wyrzucić go z domu opieki. Chciała, żeby otrzymał zakaz zbliżania się do niej, bo dziwnie na nią patrzył.

– Czy ona nie jest niewidoma? – pyta Donna.

– Jest. Bez kitu.

– Więc skąd wiedziała, w jaki sposób na nią patrzył?

– Nie wiedziała. Nie patrzył. Joan wymyśliła te wszystkie bzdety.

– Dlaczego?

– Bo to Joan Sędziwa, zło wcielone.

– Muszę kiedyś poznać tę kobietę.

– Przyjdź na bitwę. Odbywają się w środowe popołudnia. Musisz przyjść, zanim umrze, a to może się zdarzyć lada dzień.

– Ricky powiedział mi, że Lex Pinkston was przeprosił i przyszedł do Jaskini Franka podczas przerwy obiadowej.

– Uwierzysz w to? Co za idiotyzm!

Wiem, że odzywam się do niej lekceważąco, ale boję się, że jeśli przestanę, znowu zacznę płakać. Nie chcę być teraz z Donna – może dlatego że jest zbyt idealna, a ja wiem, że nigdy jej nie dorównam. A z tym naprawdę ciężko mi się pogodzić. Bez kitu.

– Ricky bardzo się cieszył, że mógł przebywać z drużyną futbolową. Powiedział, że ten jeden raz byli dla niego bardzo mili.

– Tak, bo zagroziłaś panu Pinkstonowi sądem.

– Pamiętasz, co ci mówiłam o nastolatkach i mężczyznach? O tym, że trzeba ich prowadzić jak owce?

– Tak, i co z tego?

– Czy owce są złe?

– Nie, to tylko owce.

– Więc może powinnaś dać Leksovi Pinkstonowi i jego chłopakom szansę. Podobno pozostali członkowie Piątki świetnie się bawili, grając w Halo 3 z drużyną futbolową. Dobrze jest poznawać nowych przyjaciół.

– To chore – mówię, kręcąc głową, i czuję, że do oczu napływają mi łzy.

– Wiesz, komu chłopcy tacy jak Lex dokuczają i kogo wyzywają? Robią to dziewczynom, w których są potajemnie zakochani. Ten dzieciak pewnie się w tobie zadurzył. A jeśli teraz postanowił zachowywać się na poziomie, może warto puścić to wszystko w niepamięć... Amber, dokąd idziesz?

Wypadam z domu Donny, a B3 depcze mi po piętach. Idziemy ulicą pośród nocy.

Burczy mi w brzuchu, bo od śniadania niczego nie jadłam, ale mam to gdzieś.

– Dziś musimy przełożyć naszą rozmowę, JC – modłę się – bo nic dla Ciebie nie mam. Po prostu nie mogę się dziś modlić. Wybacz.

Bob i ja szybko docieramy na parking dla autobusów i przeskakujemy przez płot. Z zaskoczeniem odkrywam, że mama jest w domu i nie śpi.

– Zrobiłam kolację – mówi mama, kiedy wchodzę do Żółtka, po czym dumnie unosi torbę z McDonalda.

– Mam ochotę cię ucałować, mamo.

– Dlaczego?

Długo przytulałam mamę, a po chwili znów zaczynam ryczeć jak dziecko. Jej ciało przypomina szkielet i pod marynarką wyczuwam jej żebra, przez co płaczę jeszcze głośniej.

– Wszystko będzie dobrze – mówi mama. Czuć od niej alkohol. – Nie zawsze będziemy mieszkać w tym autobusie. Pracuję nad tym.

Chciałabym jej powiedzieć, że wisi mi mieszkanie w szkolnym autobusie. Chcę, żeby wiedziała, że to świat mnie przygniata, że czuję, jak gdybym ze wszystkimi walczyła, i że brakuje mi paliwa. Nie wiem, czy doczekam dorosłości, nie wiem, czy wciąż jest we mnie nadzieja, bo JC ostatnio mi nie pomaga i wszystko jest tak cholernie pogmatwane... Ale nie mogę przestać płakać, więc pozwalam, by mama mnie tuliła i gładziła po plecach przez mniej więcej pół godziny żalostnego szlochania.

Kiedy przestaję płakać, otwieram torbę z McDonalda i znajduję w niej lodowaty posiłek dla dzieci Happy Meal: małą colę, garść frytek, cztery kawałeczki kurczaka McNuggets oraz głupią zabawkę promującą jakiś durny film dla dzieci.

– A ty jadłaś? – pytam mamę.

– Jasne – odpowiada i upija łyk z puszki coli, która wypełniona jest wódką. Wiem, bo czuję jej zapach.

– Mamo, jeśli mnie kochasz – rzucam, a w brzuchu burczy mi z głodu – to błagam, zjedz ten posiłek, a ja popatrzę.

– Kupiłam to dla ciebie, Amber. Jesteś dorastającą dziewczyną i...

– Proszę, mamo – mówię, a po mojej twarzy znów spływają łzy. Podsuwam jej kawałek kurczaka

pod nos i ciągnę: – Proszę, zjedz to. Proszę. Zrób to dla mnie, mamó. Błagam. Chcę zobaczyć, że jesz.

Bob obserwuje mnie z sąsiedniego siedzenia i sam najchętniej pożarłby ten kawałek kurczaka, ale jest na to zbyt dobrym psem, więc się o to nie martwię.

W końcu mama bierze ode mnie kurczaka, odgryza maleńki kawałeczek i żuje.

Przełyka, po czym mówi:

– Proszę. Zadowolona? Teraz ty powinnaś zjeść...

– Zjedz resztę. Wszystko, mamó. Zrób to dla mnie. Proszę.

– Amber, sama musisz coś zjeść, a mamy tylko...

– Zjadłam dziś chyba z pięć kilo hamburgerów u Donny. Proszę, chcę widzieć, jak kończysz ten posiłek. Miałam zły dzień, mamó. Zjedz. Spróbuj. Dla mnie.

Mama powoli skubie jedzenie jak podejrzliwa mysz podjadająca truciznę, a ja patrzę.

Ona naprawdę stara się jeść, a ja jestem z niej dumna.

Po około dziesięciu minutach udaje jej się zjeść dwa i pół kawałka kurczaka... po czym zaczyna wymiotować.

Zanim wyprowadzam ją z Żółtka, trzy razy puszcza pawia. Po kolejnym ataku torsji na parkingu – który napędza mi porządnego stracha – mama w końcu przestaje rzygać.

Kiedy prosi o papierosy, podaję jej paczkę i pozwalam zapalić. Przynoszę jej nawet puszkę coli z wódką, bo boję się, że mama umrze tu i teraz, a wiem, że właśnie wódki potrzebuje najbardziej.

Pod fotelem kierowcy znajdują papierowe ręczniki i jakiś niebieski płyn do czyszczenia, więc wycieram rzygi mamy, w których pełno jest krwi i maleńkich postrzępionych kawałeczków kurczaka.

Przez cały czas zbiera mi się na mdłości.

Próbuję myśleć o czymś miłym, żeby odwrócić uwagę od tego, co robię, więc przywołuję najpiękniejszą chwilę numer dwa z życia Amber i jej mamy:

Jestem malutka. Nie umiem mówić. Moje ręce i nogi zawinięte są w prześcieradło – czuję się jak mumia. Siedzę w wózku. Jest późne lato. Osłania mnie jedna z tych specjalnych budek dla dzieci – zaokrąglona półkopuła, która zakrywa połowę wózka. Tata pcha wózek, a mama trzyma go pod rękę. Słyszę krzyki mew, więc może niedaleko jest plaża. Nagle się zatrzymujemy. Bob nachyla się i całuje mamę. Maleńka ja obserwuję, jak mama i tata się całują – uśmiecham się.

Oczywiście wiem, że nie mogę pamiętać tej chwili, bo miałam zaledwie kilka miesięcy, kiedy mój ojciec odszedł. Poza tym pewnie nie był w mamie aż tak zakochany, bo inaczej dlaczego miałby odchodzić?

Więc może zmyśliłam to wspomnienie?

Tak czy siak, zajmuje drugie miejsce na mojej liście.

Wracając do terażniejszości, kiedy sprzątałam wymiociny i wspominałam różne chwile, B3 schował się na jednym z tylnych siedzeń. To dlatego, że przez cały czas płakałam, a on się tego boi.

Kiedy kończę, cuchnę wymiocinami. Ponieważ w pobliżu nie ma żadnej umywalki ani niczego w tym stylu, będę śmierdzieć pawiem przez całą noc, chyba że wypiorę ciuchy w brudnej śniegowej brei na parkingu, przez co będzie ode mnie czuć benzyną i autobusowymi wyziewami. Nie mam przy sobie nawet butelki wody. Niczego.

Znów wychodzę z autobusu, żeby wrzucić zarzygane ręczniki w krzaki, a Bob idzie za mną i jak zwykle zaczyna podskakiwać. Nie mogę teraz tego znieść, więc krzyczę:

– Przestań skakać!

Przestaje.

Spogląda na mnie, a jego małe uszka wyprostowane są na sztorc, jak gdybym go uderzyła albo coś.

Po chwili zaczyna wyc, jakby też płakał.

Więc przerzucam ręczniki przez płot do lasu – pozbywając się wymiocin mamy – podnoszę Boba i całuję go w usta.

– Boję się, B3. Boję się. Dłużej nie wytrzymam.

– Hau! – odpowiada zgodnie, po czym idziemy z powrotem do mamy.

– Muszę wyjść – oznajmia mama, wydychając mentolowy dym.

– Dokąd?

– Po lekarstwo na żołądek.

– Dokąd?

– Do apteki.

– W Childress?

– Tak.

– Pójdę z tobą – mówię.

– Już późno. Jutro szkoła. Poradzę sobie.

– Mamo. Idziesz kupić więcej wódki? Możesz mi powiedzieć prawdę. Nie będę cię powstrzymywać. Chcę tylko znać prawdę.

Mama nie patrzy mi w oczy.

– Idę do apteki. Muszę kupić krople żołądkowe. Niedługo wrócę. Idź spać – prosi i odchodzi, lekko się chwiejąc.

Wiem, że powinnam ją powstrzymać, pójść za nią i upewnić się, że nic jej nie będzie, ale mam tylko siedemnaście lat – jestem jeszcze dziewczynką, zwyczajną głupią i zdezorientowaną nastolatką. To nic nowego, a mnie brakuje paliwa. Czuję, że jadę na pustym baku, więc wracam do Żółtka i płaczę aż do zaśnięcia, nawet się nie modląc. Wybacz, JC.

Kiedy się budzę, latarnie już nie świecą.

– Mamo?! – wołam. Cisza. – Mamo?! – Instynktownie czuję, że jej tu nie ma. Wali mi serce. Wstaję. Powoli, czekając, aż mój wzrok przyzwyczai się do ciemności, macam dłonią siedzenia w autobusie i powtarzam: – Mamo? Mamo? Mamo? Mamo?

B3 obwąchuje każdy skrawek podłogi. Mamy nie ma w Żółtku. Musi być już po jedenastej, bo wygaszono latarnie. Mam wrażenie, że wydarzyło się coś potwornego. Nie potrafię tego wyjaśnić – po prostu wiem. A może to tylko złe przeczucie.

– Chodź, Bob – mówię i opuszczamy Żółtka.

Mama może być w jednym z dwóch miejsc: w barze Charlie's Pad na skraju miasta, pierwszym w slumsach, albo w sklepie monopolowym obok kościoła Ojca Chee, gdzie tanio sprzedają wielkie plastikowe butle wódki – kosztują o połowę mniej niż w Childress, poza tym sklep w slumsach zamykają później.

Mam chaos w głowie, ale wiem, że mamie mogło się stać coś złego. Przełączam się na autopilota i poruszam się w błyskawicznym tempie.

Mijam dom Szeregowca Jacksona, pokonuję kilka przecznic i wchodzę do slumsów, gdzie próbuję otworzyć metalowe drzwi do baru Charlie's Pad. Za wysokimi oknami pokrytymi siatką antywłamaniową nie świecą się już neony z reklamą piwa, a drzwi są zamknięte.

– Halo?! – wołam. – Halo?!

Nikt nie odpowiada.

– Halo?! Jest tam kto? Mamo? Mamo!

– Stul pysk, zdiro! – krzyczy ktoś, ale kiedy się odwracam, nikogo nie widzę.

Na ulicach jest pusto. Tylko śmieci wirują na wietrze. Jeśli bar jest zamknięty, musi już być dobrze po północy. Sklep monopolowy też jest już pewnie nieczynny, ale z jakiegoś głupiego powodu B3 i ja zaczynamy bardzo szybko iść w jego stronę, jak gdyby mama naprawdę tam była.

Jestem zdesperowana. Jestem trochę nienormalna. Jestem sama. Jestem przestraszona.

Jestem głupia.

Mijam zarośniętego bezdomnego wariata, który rzuca we mnie pustą puszką po piwie i krzyczy:

– Złap kota za ogon, aż zakręcisz się i utoniesz! Złap kota za ogon...

Bob i ja zaczynamy biec. Lodowaty wiatr siecze mnie po twarzy. W oddali słyszę wycie alarmów samochodowych. Kiedy dobiegam do sklepu monopolowego, zastaję zamknięte drzwi zabezpieczone łańcuchem. Wokół nie ma nikogo. Nie wiem, dlaczego zaczynam walić do drzwi i krzyczeć:

– Mamo?!

Następnie walę do drzwi koreańskiego kościoła katolickiego i wołam Ojca Chee, który mieszka na pierwszym piętrze, jednak nie zapalają się żadne światła.

Wtedy przypominam sobie, gdzie jestem i która jest godzina.

Zaczynam się naprawdę bać, zwłaszcza że obok mnie zatrzymuje się tandetny samochód ze srebrnymi felgami, przyciemnianymi szybami, huczącym basem i różowymi neonowymi światłami, od których jarzy się jezdnia.

Ruszam ulicą, kierując się z powrotem w stronę Childress.

Samochód sunie za mną w tempie moich kroków.

Jedzie za mną przez całą przecznicę – zza szyb dobiega głośny rap – więc po chwili B3 i ja zaczynamy biec.

Kiedy docieram do połowy następnej przecznicy, samochód przyspiesza i skręca, po czym z piskiem opon zatrzymuje się na rogu i odcina mi drogę.

Drzwi się otwierają i z samochodu wysiada biały facet z nastroszonymi blond włosami i mnóstwem złotych łańcuchów, który wygląda jak oprych.

– Pali się? Dokąd tak biegniesz, dziewczynko? – rzuca z uśmiechem.

Ma na sobie workowaty biały dres.

Jestem tak zmęczona, skołowana i zmartwiona, że znów zaczynam płakać – jak jakaś beksa.

– Nie płacz. Już dobrze – mówi, bardzo powoli się do mnie zbliżając. – Co się dzieje?

Bob sceptycznie obszczekuje mężczyznę. Podobnie jak Miss Jenny B3 zna się na ludziach, ale z jakiegoś powodu chcę wierzyć, że ten facet nie jest zły i że może to JC przysłał mi go na pomoc.

Prawdę mówiąc, blondyn jest nawet dość przystojny i wygląda prawie niewinnie – jak Billy Budd.

– Szukam swojej mamy – mówię, bo taka jest prawda, a ja jestem tak strasznie zmęczona.

– Wsiadaj... Poszukamy jej razem – odpowiada. – Jesteś bardzo ładna, wiesz?

Kiedy to mówi, zaciska mi się żołądek, a ten facet zaczyna przypominać raczej Claggarta niż Billy'ego Budda.

– Chyba się przejdę, ale dziękuję za propozycję.

– Takim dziewczynom jak ty przytrafiają się nieprzyjemne rzeczy, kiedy w środku nocy błąkają się samotnie po nieznannej okolicy – odpowiada. – Powinnaś pojechać ze mną.

– Amber! – słyszę, a kiedy się odwracam, widzę Ojca Chee, który biegnie w moją stronę w kapciach przez zimną noc. Ma na sobie tylko czarną pidżamę, w której wygląda jak jakiś zwariowany mistrz sztuk walki.

– A ty to kto? – pyta blondyn, kiedy OC do nas dobiega. – Jackie Chan?

– Chodź, Amber – mówi Ojciec Chee i bierze mnie za rękę.

– To twój alfons czy coś?

– To mój ksiądz – odpowiadam.

– W takim razie może spotkamy się przy innej okazji – mówi blondyn, uśmiechając się dziwnie i chichocząc. Wsiada do samochodu i odjeżdża.

– Chodźmy – mówi OC, po czym truchtem biegniemy z powrotem do koreańskiego kościoła katolickiego. – Co ty w ogóle robisz w tej okolicy w środku nocy? – pyta, kiedy znajdujemy się za zamkniętymi drzwiami.

Boję się o mamę, więc wszystko mu mówię.

Opowiadam mu o niej, o tym, że mieszkamy w Żółtku i że mama nie wróciła dziś do domu, a kiedy spada mi poziom adrenaliny, zaczynam się naprawdę denerwować i martwić.

Mój głos robi się cienki i piskliwy, a ja czuję, że nigdy nie będę tak odważna i silna jak Donna i że nigdy nie dostanę się do Bryn Mawr College.

Kiedy kończę mówić, znów zaczynam płakać, więc OC przytula mnie po ojcowsku, bardzo delikatnie gładząc mnie po plecach, co jest naprawdę miłe. To dobry człowiek.

– Powinniśmy zadzwonić na policję, żeby mogli zacząć szukać twoją matkę – oznajmia Ojciec Chee.

– Może najpierw powinnam się skonsultować z moim adwokatem?

– Masz adwokata? – pyta, a ja opowiadam mu o Donnie, po czym budzimy ją, dzwoniąc do niej z automatu w kościele. OC wkłada swój strój pingwina i jedziemy taksówką do domu Ricky'ego, gdzie opowiadam o wszystkim Donnie, podczas gdy Ojciec Chee parzy kawę.

Widzę, że Donna gniewa się, że nie powiedziałam jej, w jak ciężkiej sytuacji znalazłyśmy się z mamą i że od kilku miesięcy mieszkam w Żółtku, bo bardzo głośno mówi:

– Od kilku miesięcy!?

Kiedy kiwam głową, pyta, dlaczego nie powiedziałam jej o tym wcześniej, a ja znów zaczynam płakać, bo czuję się taka słaba i głupia. Jestem też trochę zła, że sama nie domyśliła się tego wszystkiego wcześniej. *Czy w przeciwnym razie co dzień rano brałabym prysznic w jej domu?*

Ojciec Chee podaje nam kawę, a Donna dzwoni w kilka miejsc.

Słyszę, jak rozmawia z policją, a potem z jakimś prywatnym detektywem.

W pewnej chwili mówi:

– Pieniądze nie grają tu roli.

Zjawia się młoda asystentka Donny – bez makijażu i z rozczochranymi włosami wygląda mniej groźnie.

– Dostajesz podwyżkę – oznajmia jej Donna.

– Wszystko w porządku? – zwraca się do mnie Jessica, a ja czuję, że jej troska jest szczerą.

Pamiętam, jak bardzo nienawidziłam Jessiki w przeszłości, i zaczynam jeszcze mocniej szlochać, bo zachowywałam się jak dziecko.

– Być może nie zdążymy wrócić do rana. Nie mów nic Ricky’emu, kiedy się obudzi – prosi Donna Jessicę. – Powiedz mu, że musiałam wcześniej wyjść na rozprawę, podaj mu to, co będzie chciał zjeść na śniadanie, i zawieź go do szkoły. Aha, jeszcze jedno. Nałóż psu jedzenie z puszki, a potem go wyprowadź, dobrze?

Jessica kiwa głową, a następnie OC, ja i Donna jedziemy mercedesem do Żółtku. Wołamy mamę i z latarkami przeszukujemy parking.

Mamy nie ma na parkingu. Nie ma jej też w Żółtku.

– Weź swoje rzeczy – nakazuje mi Donna, więc wyjmuję swoje worki ze schowka, a Ojciec Chee zanosí je do samochodu. – Dokąd jeszcze mogła pójść?

– Może poznała jakiegoś faceta? – mówię z nadzieją, bo to najlepsze, co przychodzi mi do głowy. – Zawsze próbowała znaleźć faceta z mieszkaniem, żebyśmy miały dom.

– Czy kiedykolwiek wcześniej zostawiła cię samą na całą noc? – pyta Donna.

– Nie – mówię, ale czuję, że nie powinnam teraz kłamać. – A przynajmniej niezbyt często. Czasem. Ale dziś to co innego. Czuję, że mogło jej się stać coś bardzo złego. Coś mi podpowiada, że tak jest. Musisz mi zaufać. Mówię poważnie, Donna, naprawdę się boję.

– Dobrze – odpowiada. W jej oczach widzę, że się martwi, a to źle. Bardzo źle. To takie popaprane. Nasza trójka objeżdża miasto, szukając mamy. Krążymy po slumsach. Za samochodową szybą przesuwają się wszystkie główne ulice Childress. Mijamy wszystkie bary i sklepy monopolowe, jakie znamy, a następnie wracamy na parking. O tej godzinie kierowcy zawożą dzieci do szkoły.

Szef mamy potwierdza, że nie przyszła dziś do pracy i że żaden inny kierowca jej nie widział. Nie dzwoniła też i nie zgłosiła choroby.

Zaczynam czuć, że zostałam zupełnie sama.

Kiedy wracamy do domu Donny, Ricky’ego już nie ma, a B3 podarł na strzępy oparcie skórzanej sofy Donny.

Jessica odwiozła Ricky’ego do szkoły, a teraz przeprasza za bałagan.

– To moja wina. Zapomniałam ci powiedzieć, żebyś przed wyjściem z domu zamknęła Boba w pokoju – mówi Donna.

Mimo że nie wspomina o tym, że mój pies pogryzł jej drogie meble, widząc, co narobił, znów

zaczynam płakać.

Jestem strasznie zmęczona.

Po kilku telefonach na posterunek Donna przekonuje policjantów, żeby mnie przesłuchali. Zostawia mnie pod opieką Ojca Chee, po czym obie prawniczki biorą prysznic, ubierają się i szykują do wyjścia na toczącą się rozprawę o morderstwo.

Ojciec Chee po prostu przy mnie siedzi na skórzanej kanapie, którą B3 wcześniej porwał. Na zmianę głaszczemy mojego psiaka.

W przeciwieństwie do tego, co zrobiłaby większość dorosłych, OC nie mówi nic głupiego, tylko siedzi ze mną w milczeniu. Doceniam to.

Tuż po wyjściu Donny i Jessiki zjawia się dwóch policjantów w ładnych mundurach. Zadają mi mnóstwo pytań odnośnie do tego, gdzie mieszkałam z mamą, pytają o jej problemy z alkoholem i o długą listę byłych facetów. Opisuję ich ze szczegółami, a policjanci wszystko notują.

Donna kazała mi mówić prawdę, więc to robię.

Udzielam tych samych odpowiedzi prywatnemu detektywowi, który zjawia się kilka sekund po wyjściu policji. To niespokojny mężczyzna z obfitym żółtym wąsem i potrądzikowymi bliznami na twarzy. On także notuje moje odpowiedzi – wszystkie sekrety, których dochowywałam przez kilka miesięcy.

Kiedy kończymy, jest już prawie południe, co oznacza, że – poza mniej więcej godziną snu w autobusie – nie śpię od trzydziestu kilku godzin.

– Jak się czujesz? – pyta Ojciec Chee.

– Jestem strasznie zmęczona – mówię, a ponieważ bardzo tego potrzebuję, przytulam się do mojego sługi bożego i opieram mu głowę na ramieniu. Znow zaczynam płakać.

Jakoś udaje mi się zasnąć.

Część trzecia
Rzygaj i płacz

Znalezienie ciała mamy zajmuje policjantom dziewięć dni, ale kiedy w końcu się na nie natykają, ta wiadomość staje się tematem dnia w każdej stacji telewizyjnej i ląduje na pierwszych stronach wszystkich lokalnych gazet. Mordercę mojej mamy natychmiast wiąże się z innymi gwałtami i zabójstwami, które wydarzyły się w okolicy, więc z pewnością znacie wszystkie te makabryczne, nieprawdopodobne, sadystyczne szczegóły kończące moje dzieciństwo. Nie zamierzam ich tu podawać, bo choć wiem, że to prawda, nie chcę w to wszystko wierzyć.

Jestem teraz dosyć otepiała.

Może nawet na tyle, żeby zostać oficjalną nihilistką jak Joan Sędziwa.

Dla niektórych spraw trudno znaleźć wytłumaczenie lub ich przyczynę, więc kiedy się dzieją, nie ma sensu o nich mówić. I najlepiej za długo o tym wszystkim nie rozmyślać, bo wtedy odkrywa się, że życie nie ma sensu.

Może myślicie, że mówię to wszystko, bo wypieram to, co się stało, albo jestem w szoku, ale nie o to chodzi. Mówię szczerze, być może po raz pierwszy.

Ojciec Chee i Donna idą ze mną zidentyfikować ciało, choć Donna mówi, że nie muszę tego robić.

Z jakiegoś powodu chcę to zobaczyć.

Nalegam.

Zachowuję się jak jędra.

Chcę mieć absolutną pewność, żeby przez resztę życia nie zastanawiać się, co się stało – tak jak z tatą. I choć może się to wydawać samolubne, świadomość, że moja mama na pewno nie żyje, jest lepsza niż zastanawianie się, czy nie porzuciła mnie, szukając łatwiejszego życia, w którym nie będzie się musiała przejmować swoją głupią córką.

Idę do kostnicy. Poznają fakty. Są gorsze niż to, co zdołałam sobie wyobrazić. Moje wycie powstrzymuje ich przed odsłonięciem czegoś więcej niż głowa i ramiona mamy. Nie chcę nic więcej widzieć. Rozpadam się. Topię. Wyparowuję. To, co zostało z mojej nagiej matki, przykrywają prześcieradłem i wpychają do ściany, która przypomina coś w rodzaju lodówki.

Nie odzywam się przez trzy dni. Siedzę.

Gapię się.

Widzę nagie ciało mojej zmarłej matki w ciemnej lodówce.

Od czasu do czasu się trzęsę.

Mam wrażenie, że moje życie to niekończący się koszmar.

Donna przynosi mi zupę, krakersy i tost. Opiekuje się Bobem.

Na moją prośbę załatwia kremację mamy.

Ogień. Ciepło. Tak jest lepiej.

Obiecuję Donnie, że oddam jej pieniądze, ale ona mówi, że nie muszę.

Następnego dnia na moją prośbę Ojciec Chee odprawia prywatną mszę na ławce, na której mama i ja przysiadaliśmy, żeby nakarmić kaczki. Bob jest jedynym gościem zaproszonym na tę uroczystość, bo to wyjątkowe miejsce z mojego dzieciństwa należy tylko do mnie – zostało mi tylko ono, więc nie chcę się nim dzielić z nikim oprócz OC i B3. Nie zapraszam nawet Donny i Ricky'ego.

Ojciec Chee świetnie sobie radzi, wygłaszając piękną mowę pogrzebową na cześć mojej matki,

zwłaszcza że nigdy jej nie poznał. Mówi o tym, że mama pójdzie do nieba i że znów ją zobaczę, a to bardzo miłe, jeśli weźmie się pod uwagę, że mama nie była ochrzczona ani bierzmowana na członka Kościoła katolickiego – jestem też pewna, że nigdy nie była u spowiedzi – więc OC powinien mówić, że mama pójdzie do piekła.

Może papież jest wkurzony? Mam to gdzieś. OC mówi, że jego też to nie obchodzi. Nie powiem wam dokładnie, co takiego Ojciec Chee mówił na pogrzebie mamy, ale było to bardzo piękne – tak piękne jak najlepsze haiku Szeregowca Jacksona, a to już coś. Bez kitu.

Rozsypujemy prochy mamy na wodzie i trawie wokół ławki, a ja modlę się, by wiosną zakwitły tu kwiaty, co jest bardzo dziewczynskim i dość głupawym, ale miłym marzeniem.

Donna bierze mnie do siebie, kupuje mi łóżko, daje osobny pokój i przedziera się przez te wszystkie biurokratyczne procedury, żeby zostać moim opiekunem prawnym. To dość skomplikowane, bo nikt nie wie, czy mój ojciec wciąż żyje, a jeśli tak, to gdzie może przebywać. Nie wiem też, czy mam jakichkolwiek żyjących krewnych, bo moja mama odeszła z domu na Zachodnim Wybrzeżu bardzo wcześnie – w wieku trzynastu lat pojechała autostopem na wschód i nigdy nie opowiadała mi o swoich rodzicach, których nienawidziła. Nie powiedziała mi, jak się nazywali. Nie znam nawet jej panińskiego nazwiska.

Donna mówi, że ma wystarczająco dużo znajomości, żebym nie trafiła do rodziny zastępczej – przynajmniej do lata, kiedy skończę osiemnaście lat – ale muszę powiedzieć w sądzie, że chcę mieszkać z nią i Rickym, i tak właśnie robię.

Policja aresztuje mężczyznę w ogromnych brązowych okularach i z dziwną fryzurą.

Na pewno czytaliście o nim w gazetach albo widzieliście go w telewizji.

Jego twarz jest wszędzie. Staje się sławny. Przyznaje się do tego, co zrobił, ale jego prawnik podkreśla, że całe zajście było nieplanowane, a nawet przypadkowe, bo morderca mojej matki przestał brać leki. Mówi, że mężczyzna znów przyjmuje tabletki, jak gdyby kogokolwiek to obchodziło.

Prokurator kontaktuje się ze mną i z rodzinami innych ofiar. Mówi, że będę musiała zeznawać w sądzie. To nieprzyjemne, choć mogę liczyć na pomoc Donny. Nie opowiem wam o procesie, bo okazał się koszmarem.

Morderca mojej mamy w rozmowach z dziennikarzami wymienia moje imię i nazwisko.

Za pośrednictwem mediów przeprosza członków rodzin wszystkich ofiar, ale jedyne imię i nazwisko, jakie słyszę, to Amber Appleton.

Mówi, że jest chory.

Mówi, że zasługuje na każdą karę, a jego bezduszny, mechaniczny głos sprawia, że mam ciarki na plecach.

Ma bogatą przeszłość kryminalną. Jest wpisany do rejestru przestępców seksualnych. Kiedy patrzy się w jego oczy, można uwierzyć, że życie bywa zupełnie pozbawione sensu. Jest jak każdy inny mężczyzna, przez którego ludzie znikają w niewyobrażalnie okrutny sposób. Przypomina mi się cytata z Nietzschego, którą znalazłam, przygotowując się do potyczki z Joan Sędziwą: „Spacer po schronisku dla obłąkanych pokazuje, iż sama wiara nie dowodzi niczego”.

Donna mówi, że ten mężczyzna spędzi resztę życia w więzieniu, że inni więźniowie będą się nad nim znęcać bez końca, a ja odpowiadam jej, że właściwie wcale mnie to nie obchodzi – prawdę mówiąc, już nigdy nie chcę rozmawiać o tym mężczyźnie i mam gdzieś to, co się z nim stanie.

Nie wracam do szkoły.

Chudnę siedem kilo.

Wciąż jest mi zimno.

Staję się bardzo płochliwa. Każdy szmer wzbudza we mnie potworny lęk.

Donna próbuje mnie namówić na wizytę u terapeuty, ale odmawiam.

Nie mogę słuchać autystycznych bzdur Ricky'ego, więc bez przerwy na niego krzyczę. W końcu coś do niego dociera i nie odwiedza mnie już w moim pokoju.

Postanawiam, że nie będę już Amber Appleton, ale nie zmieniam nazwiska ani nic w tym stylu. Po prostu nie mogę dalej żyć tak, jak żyłam – próbować dokonywać rzeczy niemożliwych, wierzyć, że wszystko się ułoży, że warto walczyć i że jestem na tyle odważna i silna, że mogę zmienić rzeczywistość. Nie jestem i nie mogę.

Joan Sędziwa miała rację.

Teraz rozumiem, dlaczego powiedziała, że życie to piekło, a moje dopiero się zaczęło – nagle wszystko nabiera sensu.

Nie jestem już dzieckiem.

Ty, Jared i Chad-w-plecaku przychodzą do Donny i odwiedzają mnie w mojej nowej sypialni – plotą same głupoty.

Najpierw mówią, że im przykro, i pytają, co mogą zrobić, a kiedy milczę, stają się nerwowi i zaczynają opowiadać o ostatnich rozgrywkach Halo 3 stoczonych w Jaskini Franksa i o tym, że organizują całonocny turniej gier wideo, żeby pomóc drużynie futbolowej zbierać pieniądze na nowe, solidniejsze ochraniacze, kaski i pozostały sprzęt.

Wydaje się, że to dla nich ważne.

W przeszłości takie informacje by mnie wkurzyły, bo Lex i spółka najwyraźniej wykorzystują moich chłopców, jednak słuchając niekończącej się paplaniny Tya, Jareda i Chada, nie wzruszam nawet ramionami.

Wpatruję się w moich chłopców pustym wzrokiem aż do ich wyjścia.

Tego wieczoru mówię Donnie, że nie chcę już widzieć Tya, Jareda i Chada, ale ona nie reaguje.

Ojciec Chee przybiega do mnie co rano i wchodzi do mojej sypialni – robi to nawet w niedziele przed mszą.

Nigdy o tym nie zapomina. Jeśli nie śpię, pyta, czy chcę pogadać. Przez kilka tygodni odpowiadam, że nie, więc OC po prostu siedzi obok mnie przez godzinę i razem milczymy. Siedzimy na skraju mojego łóżka, oddychając i znajdując się w tej samej przestrzeni. Nie przeszkadza mi to, bo naprawdę lubię mojego sługę bożego, choć jestem zła na samego Boga.

Jeśli śpię lub udaję, że śpię, albo po prostu jak zwykle leżę w łóżku, gapiąc się w sufit, Ojciec Chee klęka przy mnie i pochyla głowę.

Kiedy pytam, co robi, odpowiada, że podnosi mnie ku Bogu i prosi Go, by pomógł mi się stać tym, kim mam być w tym momencie swojego życia.

Przychodzi codziennie, a mnie to nie przeszkadza.

Franks przysłała mi kartkę o następującej treści:

*Droga Amber,
wieści o Twojej mamie nami wstrząsnęły.
Zawsze możesz na mnie liczyć.
Brakuje nam Ciebie w Jaskini Franksa.
Modłę się za Ciebie i czekam na Twój powrót.*

*Trzymaj się
Franks*

Wyrzucam ją.

Wyrzucam wszystkie kwiaty i kartki od kolegów z klasy i członków naszej społeczności.

Nie wążam bukietów i nie otwieram liścików.

Nie chcę, żeby te wszystkie wiązanki i kondolencje istniały, więc proszę Donnę, by spaliła je w ogródku. Nie dostrzegam unoszącego się dymu, więc chyba nie spełniła mojej prośby.

Nie chodzę teraz do szkoły, więc mam korepetycje z jedną z matek w typie zombie, która potrzebuje dodatkowej gotówki.

Jest ogromna. Pachnie naftaliną. Nigdy się nie śmieje, nie uśmiecha ani nie żartuje. Przypomina mi robota uwięzionego w górze mięsa. Nazywa się pani Redman. Moi prawdziwi nauczyciele wręczają jej materiały, które mam opanować. Z początku na zadaniach widnieją odręczne notatki – pocieszające słowa prawdziwych pedagogów – ale kiedy po kilku tygodniach znikają, uświadamiam sobie, że moi nauczyciele spisali mnie na straty. Szybko im poszło.

Wciąż chciałabym pójść na studia do Bryn Mawr, więc odrabiam wszystkie zadania i pokazuję je pani Redman, która odwiedza mnie trzy razy w tygodniu.

Zawsze stawia mi piątki, nawet jeśli celowo udzieliłam nieprawidłowej odpowiedzi.

Chyba się mnie boi.

- Ojczy Chee?
- Tak, Amber?
- Dlaczego Bóg pozwala na to, by ludzie tracili rozum?
- Nie wiem.
- Nigdy mnie nie okłamiesz?
- Nie.
- Obiecuj. Że nie będziesz opowiadał kłamstw tak jak pozostali. Że nie będziesz mi wciskał kitu.
- Obiecuję. Nigdy cię nie okłamię.

Dyrcio Tony dzwoni do mnie od czasu do czasu, ale nie słucham tego, co mówi. Gada jakieś bzdury o różnych momentach w życiu, o odpływach i przyptywach i inne idiotyzmy, które plotą dorośli, kiedy nie mają pojęcia, co powiedzieć.

– Rozumiesz? – pyta zawsze pod koniec rozmowy, a ja za każdym razem odpowiadam, że tak.

- Ojczy Chee?
- Tak, Amber?
- Dlaczego psy są bardziej ludzkie od ludzi?
- Nie wiem.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nazwisko mamy pojawia się w wiadomościach, Szeregowiec Jackson zaczyna mi wysyłać po jednym haiku dziennie.

Nie przesyła mi listu z kondolencjami, nie pyta, jak się czuję, i nie wypisuje bezużytecznych bzdur. Wysyła tylko wiersze. A jego haiku nie służą temu, żeby mnie zainspirować, poprawić mi humor ani pomóc w poradzeniu sobie ze stratą. Za pomocą słów robi dla mnie fotografie prostych rzeczy takich jak liść, nakrętka na butelkę, płatek śniegu, ptak w locie, mrówka i pojedynczy oddech. Kiedy czytam jego wiersze, odlatuję, reagując na przedstawione w nich obrazy, które nie są dobre ani złe, radosne ani smutne, ekscytujące ani nudne.

Po prostu są.

Z niecierpliwością wyczekuję haiku SJ i poza wizytą w łazience, opuszczam moją sypialnię tylko po to, by zajrzeć do skrzynki na listy.

Pokrywam cztery ściany wierszami Szeregowca Jacksona – po jednej kartce dziennie – i mój pokój powoli zamienia się w kokon poezji. Oto pierwsze haiku, które mi wysłał:

*Siadam na łóżku
Wiewiórki drapią w ściany
Mój dom ożywa*

Z początku czytam to haiku milion razy, zastanawiając się, czy Szeregowiec Jackson próbuje mi coś przekazać za pomocą metafory.

Wymyślam całe mnóstwo interpretacji.

Może to metafora szaleństwa? Chaosu, który ostatnio czułam i który – choć skrywany w mojej piersi i głowie – istnieje naprawdę?

Od kilku dni nie wychodzę ze swojego nowego pokoju.

Może to metafora szaleństwa mężczyzny, który zabił moją mamę?

Może SJ chce mi przekazać, że muszę się ocknąć i zobaczyć, że wszystko wokół wciąż żyje i się rusza, choć mojej mamy już nie ma, a ja czuję się taka samotna?

Może miał na myśli coś innego, a ja jestem za głupia, żeby to zrozumieć?

Ale przypomniałam sobie filozofię Szeregowca Jacksona – jego zen.

Od razu zrozumiałam, że SJ obudził się w środku nocy i wewnątrz ścian swojego domu usłyszał wiewiórki, więc wykonał mentalną fotografię tej chwili i napisał mi haiku.

Nic więcej. Ta chwila po prostu była – wolna od emocji, sądów i złudnych wyobrażeń, które my ludzie przypisujemy wszystkiemu, z czym się stykamy.

Czytając haiku Szeregowca Jacksona po zabójstwie mojej matki, rozumiem, dlaczego przez te wszystkie lata od powrotu z Wietnamu pisał haiku i ćwiczył umysł tak, by myśli wychodziły z niego bez emocjonalnego obciążenia.

Wszystko po prostu jest – zawsze i bez końca.

*Suchy liść leci
Jak młody Ikar, po czym
Sam się rozpada*

Teraz rozumiem poezję haiku. Bez kitu. A Szeregowiec Jackson to mój ulubiony pisarz.

- Ojciec Chee?
- Tak, Amber?
- Dlaczego Bóg pozwala, by dobrym ludziom przytrafiały się straszne rzeczy?
- Nie wiem.

Któregoś dnia na iPodzie Donny milion razy pod rząd słucham piosenki *Puke and Cry*, Rzygaj i płacz, zespołu Dinosaur Jr. Po prostu zmieniam ustawienia tak, by utwór leciał raz po raz przez kilka godzin, i odlatuję.

Udaję, że główny wokalista – J Mascis – śpiewa mi tę piosenkę w kółko z salonu Donny na dole. Mascis – który ma długie siwe włosy, bo jest już stary – nie przestaje powtarzać: „Zejdź na dół. Zejdź na dół. Zejdź na dół”, jak gdyby naprawdę chciał, żebym opuściła swój kokon haiku i smutku.

Nie schodzę na dół, ale wyobrażam sobie, że ten mało znany rockman tego pragnie.

Bateria w końcu się wyczerpuje, a kiedy zdejmuję słuchawki, dzwoni mi w uszach. J Mascis znika, a Donna woła mnie, pytając, czy chcę zupy.

- Ojczy Chee?
- Tak, Amber?
- Czy ten straszny ból kiedykolwiek minie?
- Nie wiem.

Trawa wypita

Pies tarza się w jutrzejszej

Porcji – napar trwa

Po upływie mniej więcej miesiąca Stary Linder odwiedza mnie w imieniu całego domu metodystów.

Donna przychodzi do mojego pokoju i mówi, żebym zeszła zobaczyć się ze Starym Linderem, bo on nie może wejść po schodach. Rozprawa o morderstwo skończyła się jakiś tydzień temu i Donna wzięła urlop. Chce się mną zająć, choć prosiłam, żeby tego nie robiła. Nadskakuje mi, mimo że prawie z nią nie rozmawiam.

– Schodzę na dół tylko raz dziennie, żeby sprawdzić pocztę – odpowiadam. – Powiedz Staremu Linderowi, że jeżeli chce ze mną porozmawiać, musi wejść na górę.

– Ten mężczyzna ma rurki w nosie i jest podłączony do tlenu...

– Tak, znam typa – mówię jak totalna sucz.

– Nie może wejść po schodach. Mówi, że to go może zabić, ale naprawdę chce z tobą porozmawiać, Amber. Chyba niezbyt często opuszcza dom. Proszę, zejść. To starszy człowiek i myślę, że dobrze ci zrobi, jeśli...

– Nie – przerywam. – Powiedz mu, że może wrócić jutro około pierwszej piętnaście, kiedy pójde do skrzynki. Dopiero wtedy zejść na dół.

– Amber, co się z tobą dzieje? – mówi Donna dramatycznym tonem, który mnie wkurza.

Kiedy nie odpowiadam, wychodzi.

Dziesięć minut później wraca i wręcza mi filiżankę gorącego kakao oraz snickersa, po czym patrzy na mnie, kręcąc głową, i opuszcza mój poetycki kokon.

Słyszę ciężki oddech Starego Lindera na schodach. Krok, łoskot, sapanie. Krok, łoskot, sapanie.

Jego zbiornik z tlenem robi straszliwy rumor, ilekroć mężczyzna stawia go na kolejnym schodku.

– Panie Linder – mówi Donna – może... Naprawdę pan nie powinien...

– Nie pouczaj mnie! Mógłbym być twoim dziadkiem, młoda damo! – oznajmia Stary Linder, po czym ze świstem wciąga powietrze, jakby przez ostatnie dwie godziny przebywał pod wodą.

On i Donna jeszcze przez kilka minut kłócą się o to, czy Linder powinien wchodzić po schodach, w końcu przerywam im, krzyżąc:

– Donna, nie prowokuj go! Krzyk mu nie pomaga!

Potem słyszę tylko kroki, łoskot i sapanie.

Kiedy Stary Linder dociera do szczytu schodów, wygląda tak, jakby miał się przewrócić na plecy i umrzeć. Jego twarz jest zupełnie biała, przez co czuję się jak totalna jędra. Wychodzę na korytarz, biorę go pod rękę i wprowadzam do pokoju.

Kiedy ściska mnie za ramię jak trener futbolu, wiem, że będzie żył i że najprawdopodobniej nie skona w mojej sypialni.

Wskazuje na snickersa i kakao na mojej komodzie.

– Z pozdrowieniami od Odźwiernej Lucy.

Kiwam głową.

– Jak się miewasz? – pyta, po czym siada na drewnianym krześle pasującym do biurka, które kupiła mi Donna.

Wzruszam ramionami.

Widzę, że przezroczyste rurki do podawania tlenu są zaparowane, i zastanawiam się, czy to źle.

– Co to za kartki na ścianie?

– Haiku?

– Ha-co?

– Krótkie japońskie wiersze.

– Mówisz po japońsku? – pyta.

– Są po angielsku.

– Ty je napisałaś?

– Nie, Szeregowiec Jackson.

– Kim jest Szeregowiec Jackson?

– Był kiedyś w Wietnamie. Teraz pisze haiku. To mój ulubiony poeta.

– Nie będę się w to wszystko wdawał, dziecko – mówi Stary Linder, regulując dyszę przy butli tlenowej. Wydobywa się z niej syk. – Wiem, że doświadczyłaś potwornej, niezrozumiałej i okrutnej straty, i choć nie zamierzam udawać, że wiem, co czujesz... Jestem już na tyle stary, by wiedzieć, że zanim życie ostatecznie rozprawi się z człowiekiem, zadaje mu potworne ciosy. Jednak po każdym upadku trzeba się wziąć w garść i...

– Proszę, przestań – mówię do Starego Lindera. – Proszę.

Wydaje się zdezorientowany.

Wykręca palce. Jest strasznie oldskulowy. Ta sytuacja go przerasta.

– Miałem dziewiętnaście lat, kiedy mój najlepszy przyjaciel zginął podczas drugiej wojny światowej. Później już nigdy nie czułem...

– Proszę, przestań.

Otrząsa się z mojej prośby, uśmiecha się porozumiewawczo i mówi:

– Wszyscy mieszkańcy domu za tobą tęsknią. Joan Sędziwa żąda rewanżu. Wciąż podważa wynik waszej ostatniej walki. Mówi, że ten pocałunek był naruszeniem zasad, chociaż Stary Thompson oczywiście nigdy się z nią nie zgodzi. – Stary Linder wybucha wymuszonym śmiechem. – Ale niektóre starsze, ograniczone kobiety przyjęły punkt widzenia Joan. Jeśli szybko nie wydamy jakiegoś publicznego oświadczenia, fani uznają, że...

– To była tylko głupia gra. Fantazja.

– Środowe bitwy to coś, na co wszyscy czekają i...

– Rezygnuję. Joan Sędziwa wygrywa walkowerem.

– Walkowerem? Rezygnujesz? *Mówisz poważnie?* Nie osiągnęłaś jeszcze maksimum swoich możliwości, a...

– Skończyłam z rozśmieszaniem ludzi. To koniec.

Stary Linder przez chwilę milczy, zbierając myśli, po czym mówi łagodnie:

– Amber.

Gdy spoglądam w jego oczy, widzę, że są wilgotne, i rozumiem, że kocha mnie jak własną wnuczkę, ale nie mogę już grać w tę grę, więc odwracam wzrok.

– Życie toczy się dalej – rzuca. – Niezależnie od tego, czy postanawiamy się nim cieszyć, czy nie. Więc równie dobrze możesz znaleźć sposób, żeby cieszyć się tymi aspektami, którymi się da. Nie możesz tak po prostu zrezygnować z życia, Amber.

– Dlaczego nie? Wszyscy inni to robią. Wszyscy. Dlaczego to ty nie staniesz w środe przed publicznością i nie zaczniesz opowiadać kawałów? Dlaczego żadne z was nie zmierzy się z Joan Sędziwą? Jestem zmęczona dźwiganiem was wszystkich na plecach. Nie dam już rady. Nie mogę być waszą Księżniczką Nadziei, bo nie mam już nadziei! Nie czytałeś gazet? Nie pamiętasz, co się stało

z moją mamą? Czy po czymś takim można mieć jeszcze nadzieję? A ty oczekujesz, że po prostu wezmę się w garść i dalej będę radosna ze względu na was? Że raz w tygodniu będę was rozśmieszać? Wydobreję tylko po to, żeby co środę po południu grać w jakąś durną grę ze staruchami? Niby dlaczego? Po co miałabym to robić?

Wybucham płaczem. Szlocham przez kilka minut.

– Nie powinienem był przychodzić – oznajmia Stary Linder. – Chciałem tylko...

– Po prostu wyjdź! – krzyczę.

Staremu Linderowi zajmuje sporo czasu, zanim udaje mu się wstać, a po odgłosach, jakie wydaje, można sądzić, że on także płacze, przez co czuję się jeszcze gorzej. Nie próbuję go zatrzymać ani nie przepraszam.

Chcę tylko, żeby odszedł. Nie potrafię już być dziewczyną, której potrzebuje. Prawdę mówiąc, nigdy nią nie byłam – udawałam. Przez kilka minut słucham, jak schodzi po kolejnych stopniach, z łoskotem stawiając na nich butlę z tlenem. Stary Linder wciąga powietrze ze świstem jak jakiś wariat.

Słyszę, jak na dole Donna przeprasza za moje zachowanie, a Stary Linder kolejny raz mówi, że nie powinien był przychodzić. Wtedy zdaję sobie sprawę, że go zmiażdżyłam – kopnęłam go prosto w metaforyczne jaja i wyrwałam resztki nadziei temu bokserowi wagi lekkiej. Łatwo zdruzgotać ludzi takich jak on. Żal mi Starego Lindera. Jakim cudem dożył starości?

Słyszę, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają, a Donna przychodzi do mojej sypialni i mówi:

– Powinnaś się wstydzić. To nie jesteś ty, Amber. Naprawdę jesteś kimś o wiele lepszym.

– Spierdalaj – mówię, wciąż szlochając, i sama jestem tym wstrząśnięta.

Donna przez chwilę patrzy na mnie, jak gdybym uderzyła ją w twarz, i zaczyna jej drzeć dolną wargę. Nie sądziłam, że to możliwe.

Po jej policzku stacza się łza. Wychodzi. A więc nawet potężną Donnę można zmiażdżyć, myślę.

*Piszę kolejne
Haiku i cieszę się
Bieżącą chwilą*

- Ojciec Chee?
- Tak, Amber?
- Czy człowiek jest tylko omyłką Boga, czy Bóg omyłką człowieka?
- A co to? Cytujesz Nietzschego?
- Znasz jego teksty?
- Tak.
- Czy czytanie Nietzschego sprawia, że podważasz swoją wiarę?
- Tak.
- Ale wciąż wierzysz w Boga?
- Tak.
- W jaki sposób wciąż udaje ci się wierzyć?
- Mam ufność.
- Dlaczego?

– Bo kiedy poprosiłem Go o pomoc, Bóg zesłał mi młodą, pogodną dziewczynę, która zdołała przekonać grupkę nieśmiałych Koreanek do śpiewania przebojów The Supremes. Ze zwykłych kobiet zrobiła diwy i podwoiła liczbę członków w moim kościele. To był wspaniały cud, który zobaczyłem na własne oczy. To bardzo wzmocniło moją wiarę.

– A co, jeśli ta młoda, pogodna dziewczyna nigdy nie podniesie się po ciosie, który zadał jej Bóg? Co, jeśli już nigdy nie zaśpiewa z tymi Koreankami, a ludzie przestaną przychodzić do twojego kościoła, papież cię zwolni, a ty się rozchorujesz i znajdziesz się na granicy śmierci, zupełnie sam, z poczuciem, że twoje życie nic nie znaczy, a potem zjawi się jakiś psychopata i zabije cię w dziwaczny, przerażający sposób? Czy wtedy także będziesz wierzył w Boga?

- Nie wiem.

*Słońce to nie krąg
Lecz długa biała smuga
Czas jest iluzją*

- Ojczy Chee?
- Tak, Amber?
- Myślisz, że gdybym tamtej nocy poszła za mamą, zdołałabym powstrzymać jej mordercę?
- Nie wiem.

*Czy czterolistna
Koniczyna jest cudem
Czy łutem szczęścia?*

– Ojciec Chee?

– Tak, Amber?

– Dlaczego niektórzy ludzie przechodzą przez życie, nie doświadczając żadnej większej tragedii, a innym wciąż przydarzają się straszliwe rzeczy?

– Nie wiem.

*Wgryzam się w żółte
Jabłko, jego sok spływa
Po moich palcach*

- Ojciec Chee?
- Tak, Amber?
- Myślisz, że byłam w miarę dobrym człowiekiem, zanim moja mama umarła?
- Jestem tego pewny. Wciąż jesteś dobrym człowiekiem.
- Więc to, czy jesteśmy dobrzy, czy źli, nie ma znaczenia. Zło i tak nas spotyka?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem.

*Za oknem wróbel
Wije dom z tego co mnie
Już niepotrzebne*

– Ojciec Chee?

– Tak, Amber?

– Dlaczego Bóg nie nadstawił drugiego półeczka, kiedy Adam i Ewa zjedli jabłko? Dlaczego musiał ukarać całą ludzkość za to cholerne jabłko?

– To metafora. Ludzie chcą mieć coraz większą wiedzę, choć nie potrafią jej kontrolować. Bóg próbował uchronić nas przed konsekwencjami wiedzy, ale my Go nie posłuchaliśmy.

– Myślisz, że zjadłam jakieś metaforyczne jabłko? Myślisz, że moja mama została zamordowana, bo w jakiś sposób wkurzyłam Boga? Nie posłuchałam?

– Nie. To nie dlatego. Absolutnie.

– Więc dlaczego moja mama została zamordowana?

– Nie wiem.

*Jak wiele kromek
Chleba oddziela słowa
Ból, dobro, strata?*

- Ojcie Chee?
- Tak, Amber?
- Dlaczego codziennie tu przychodzisz?
- Bo warto cię odwiedzać.
- Dlaczego?
- Bo uda ci się to przetrwać i staniesz się silniejsza. Kiedyś będziesz jeszcze pomagać ludziom.
- Naprawdę w to wierzysz?
- Tak. To nieuniknione.
- Skoro to nieuniknione, to dlaczego musisz tu przychodzić?
- Nie muszę. Lubię odwiedzać Amber Appleton. Chcę być przy tobie, kiedy się odrodzisz. Kiedy w końcu z tego wyjdiesz i staniesz się silniejsza.
- To dlatego przydarzają się nam złe rzeczy? Żeby nas wzmocnić?
- Może, ale prawdę mówiąc... Nie wiem.
- Tęsknię za mamą. Była beznadziejną mamą, ale za nią tęsknię. Naprawdę.
- Ja także tęsknię za swoją matką.
- Jacy są twoi rodzice? Mieszkają tu, w Ameryce, czy w Korei?
- Moi rodzice byli bardzo dobrymi ludźmi. Oboje nie żyją.
- Jak umarli?
- Zostali zamordowani.
- Poważnie?
- Tak.
- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?
- Nie pytałaś.
- W jaki sposób ich zamordowano?
- Wiele lat temu. W obozie dla internowanych.
- Co to takiego?
- To więzienie, do którego trafiają ludzie krytykujący rząd Korei Północnej.
- Co twoi rodzice mówili o rządzie?
- Że ludzie powinni mieć prawo wierzyć w Jezusa i budować kościoły.
- To przestępstwo?
- W Korei Północnej tak.
- Zabito ich w więzieniu?
- Tak.
- Dlaczego JC pozwolił, żeby ich zabito po tym, jak się za Nim wstawili?
- Nie wiem.
- To dlatego zostałeś księdzem w Ameryce? Ze względu na rodziców?
- Tak.
- Dlaczego?

- Żeby ich śmierć nabrała sensu.
- W jaki sposób to, że jesteś księdzem, nadaje ich śmierci jakiś sens?
- Oddali swoje życie za Dobrą Nowinę. Teraz ja żyję tak, by opowiadać o niej innym ludziom.
- Czym jest Dobra Nowina?
- Dobra Nowina uczy nas, że niezależnie od licznych dowodów na to, że życie jest nieistotne, powinniśmy wierzyć w to, że ma ono sens. Historia Jezusa uczy nas dobroci. Dobra Nowina głosi, że powinniśmy się starać ze wszystkich sił i śpiewać muzykę soulową, jeśli dzięki temu życie innych staje się lepsze. Że powinniśmy próbować być dobrzy i kochać wszystkich bliźnich.
- Kochasz ludzi, którzy zamordowali twoich rodziców?
- Modlę się za nich i za ludzi takich jak oni.
- Ale czy ich kochasz?
- Nie wiem.
- Myślisz, że stanę się taka jak ty, prawda? To dlatego codziennie tu przychodzisz?
- Myślę, że będziesz o wiele lepsza ode mnie.
- Dlaczego?
- Ojciec Chee nie potrafi tak dobrze klaskać do muzyki soulowej.

Pierwszy raz od tygodni się uśmiecham, a Ojciec Chee wydaje z siebie krótki rechot.

- Przykro mi, że twoi rodzice zginęli za to, że wierzyli w JC – mówię.
- Przykro mi, że odebrano ci mamę bez żadnego ważnego powodu, Amber. Naprawdę bardzo ci współczuję.
- Ale nie możemy nic zrobić, żeby wskrzesić naszych rodziców, prawda?
- Nie możemy ich wskrzesić, ale możemy czcić ich pamięć, żyjąc dalej.
- Dlaczego powinniśmy to robić?
- Może to lepsze niż wieczne siedzenie w pokoju.
- Dlaczego?
- Wiesz dlaczego – mówi OC.
- To niesprawiedliwe.
- Masz rację. Życie nie jest sprawiedliwe.
- Więc dlaczego my mamy być sprawiedliwi?
- Bo możemy.
- Sama nie wiem, OC. Naprawdę lubię to, że codziennie tu przychodzisz. Naprawdę. Bez kitu. Ale myślę, że nie mogę już być tym, kim byłam.
- A kim byłaś?
- Amber Appleton znaną również jako Księżniczka Nadziei.
- Byłaś, jesteś i zawsze będziesz pełna nadziei, aż do śmierci.
- Dlaczego mi to mówisz? Nawet teraz, kiedy wiesz, że nic mi już nie pozostało. Dlaczego mnie tym obciążasz?
- Bo wierzę w Księżniczkę Nadziei. W ciebie, Amber Appleton. Widziałem, co potrafisz.
- Nie rób mi tego.
- Czego?
- Nie pokładaj we mnie wiary. Nie potrzebuję teraz takiej presji. Po prostu sobie z nią nie poradzę!
- Nie chciałem...
- Nic nie mów – rzucam i wychodzę do łazienki. Siedzę tam do czasu, aż OC schodzi po schodach

i opuszcza dom Donny.

*Wyrzucam muchę
Która rozbiła się
O okienną szybę*

Ty składa samotną wizytę w mojej sypialni i mówi:

– Przyniosłem ci to. – Stawia na komodzie przezroczysty wazon z pojedynczą różą i gipsówką, po czym dodaje: – Jak się czujesz?

– Do bani – mówię spod kołdry. Nawet nie siadam.

– Wiele o tobie myślałem, Amber.

Ja w ciągu kilku ostatnich tygodni ani razu nie pomyślałam o nim, więc milczę.

– Nie wiem, co powiedzieć o tym, co się stało – mówi dalej Ty – i mam wrażenie, że ty też nie chcesz o tym rozmawiać, więc będę mówić na inne tematy, dobrze?

Nie podnoszę głowy z poduszki i po prostu spoglądam na Tya, który opiera pośladki o moją nową komodę.

Przełyka ślinę i mówi:

– W przyszłym tygodniu odbywa się regionalny etap konkursu marketingowego.

– Wiem.

– Ostro trenowaliśmy. Cała drużyna. Nie wiem, czy Ricky ci mówił, ale Franks co rano każe nam debatować i ćwiczyć nasze przemówienia zamiast grać w Halo 3. Debatujemy też podczas przerwy obiadowej. Aż do zawodów mamy szlaban na gry. Wszyscy się denerwujemy i ekscytujemy. Wydaje nam się, że w tym roku bez problemu zdołamy zająć wysokie miejsce.

– Powodzenia.

– Naprawdę nie zamierzasz wziąć udziału w konkursie?

– Nie.

– Gdybyś startowała, z pewnością zajęłabyś pierwsze miejsce. Wszystkim nam poszłoby lepiej, gdybyś...

– Nie startuję, więc nie zajmę żadnego miejsca. A Piątka będzie musiała zostać Czwórką, bo ja się wypisuję.

Ty dziwnie się uśmiecha, po czym mówi:

– Wygram dla ciebie etap regionalny. Podaruję ci nawet czerwoną wstążkę. Zrobię to dla ciebie. Potem cała Piątka pojedzie na konkurs krajowy. Pojechałabyś z nami do Vegas, gdybym wygrał?

– Nie.

– Tęsknimy za tobą. Wszyscy. Cała nasza paczka.

– Przykro mi, że morderstwo mojej mamy to dla was taka niedogodność.

Oczy Tya się zwężają, jak gdybym uderzyła go w brzuch.

– Dlaczego jesteś taka?

– Jaka?

– Taka wredna.

– Bo jestem zołą. Prawdziwą suką.

– Nieprawda. Jesteś najfajniejszą dziewczyną, jaką znam. Zawsze cię podziwiałem, Amber. I choć nigdy ci tego nie powiedziałem...

– Po prostu wyjdź.

Ty patrzy na mnie przez chwilę, po czym mówi:

– Może kiedyś nasza Piątka mogłaby się wybrać na lody do Friendly's? Jeśli nie chcesz, żeby ktokolwiek zobaczył cię poza domem, moglibyśmy pojechać do tego w Hampton. Wtedy nikt się nie dowie. Któregoś wieczoru mogłabyś się wymknąć. W zeszłym tygodniu odebrałem prawko. Były moje urodziny, pamiętasz? Wysłałem ci zaproszenie na imprezę. Dostałaś je? Ricky przyszedł.

Pamiętam, że je wyrzuciłam, ale o tym nie wspominam.

– Nie wiem, czy Ricky ci mówił, że tata kupił mi stare volvo kombi. Wożę Ricky'ego do szkoły i w ogóle. Teraz samochód stoi przed domem. Może któregoś dnia mógłbym cię gdzieś zabrać?

– Nie.

– Nie?

– Nie ma mowy – mówię, podchodzę do biurka i udaję, że odrabiam lekcje.

Ty jeszcze przez kilka minut stoi w pokoju, po czym wychodzi.

Mniej więcej tydzień po samotnych odwiedzinach Tya otrzymuję kopertę ze wstążką oznaczającą drugie miejsce w konkursie marketingowym. W kopercie znajduję liścik:

AA,

próbowałem dla Ciebie wygrać, naprawdę. Franks powiedział, że sędziowie odebrali mi to, na co zasługiwałem. Propozycja wypadu do Friendly's wciąż aktualna.

Ty

PS Bez Ciebie na zawodach nie było aż tak fajnie. Wszyscy tak uważają. Nawet Franks. Nie wiem, czy Ricky Ci mówił, ale nikt nie dostał się do etapu krajowego.

– Amber?

– Tak, Ojciec Chee?

– Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że obciążyłem cię niepotrzebną presją. Za to, że włożyłem ci na ramiona krzyż, mimo że już cierpisz. Postąpiłem źle. Samolubnie.

Milczę.

– Jeśli nie poprosisz, żebym przychodził, nie będę cię już odwiedzał codziennie. Co więcej, jeśli o to nie poprosisz, nigdy już nie przyjdę. Chociaż chciałbym ci pomóc, przychodzę tu także po to, by wierzyć, że jesteś tym, kogo potrzebuję. W ten sposób próbuję umocnić swoją wiarę. To nieuczciwe w stosunku do ciebie. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałaś prawdę. Więc ostatni raz przychodzę do ciebie bez zaproszenia. Chrystusowe Diwy z Korei bardzo za tobą tęsknią i marzą o tym, by znów z tobą zaśpiewać, ale poradzą sobie, jeśli postanowisz do nas nie wracać. To twoje życie i powinnaś żyć tak, jak ci się podoba. Powinnaś podejmować decyzje, które uważasz za najlepsze. Pomodłę się za to, żebyś była tym, kim masz być. Zawsze. Z czysto egoistycznych pobudek mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy. Ale jeśli do tego nie dojdzie, Ojciec Chee także sobie poradzi, więc się o niego nie martw. Do widzenia.

Kiedy Ojciec Chee odwraca się, żeby odejść, chcę go przytulić i poprosić, żeby został, poprosić, żeby wciąż codziennie mnie odwiedzał, ale z jakiegoś powodu nic nie mówię.

Następnego dnia OC nie przychodzi, a ja jestem zaskoczona, zła i smutna.

*Kwiaty tkwią w ziemi
W której nie dostrzegamy
Przyszłego cudu*

Mija Wielkanoc. Nie idę do kościoła. Nie świętuję zmartwychwstania.

*Słońce wpada przez
Okno, dywan jest ciepły
Można stać bosó*

Po raz pierwszy od kilku tygodni odwiedzają mnie Jared i Chad-w-plecaku.

– Wiem, że mieliśmy nie przychodzić – mówi Jared.

– Ale i tak przyszliśmy – wyjaśnia Chad.

– Czy Ty naprawdę odwiedził cię sam? – pyta Jared.

– Tak – odpowiadam.

– Zapuszcza brodę – mówi Chad.

– Co? – pytam.

– Ty mówi, że nie ogoli się, dopóki nie wyjdiesz z pokoju i nie zgodzisz się pojechać z nami do Friendly's – wyjaśnia Chad.

– Nazywa ją brodą przyjaźni – dodaje Jared. – Mówi, że w ten sposób wspiera ponowne zjednoczenie się Piątki.

– W kilka dni urosła mu prawdziwa broda! – oznajmia Chad. – Zaczyna wyglądać jak bin Laden.

– Co? Dlaczego? – pytam.

– Dlatego że jego broda robi się długa i jest ostrzyżona w szpic – wyjaśnia Chad. – Nie dlatego że chce się upodobnić do terrorysty. Ty to patriota. W jego żyłach płyną barwy narodowe.

– Nie. Pytam, dlaczego zapuszcza brodę. Poważnie.

– W ten sposób manifestuje swoje wsparcie dla ciebie – tłumaczy Jared. – Już ci mówiłem. To broda przyjaźni.

– Ale ja jej nie widzę, bo siedzę w swoim pokoju, więc po co ją zapuszcza?

– Wysłał nas tu dzisiaj, żebyśmy ci o tym powiedzieli – wyjaśnia Chad. – Pokaż jej, bracie.

Jared otwiera kłapkę telefonu, wciska kilka guzików i nagle z kwadratowego ekraniku spogląda na mnie uśmiechnięty brodaty Ty. Jego broda rzeczywiście jest spiczasta, ale chłopak w niczym nie przypomina bin Ladena.

– Poza tym i tak chcieliśmy cię zobaczyć – oznajmia Jared – bo bardzo za tobą tęsknimy i źle nam z tym, że nie wzięłaś udziału w regionalnym konkursie marketingowym i że nie chcesz już należeć do Piątki. Ale Ty naprawdę się o ciebie martwi. Jest bardzo przygnębiony. Co mamy mu powiedzieć?

– Powiedzieć? – powtarzam.

– Jaka jest twoja odpowiedź? – dodaje Chad.

– Nie wiem – mówię.

– Może wybierzesz się z nami do Friendly's? – pyta Chad.

– Teraz nigdzie się nie wybieram – odpowiadam.

– Ale w przyszłości może poszłabyś z nami do Friendly's? – nie odpuszcza Jared.

Wzdycham. To naprawdę idiotyczne.

– Dobra – rzuca Chad. – Uznajemy, że powiedziałaś „może”, i idziemy, zanim zdążysz zmienić zdanie.

Kiedy wychodzą, wzdycham i kręcę głową. Słyszę, że Donna pyta Chada i Jareda o to, jak poszło, a oni odpowiadają: „Całkiem nieźle”, po czym wychodzą frontowymi drzwiami.

*Oddech wpada do
Nosa, płuc, serca, mózgu...
Dzięki niemu trwam*

– Zauważyłaś jakąś zmianę? – pyta mnie Donna. Siedzi na brzegu mojego łóżka i delikatnie masuje mi plecy. Ostatnio często to robi. Wieczorami zaczęła też szczotkować mi włosy.

Nie komentuję tego, bo w głębi duszy lubię, kiedy masuje mi plecy i mnie czesze, jak gdybym znów była małą dziewczynką, a ona moją mamą.

Donna nie jest moją mamą – moja mama nie żyje – ale i tak jest mi przyjemnie.

Nie odpowiadam na jej pytanie, bo wciąż zachowuję się jak żoźła.

– Kiedy ostatni raz widziałaś Boba? – pyta po mniej więcej piętnastu minutach masowania mi pleców.

Zamyślam się i nagle serce zaczyna mi walić jak szalone.

Minęły dni, może nawet tygodnie. Nie, to niemożliwe. Kiedy ostatni raz widziałam B3? Od dawna nawet o nim nie myślałam.

Jestem najgorszą panią, jaką może mieć pies. Siadam na łóżku.

– Bob?! – krzyczę.

– Cśś – ucisza mnie Donna. – Śpi na dole.

– Coś mu jest?

– Ostatnio zachowuje się trochę dziwnie – przyznaje Donna – więc powiem wprost, Amber. Dziś zadzwoniłam do weterynarza.

– Dlaczego?

– Bob ciągle ma biegunkę. Nie je regularnie. Jest ospały. Wygląda dość mizernie. A dziś, kiedy zabrałam go na spacer... przewrócił się.

– Co?

– Po chwili doszedł do siebie. Teraz jest w porządku. Ale za kilka minut zabieram go do weterynarza i chciałam wiedzieć, czy pojedziesz ze mną.

Zbiegam na dół i znajduję B3 w jego pokoju, na posłaniu.

Ma mętny wzrok.

Kiedy wchodzę, nie podnosi nawet głowy.

Biorę go na ręce i całuję.

– Przepraszam, B3. Tak bardzo cię przepraszam. Zaniedbałam cię. Ale teraz jestem już przy tobie.

Ma smutne oczy – wydaje się pokonany.

Nienawidzę siebie za to, że go zaniedbałam, że nie zauważyłam jego cierpienia – jestem straszną żoźlą, beznadziejną właścicielką.

W końcu opuszczam dom.

Donna zawozi B3 i mnie do weterynarza. Ricky zostaje w domu i rozwiązuje zadania matematyczne.

– Myślisz, że Bob może umrzeć? – pytam Donny w jej mercedesie. B3 leży zwinięty w kłębek na moich kolanach.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

– Myślisz, że to coś poważnego?

– To dość młody pies, a w dzisiejszych czasach weterynaria stoi na wysokim poziomie. Zabieramy go do najlepszego weterynarza w obrębie trzech stanów, doktora Weissmullera z kliniki Zwierzaki Weissmullera w Childress.

– Trafisz pod najlepszą opiekę, Bob. Słyszysz? Zajmie się tobą najlepszy lekarz.

Kiedy docieramy do kliniki Zwierzaki Weissmullera, wnoszę B3 do poczekalni, a kobieta w czarnym uniformie pyta, czy to nasza kolejna wizyta. Po tym, jak zaprzeczamy, prosi o kartę zdrowia B3 lub inne dokumenty z informacjami, że pies otrzymał wszystkie szczepienia.

– Gdzie go zabierałaś, zanim zamieszkałaś z nami? – pyta mnie Donna.

– Nigdzie. Nigdy wcześniej nie był chory – odpowiadam.

– Więc nigdy wcześniej nie byłaś ze swoim psem u weterynarza? – odzywa się recepcjonistka nieprzyjemnym tonem, przekrzywiając głowę na bok i przytykając długopis do mięsistych, intensywnie czerwonych warg o idealnym wykroju.

– Znalazłam go w pudełku po butach, kiedy mieszkałam w szkolnym autobusie. Byłyśmy tak biedne, że nie mogłyśmy sobie nawet pozwolić na jedzenie. Kilka miesięcy temu moją mamę zamordował psychopata, więc naprawdę nie musi pani do mnie mówić tym tonem.

– O Boże! Nazywasz się Amber Appleton, prawda? – mówi kobieta miłym głosem. – Bardzo przepraszam. W dokumentach widnieje nazwisko Roberts. Nie wiedziałam. Zaraz zawołam pana doktora. Proszę mi dać dziesięć sekund.

Znika w sąsiednim pomieszczeniu.

Zauważam, że pozostałe osoby czekające na wizytę ze swoimi zwierzakami się na mnie gapią. To zwyczajni, zmęczeni pracą ludzie. Owczarek collie obszczekuje B3, pudel chowa się pod krzesłem, a zakatarzony dzieciak trzyma w objęciach złośliwie wyglądającą fretkę o różowych oczach.

– Panno Appleton?

Kiedy się odwracam, napotykam uśmiech mężczyzny w brzoskwiniowym kitlu.

– Zapraszam tędy – mówi.

W pomieszczeniu, którego ściany pokryte są zdjęciami psów, stawiam B3 na metalowym stole do badań. Psiak kładzie się na boku i wolno oddycha.

– Co ci jest, przyjacielu? – pyta Boba doktor Weissmuller, potrząsając jego łapą w sposób, w jaki witają się mężczyźni w garniturach.

– Bob jest ostatnio zmęczony – wyjaśnia Donna. – Nie je zbyt dużo, wczoraj wymiotował, ma biegunkę, a dziś na spacerze się przewrócił.

Doktor Weissmuller bada brzuch B3.

– Wyczuwa pan coś? – pytam.

– Ma nabrzmiąły brzuch.

– To coś złego?

– Jeszcze nie wiem – mówi, po czym wyjmując z szuflady długą igłę. – Wbiję tę igłę w miejsce, w którym może się znajdować guz, i jeśli wypłynie krew, będziemy mogli powiedzieć więcej.

Doktor Weissmuller wkłupa się w brzuch B3. Wypływa krew, ale Bob nawet się nie porusza ani nie piszczy.

– Widzą panie krew? – pyta weterynarz. Donna i ja kiwamy głowami. – Powinniśmy wykonać USG, żeby sprawdzić, czy guz jest na śledzionie, czy na wątrobie.

– Czym to się różni? – pytam.

– Jeśli guz umiejscowiony jest na wątrobie, nie będę w stanie uratować waszego psa. Jeśli na śledzionie, możemy operować.

– Ile kosztuje USG? – pyta Donna.

– Siedemdziesiąt pięć dolarów.

Donna kiwa głową i mówi:

– Proszę je wykonać.

Doktor Weissmuller delikatnie bierze B3 na ręce i zanosí mojego pieska do innego pomieszczenia, zostawiając Donnę i mnie sam na sam.

– Nie mam kasy, żeby za to zapłacić – oznajmiam. – W styczniu przepuściłam wszystkie pieniądze zarobione U Rity.

– Niczym się nie zajmuj.

– Mogę pożyczyć pieniądze od ciebie?

– Nie martw się, Amber, ja zapłacę.

– A co z operacją?

– Jeśli B3 będzie potrzebował operacji, myślę, że będzie mnie na nią stać – odpowiada Donna.

Potrząsam głową i zaplatam ręce. Wiem, że i tak ciągle wyciągam od Donny kasę, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, wzięcie odpowiedzialności za B3 jest dla mnie czymś symbolicznym – to jedna z niewielu spraw, które mogę kontrolować, więc odpowiadam po prostu:

– Nie.

– Nie?

– Opieka nad Bobem to mój obowiązek. Zapłacę za operację, jeśli będzie jej potrzebował – mówię.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem.

– Amber, powinnaś się teraz skupić na tym, żeby wrócić do zdrowia i...

– Przestań – przerywam jej, po czym czekamy w milczeniu.

Po dłuższej chwili doktor Weissmuller wraca i delikatnie kładzie B3 na metalowym stole.

– To nowotwór śledziony.

– Więc co teraz? – pyta Donna.

– Guz krwawi do jamy brzusznej. Usunę śledzionę i zrobimy biopsję. Wyniki otrzymuję zazwyczaj po niecałym tygodniu. Jeśli guz jest łagodny, wasz pies będzie żył.

– Nie zniosę dwóch śmierci w rok – mówię do Donny przez łzy.

Doktor Weissmuller informuje:

– Sugeruję operację. Powtarzam: usunę śledzionę i jeśli guz okaże się łagodny, pies przeżyje.

– Co się może stać, jeśli guz okaże się łagodny, a my nic nie zrobimy? – pyta Donna.

– Wasz pies wykrwawi się na śmierć. Do wewnątrz.

– Ile kosztuje operacja? – pytam.

– Jeśli wynikną komplikacje, pies może potrzebować transfuzji. Uwzględniając to wszystko, koszt operacji powinien wynieść około dwóch tysięcy dolarów. Czy zostawić panie same, żebyście mogły to przedyskutować?

Donna kiwa głową, a doktor Weissmuller wychodzi.

– Pożyczysz mi pieniądze? – pytam Donny.

– Amber, za wszystko zapłacę.

– Nie. Potrzebuję tylko pożyczki. Sama się tym zajmę.

Widzę, że Donna chce mi pomóc. W jej oczach dostrzegam dobroć, a na twarzy współczucie, jednak nie rozumiem, że jałmużna jest dla staruszków i kalek.

Zanurzam twarz w sierści B3.

– Doktor Weissmuller sprawi, że poczujesz się lepiej, a wtedy mnie też będzie lepiej. Jak tylko wydobrejesz, zabiorę cię do Miss Jenny. Bob, jeśli przeżyjesz, będę dla ciebie lepszą panią. Obiecuję.

Szlocham jak dziewczyna i przytulam B3 do policzka.

– Doktorze Weissmuller?! – woła Donna.

Mimo że Donna protestuje, podpisuję wszystkie dokumenty. Zobowiązuję się zapłacić za operację w ratach rozłożonych na kilka kolejnych lat. Donna poświadcza moje zobowiązanie, po czym wychodzimy.

W drodze do domu, mówię nagle:

– Podrzucisz mnie do Szeregowca Jacksona?

– Po co? – pyta.

– Muszę się z nim zobaczyć.

– Czy to oznacza, że oficjalnie opuściłaś swój pokój? – pyta zaskoczona, a może nawet pełna nadziei.

– Coś w tym stylu – odpowiadam.

– Dobrze – rzuca.

Mówię jej, jak ma jechać, i docieramy do domu SJ. Wsiadam, a Donna pyta, o której mnie odebrać. Odpowiadam, że wrócę piechotą.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz, Amber? – pyta.

– Tak. Muszę tylko spędzić trochę czasu z SJ. Wszystko w porządku. Naprawdę.

– No dobrze – mówi. – Ale jeśli będziesz chciała, żebym cię odebrała, zadzwoń, okej?

Kiwam głową i ruszam w stronę domu Szeregowca Jacksona.

Jest ciemno, więc Miss Jenny na pewno zaliczyła już swój jogging. Wiem też, że SJ jest w domu, i pukam do frontowych drzwi. Kiedy otwiera, nie wspomina ani o mojej mamie, ani o mnie, ani o tym, dlaczego od kilku miesięcy go nie odwiedziłam – nie pyta nawet, czy podobały mi się haiku, które codziennie mi przysyłał. Mówi tylko:

– Wejdz, proszę. Wstawię wodę na herbatę.

Kiedy wchodzę do jego domu, widzę jasną plamę na ostatniej ścianie jego salonu – to dziura, której nie pokryłam jeszcze psimi haiku. Bardzo mnie to przygnębia.

Siadam na kanapie, a Szeregowiec Jackson parzy herbatę.

Miss Jenny przybiega w poszukiwaniu Boba, a kiedy go nie znajduje, wskakuje na kanapę i wtyka mi głowę pod dłoń, żebym ją pogłaskała.

Płaczę tak mocno, że upuszczam filiżankę, a Miss Jenny zeskakuje z kanapy i chowa się pod stolikiem.

Nie mogę przestać płakać. Nie mogę przestać się trząść. Cieknie mi z nosa, a ślina skapuje na brodę. Wszystko ze mnie wyłazi. Wszystko. To, że mój tata nas opuścił. To, że byliśmy bezdomni. I że zamordowano moją mamę. Że B3 ma nowotwór. Nie jestem jeszcze nawet dorosła. To niesprawiedliwe. To naprawdę niesprawiedliwe. Zaciskam powieki i próbuję powstrzymać łzy. Zaczynam strasznie kasłać. Czuję, że zaraz umrę. Nagle obok mnie siada Szeregowiec Jackson. Pierwszy raz znajduje się tak blisko. Rzucam mu się w ramiona. Waha się, ale po chwili mnie obejmuje. Chowam głowę w jego żółtej koszuli, a on mnie przytula. Po kilku minutach przestaję kasłać, ale nie mogę powstrzymać płaczu. Jego żółta koszula jest mokra od moich gorących łez. Przez długi czas siedzimy spleceni na kanapie – jak ojciec z córką.

Kiedy w końcu go puszczam, Szeregowiec Jackson szybko się odwraca i mówi:

– Przyniosę więcej herbaty.

Zanim wychodzi z pokoju, na jego twarzy dostrzegam łzy.

Przez długi czas nie opuszcza kuchni – dłuższy niż wymaga tego zaparzenie zielonej herbaty.

Wraca i podaje mi nową filiżankę parującego naparu. Kiedy piję, mówi:

– W kuchni napisałem kolejne haiku.

W dłoni trzyma kawałek papieru, więc pytam:

– Mogę przeczytać?

Podaje mi kartkę.

Słońce zachodzi

Za sosny, mrużę oczy

I się uśmiecham

– Dobrze – oznajmiam – ale nie oddaje ducha chwili.

– Może czasem, w wyjątkowych sytuacjach, lepiej jest uchwycić inną chwilę, jeśli obecna nie jest dla ciebie tą właściwą. Czasem miło jest myśleć o tym, że przed nami jeszcze wiele chwil. Zawsze. Takich jak te, kiedy mnie odwiedzasz.

– To prawda – mówię, po czym piję herbatę. Uświadamiam sobie, że to, co powiedział SJ, jest dla

niego rewolucyjne, więc nie drażę tematu. Po prostu cieszę się chwilą, tym że zrzuciłam z siebie tyle emocjonalnego ciężaru, a ten moment przechodzi w następny.

Cisza.

Przez godzinę sączymy herbatę, nie wypowiadając ani jednego słowa. Zajmujemy po prostu tę samą przestrzeń.

Kiedy kończę, wstaję i mówię:

– Dobry z pana człowiek, SJ.

– Umyję teraz filiżanki – oznajmia.

– W tygodniu przyprowadzę Boba w odwiedziny do Miss Jenny, dobrze?

– Miss Jenny nie może się doczekać – odpowiada, po czym zanosi nasze filiżanki do kuchni.

Wychodzę z domu Szeregowca Jacksona i idę poprzez mrok, odnajdując drogę uliczkami Childress do domu Donny – myślę o tym, że doktor Weissmuller rozetnie Boba i usunie mu śledzionę – i nawet nie zauważam, kiedy znów zaczynam się modlić, prosząc JC, żeby był przy doktorze Weissmullerze i żeby pomógł mu być tym, kim ma być, tak by B3 wyzdrowiał. Potem obiecuję JC, że jeśli oszczędzi mojego psa, znów spróbuję stać się tą pełną nadziei Amber – mimo tego, co przydarzyło się mojej mamie. Moim zdaniem składam mu bardzo atrakcyjną ofertę.

Wciąż jestem trochę zła na JC, ale tęskniłam za Nim. Bez kitu. Czuję potrzebę, żeby się modlić. Dzięki modlitwie nie wpadam w szaleństwo. Może to moje ulubione zajęcie?

Kiedy docieram do domu Donny, zastaję Ricky'ego przy kuchennym stole, gdzie je krakersy Ritz z masłem orzechowym.

– Przepraszam, Ricky – mówię.

– Ricky Roberts ma zostawić Amber Appleton w spokoju, bo jej mama została zamordowana, a to niesprawiedliwe, więc Amber jest na wszystkich zła, ale w przyszłości uda jej się z tego wyrwać. Tak. W przyszłości.

Pstrykam dwoma palcami i całuję Ricky'ego w policzek.

– Amber Appleton pocałowała Ricky'ego Roberta! Tak.

– Przepraszam, że byłam dla ciebie niedobra, Ricky – mówię i zauważam, że Donna stoi w drzwiach, obserwując scenę przeprosin.

Podchodzę do niej i mówię:

– Jutro idę do szkoły. – Przytulam ją z całych sił i wracam do pokoju. Gapię się w sufit i zastanawiam się, jak zapłacić za operację B3.

Część czwarta
Nie jesteśmy sami

Ani na chwilę nie udaje mi się zasnąć. Około wpół do szóstej wstaję i robię omlety.

Jajka, mleko, papryki, pieczarki, tequila – mieszam to wszystko w srebrnej misce. Wylewam omletową maź na patelnię.

Skwierczenie.

Skwierczenie.

Skwierczenie.

Zaginam: z O robię D.

Przewracam, przewracam, przewracam.

Talerze w piekarniku.

Pomarańcze przepołowione.

Wyciskarka włączona.

Kawa nastawiona.

Gazeta przygotowana dla Donny.

Stół nakryty.

– Dzień dobry, Amber – mówi Donna z szerokim uśmiechem.

– Mam nadzieję, że taki będzie – odpowiadam, po czym podaję jej omlet.

– Amber Appleton robi omlety dla Ricky’ego Robertsa, tak! We wtorki są omlety. Tak.

– Dziś wtorek? – pytam, a podając talerz Ricky’emu, zauważam, że ma na sobie wtorkową koszulkę Chase’a Utleya. – Straciłam poczucie czasu.

– Wtorek, przez cały dzień – oznajmia Donna zza dodatku biznesowego.

Jemy omlety.

– Myślisz, że Bob dobrze się czuje? – pytam.

– Jestem pewna, że tak. Odbierzemy go, kiedy tylko wrócę z pracy – odpowiada. – W porządku?

– Tak.

Kiedy kończymy jeść, sprzątam ze stołu, a Ricky rozwiązuje zadania matematyczne. Wstawiam wszystko do zmywarki, idę pod prysznic, nakładam makijaż i kompletuję zabójczy zestaw z ubrań, które od dwóch miesięcy kupuje dla mnie Donna. Wybieram markowe dzinsy, w których mój tyłek prezentuje się naprawdę nieźle, i megastyłowy fioletowy sweter z dekoltem w serek – wyglądam w nim tak, jakbym wybierała się na kort tenisowy.

Kiedy schodzę, Donna mówi:

– Wyglądasz świetnie. Ale czy na pewno jesteś gotowa, żeby wrócić do szkoły? Nie chcę, żebyś czuła presję.

– Jestem gotowa – odpowiadam. – Muszę urzeczywistnić swój plan.

– Jaki plan?

– Plan zorganizowania rewii *Uratujmy Boba* – oznajmiam.

– A co to takiego? – dopytuje Donna.

Przerywa nam klakson samochodu Tya, który stoi pod domem.

– Muszę jechać do szkoły z Tyem Hendriksem! – rzuca Ricky i wypada z domu z plecakiem w dłoni.

– Weź to – mówi Donna i wręcza mi dwadzieścia dolarów.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy – odpowiadam, wkładając plecak.

– Musisz zjeść obiad, Amber. Proszę.

Biorę banknot, chowam go do przedniej kieszeni spodni, po czym całuję Donnę w policzek.

– Dobra z ciebie kobieta – mówię i wychodzę.

Ty szykuje się już do odjazdu, kiedy krzyczę:

– Czekaście!

Kiedy widzi, jak biegnę w stronę jego volvo, uśmiecha się z zaskoczeniem.

Na widok jego brody jestem w szoku. Ma już około ośmiu centymetrów. Ty wyglądasz jak Gandalf.

– Idziesz dziś do szkoły? – pyta, kiedy ładuję się na tylne siedzenie.

– Tak – odpowiadam.

– Super – mówi, po czym pogłośnia radio i rusza.

Leci piosenka P!nk *God Is a DJ*. Ty wie, że naprawdę lubię ten kawałek, więc zaczynam śpiewać, wykrzykując przekleństwa, które wypikują w radiu. Ricky liczy na głoś – co on właściwie liczy? Brodaty Ty wciąż spogląda w lusterko, patrząc, jak śpiewam. Robi to tak często, że grozi nam wypadek, ale ja tylko się uśmiecham i śpiewam głośniej.

P!nk wymiata. Koniec kropka. To moja kolejna bohaterka. Nie potrzebuje faceta, który by się nią opiekował – nic z tych rzeczy.

Parkujemy dwie przecznice od szkoły.

– Będę grać w Halo 3 z panem Jonathanem Franksem! – obwieszcza Ricky, a my idziemy za nim do Jaskini Franksa.

– Cieszę się, że wróciłaś do szkoły – mówi Ty.

– Czy teraz się ogolisz? – pytam.

– Dopiero kiedy zgodzisz się pójść z nami do Friendly's.

– Dlaczego?

– Bo taką złożyłem przysięgę – odpowiada Ty. – Uszanuj świętość brody przyjaźni.

Pukamy do zewnętrznych drzwi Franksa. Kiedy Jared otwiera je kopnięciem, widzę około dziesięciu chłopaków grających w Halo 3. Są między nimi Chad, Jared, Lex Pinkston, kilku napakowanych członków drużyny futbolowej, parę koleś, których nie znam, no i Franks.

– Amber? – rzuca Franks, a pozostali odwracają się i spoglądają na mnie.

Gra w Halo 3 się urywa.

– Wróciłam – mówię.

– Witaj – odpowiada Franks, po czym podchodzi, żeby uścisnąć mi dłoń, jak gdybym była prezydentem czy kimś takim. Wszyscy wydają się naprawdę podenerwowani. W pomieszczeniu czuć napięcie. Nikt nie wie, co powiedzieć, bo moja mama została zamordowana.

Wszyscy na mnie patrzą.

– Posłuchajcie – mówię. – Pewnie świrujecie przez to, co stało się z moją mamą, ale to nie jest zaraźliwe.

Nikt się nie śmieje z mojego żartu. Otaczają mnie twarze pozbawione wyrazu.

– Nie chcę gadać o mojej mamie. Okej?

– Okej – odpowiada Chad ze swojego Das Boota.

Pozostali wyglądają tak, jakby myśleli, że mam dżumę.

– Jest jeszcze coś. Mój pies prawdopodobnie ma raka. Bez kitu. Wczoraj musiał mieć operację, na którą mnie nie stać. Oczywiście wiem, że pies to nie człowiek i tak dalej, ale obiecałam, że zapłacę za

zabieg, a jestem splukana. Muszę więc zebrać jakieś dwa czy trzy tysiące dolarów. Nie wiem nawet, czy B3 przeżył, dowiem się tego dzisiaj, ale i tak muszę zapłacić. Myślę, że przeżył, bo to wojownik.

– Bob ma raka? – powtarza Jared i wydaje się naprawdę przejęty.

– Cholera – rzuca Chad.

– Strasznie mi przykro – dodaje Ty.

– Pomyślałam, że można by było urządzić rewię i sprzedawać bilety, żebym mogła zapłacić za operację mojego psa. Dyrzio Tony na stówę udostępni nam audytorium, przekonam go – mówię. – Muszę tylko zorganizować jakieś występy. Kto mi pomoże?

– Chcesz, żebyśmy występowali? – pyta Jared.

– Tak. Albo znaleźli kogoś, kto wystąpi – odpowiadam.

– Dam ci kasę – mówi Lex Pinkston. – Mam trochę oszczędności w banku. Są twoje.

– Nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek dawał mi kasę. Chcę ją zebrać. Nie potrzebuję jałmużny.

– Co to jest rewia? – pyta jeden z futbolistów.

– Jak przekonamy ludzi, żeby wystąpili?

Wszyscy zaczynają mówić naraz i wydają się kompletnie zdezorientowani. Nagle Franks głośno oznajmia:

– Wchodzę w to!

Wszyscy cichną.

Chłopcy spoglądają na Franksa, a on z przekonaniem kiwa głową.

– Super – mówię.

– Ja też – dodaje Ty.

– No raczej – rzuca Chad.

– Czemu nie? – dołącza się Jared.

– Ricky Roberts w to wchodzi. Tak!

Pozostali chłopcy także zgadzają się pomóc.

– Najpierw trzeba wyłączyć te xboksy, bo cała sprawa wymaga porządnego zaplanowania – mówię.

Lex wyłącza wszystkie urządzenia.

– Franks, jesteś nauczycielem marketingu. Jak zebrać taką kasę? – pytam.

– Cóż, musimy rozreklamować wydarzenie w mieście i zaangażować w naszą rewię jak najwięcej osób. Kluczem jest tu partycypacja. Ludzie ulegną ze względu na okoliczności. Lubią psy. Twoja historia wzbudza współczucie. Jednak im więcej osób weźmie udział w rewii, tym więcej rodziców i członków społeczności kupi bilety i ofiaruje datki. Trzymam w samochodzie specjalną czerwoną teczkę, w której mam mnóstwo pomysłów na reklamę. Jest podpisana: „Pomysły na reklamę”. Amber, czy mogłabyś mi ją przynieść? – pyta Franks i podaje mi kluczyki.

– Jasne – odpowiadam.

Wychodzę z pomieszczenia i idę na parking. Odszukuję starego, zardzewiałego jeepa Franksa ze sztywnym dachem, jednak na przednim siedzeniu nie ma żadnej czerwonej teczki. Nie ma tu teczki w żadnym kolorze – ani na siedzeniu, ani pod nim. Dla pewności zaglądam do schowka i bagażnika, ale teczki nie ma i koniec, więc wracam do klasy Franksa i czuję się dość wkurzona, bo chcę, żeby mój plan już ruszył.

Franks i chłopcy są rozemocjonowani.

Lex informuje mnie, że drużyna futbolowa zorganizuje tajemniczy występ.

– Co zrobicie? – pytam.

– Zobaczysz.

– Ja też coś dla ciebie zaplanowałem – oznajmia Chad z Das Boota.

– Ja będę rozwiązywać zadania matematyczne na scenie! – mówi Ricky.

– Ja zajmę się oświetleniem i organizacją sceny – dodaje Ty, który kieruje szkolną ekipą scenograficzną.

– Jared wystąpi ze mną – ogłasza Chad.

– Że niby co? – rzuca Jared.

– Nie bądź cieniem – mówi Chad do brata. – Może potem uda nam się zaprosić jakieś laski na bal.

Dziewczynom spodoba się nasz występ.

– Hmm... – Jared się zamyśla. – Ja nie... Zajmę się raczej finansami i wpływami z rewii.

– I dołączysz do naszego występu na scenie, bo jesteś jednym z braci Fox, a nie jakąś dupą wołową – dość agresywnie oznajmia Chad ze swojego pojazdu.

Nagle odzywa się dzwonek i wszyscy się rozbiegają.

– W pana samochodzie nie ma żadnej teczki – mówię Franksowi i oddaję mu kluczyki.

– To dziwne – odpowiada i wtyka do ust kilka m&m'sów, które wyjmuję z szuflady biurka.

– Co powiedział pan chłopakom, kiedy wyszłam?

– Wymienialiśmy się pomysłami na występy. Tylko tyle.

– Więc zostanie pan opiekunem rewii *Uratujmy Boba*?

– Jasne.

– Czy dziś rano możemy nadać ogłoszenie przez głośniki?

– Pewnie – odpowiada Franks.

– Dobra. Chodźmy do Dyrcia Tony'ego.

Franks i ja kierujemy się do gabinetu dyrektora. Pani Baxter świruje na mój widok.

– Amber, chodź no tutaj! – krzyczy, po czym wybiega zza biurka, żeby zostawić na moim policzku ślad szminki i mocno mnie uściskać. – Tak bardzo ci współczuję. Bardzo się o ciebie martwiłam. Czy dostałaś kwiaty, które ci wysłałam?

– Tak, dzięki – odpowiadam, mimo że wyrzuciłam wszystkie kwiaty, nie czytając nawet bilecików. – Lubi pani rewie?

– Co takiego? – pyta.

– Amber Appleton – mówi od progu Dyrcio Tony. – Jak się miewasz?

– Spoko – odpowiadam – ale muszę zarezerwować audytorium na rewię. To musi być piątkowy wieczór, bo wtedy najwięcej osób wychodzi z domów. Muszę zebrać pieniądze na operację mojego psa.

– O czym ty mówisz, Amber?

– Mogę porozmawiać z tobą w gabinecie? – pyta Franks.

– Sam nie wiem, czy... – rzuca Dyrcio Tony, ale Franks zmusza go do przejścia do gabinetu i zamyka mi drzwi przed nosem. Jestem wściekła na Franksa za to, że przedstawia Dyrciowi Tony'emu pomysł na rewię beze mnie, więc postanawiam nadać ogłoszenie jeszcze przed pierwszą lekcją. Podchodzę do mikrofonu, którego używa Franks do porannych ogłoszeń, i pytam panią Baxter o to, jak sprawić, żeby usłyszała mnie cała szkoła.

– Wystarczy, że naciśniesz ten czerwony guzik, ale chyba nie powinnaś...

Wciskam czerwony guzik i mówię:

– Uwaga, koledzy i koleżanki z liceum w Childress. Mówi Amber Appleton, dziewczyna, której matka została zamordowana. Nie chcę z wami o tym rozmawiać, więc proszę, nie poruszajcie tego

tematu, dobrze? Chciałabym was zaprosić do wzięcia udziału w rewii *Uratujmy Boba*, której celem jest zbieranie pieniędzy na operację mojego psa. Wczoraj wieczorem trafił do weterynarza. Prawdopodobnie ma raka. Muszę zapłacić dwa lub trzy kawałki za zabieg, a jestem spłukana. Proszę więc, żebyście mi pomogli, wpisując się na listę osób występujących w rewii lub kupując bilet. Zaczniemy je sprzedawać, kiedy tylko uzgodnię szczegóły z Dyrkiem Tonym. Zgoda? Dzięki. To nara. Amber Appleton.

Kiedy kończę swoje ogłoszenie, zauważam, że Dyrzio Tony i Franks uśmiechają się do mnie z gabinetu.

– Nie gniewa się pan, że nadałam to ogłoszenie? – pytam.

– Myślę, że ta rewia to świetny pomysł. Popieram go w stu procentach – mówi DT, po czym zabiera mnie do swojego gabinetu, żeby ustalić konkretny termin. W tym czasie Franks czyta poranne ogłoszenia. Dyrzio Tony przedstawia mi wszystkie terminy, w których audytorium będzie wolne, a ja wybieram piątkowy wieczór za trzy i pół tygodnia. Dyrzio mówi, że pani Baxter zajmie się sprzedażą biletów i że powinniśmy też zbierać datki i sprzedawać miejsca reklamowe w programie rewii w całym mieście. Oznajmia, że czeki za reklamy w programie powinny być wystawiane na nasze liceum.

– Możesz poprosić pana Valerie’ego, żeby zrobił programy. Przygotowuje te dla szkolnego teatru. Dziś z nim o tym porozmawiam. Cieszę się, że znów jesteś z nami, Amber. Dobrze cię widzieć.

– Wszystko, co pan powiedział, jest spoko – mówię, po czym idę na pierwszą lekcję.

Nikt – nawet nauczyciele – przez cały dzień nie pyta mnie o mamę, ale cała masa ludzi, z których większości nawet nie znam, chce wystąpić w rewii B3. Z początku zapisuję nazwiska i pomysły w zeszycie, ale po wypełnieniu siedmiu stron zdaję sobie sprawę, że będziemy musieli zorganizować jakiś casting, i sama nie mogę uwierzyć, że mój plan wypalił.

Podczas przerwy obiadowej wraz z Rickim olewamy czas na socjalizację w stołówce i idziemy do Jaskini Franksa, gdzie dzieciaki nie grają w gry wideo, ale zastanawiają się nad technikami marketingowymi, żeby rozreklamować rewię *Uratujmy Boba*.

Na mój widok Franks mówi:

– Amber, przejdziemy się?

– Jasne. A dlaczego? – pytam. Chłopcy z Piątki patrzą na mnie jakoś dziwnie.

– Chodźmy – rzuca Franks, po czym wyprowadza mnie z budynku. Na zewnątrz panuje wiosenna, słoneczna pogoda. – Chłopcy chcieliby, żeby ich występy były dla ciebie niespodzianką – oznajmia Franks. – Chcą zorganizować rewię za ciebie i proszą, żebyś zajęła się konferansjerką.

– Co? Ale dlaczego? – pytam.

– Uważają, że to fajny pomysł.

– Więc nie chcą, żebym się w to angażowała?

– Chcemy, żebyś zyskała aprobatę ludzi i wzbudziła w nich entuzjazm. Chcemy, żebyś zajęła się konferansjerką i była gwiazdą całego przedstawienia, ale zależy nam też na tym, by same występy były dla ciebie niespodzianką.

– Nie rozumiem, dlaczego tego chcą – odpowiadam.

– Chcą ci zrobić niespodziankę.

– Jak mam prowadzić całą rewię, skoro nic nie wiem o występach?

– Przygotujemy ci karteczki z krótkimi informacjami.

– Więc mam panu zaufać? – pytam.

– Tak – odpowiada Franks. – Mnie i swoim przyjaciołom.

– Myśli pan, że uda nam się zebrać całą kwotę potrzebną na operację B3?

– Tak – oznajmia i uśmiecha się z przekonaniem. – Uda nam się, obiecuję.

Franks zawsze dotrzymuje słowa, więc zaczynam się czuć nieco lepiej – ogarniają mnie ulga i ekscytacja.

– Dobrze – mówię. – Zostawcie tylko kilka minut dla mnie, bo zaplanowałam już jeden występ. Kiedy tylko potwierdzę szczegóły, skontaktuję was z właściwymi osobami.

– W porządku – odpowiada Franks.

Idę do stołówki i kupuję jedzenie, za które płacę dwudziestką Donny.

Mnóstwo osób prosi, żebym się do nich dosiadła, co wydaje mi się dość dziwne, więc wychodzę na zewnątrz, jem w samotności i zaczynam się martwić o stan zdrowia B3.

Kończę kanapkę z indykiem, idę do automatu telefonicznego przy sali gimnastycznej, wrzucam kilka monet i wybieram numer do kliniki Zwierzaki Weissmullera.

– Zwierzaki Weissmullera. W czym mogę pomóc?

– Czy mogłabym rozmawiać z doktorem Weissmullerem? – pytam.

– Zajmuje się właśnie pacjentem. Czy mam przekazać jakąś wiadomość?

– Mówi Amber Appleton. Chciałam tylko...

– Chwileczkę, Amber, zaraz połączę cię z doktorem. Poczekaj chwilkę, dobrze?

– Dobrze.

Przez kilka chwil w słuchawce słychać pogodną muzykę, a po jakimś czasie odzywa się głos doktora Weissmullera.

– Halo?

– Mówi Amber Appleton. Chodzi o Boba. Mojego psa. Jak on się czuje?

– Operacja przebiegła pomyślnie. Wysłaliśmy guz twojego psa na biopsję. B3 dochodzi do siebie, wszystko z nim w porządku.

– Bardzo dziękuję, panie doktorze. Przyjadę później.

– Będiesz mogła zabrać Boba do domu przed siódmą.

– Dziękuję – odpowiadam i odkładam słuchawkę. Z całych sił staram się nie rozplakać jak dziewczyna, ale oczywiście ronię kilka łez.

Odmawiam modlitwę dziękczynną do JC, po czym kończę dzień w szkole – na zajęciach z umiejętności społecznych pracuję nad sukienką na bal, a na prawdziwych lekcjach pograżam się w marzeniach.

Pod koniec dnia cały korytarz obwieszony jest plakatami i broszurami.

Rewia Uratujmy Boba

Konferansjerka: Amber Appleton

Piątek 24 kwietnia, wieczorem

Nie przegapcie!

Na niektórych plakatach widnieją zdjęcia Boba, a ja się zastanawiam, jak to się stało.

Dziwne.

Brodaty Ty odwozi Ricky'ego i mnie do domu swoim volvo kombi, a po drodze pytam go, dlaczego chłopakom z Piątki zależy, by występy były dla mnie niespodzianką.

– Nie lubisz niespodzianek?

– Jasne, że lubię – odpowiadam.

- Więc?
- Ricky Roberts zagra w „Zagnij matematyka”.
- Okej, przynajmniej jeden występ już znam – mówię.

Ty spogląda na mnie w lusterku i uśmiecha się do mnie przez brodę.

Zostawiam Ricky’ego przy kuchennym stole, gdzie rozwiązuje zadania matematyczne, po czym przejeżdżam rowerem Donny przez slumsy do koreańskiego kościoła katolickiego – pierwszy raz bez B3 – przez całą drogę wołając: „Miłego dnia!”, co zawsze poprawia mi humor, bo uwielbiam, kiedy twarze przechodniów się rozjaśniają.

Kiedy docieram na miejsce, Ojciec Chee nie czeka na mnie przed kościołem, bo się mnie nie spodziewa. Nie miałam z nim kontaktu, odkąd powiedziałam, że nie mogę już być tym, kogo chciałby we mnie widzieć.

Drzwi kościoła są zamknięte, więc pukam i po kilku minutach pojawia się Ojciec Chee.

Wjeżdżam rowerem do środka, a OC zamyka za mną drzwi.

– Wyszłaś z pokoju – mówi.

– Wyszłam – oznajmiam, zeskakując z roweru Donny. – I przepraszam.

– Za co? – odpowiada OC z uśmiechem.

Mocno go przytulam.

– Dobrze, że wróciłaś – mówi OC i ojcowskim gestem klepie mnie po plecach. Kiedy zwalniamy uścisk, pyta: – Gdzie B3? – więc opowiadam mu o nowotworze mojego psiaka, o rewii *Uratujmy Boba* i o tym, że w ciągu tygodnia dowiemy się, czy B3 przeżyje. – Będę się za niego modlił – oznajmia Ojciec Chee. – Chrystusowe Diwy z Korei bardzo za tobą tęskniły. Chcesz się przywitać?

– Jasna sprawa – mówię, po czym wchodzimy do świątyni.

CDK siedzą w kręgu z angielsko-koreańskimi słownikami i wpisują koreańskie słówka do słowników, które wyglądają na nowe.

– Jezus zesłał nam największe hity Arethy Franklin – wyjaśnia Ojciec Chee i krzyczy coś po koreańsku.

Chrystusowe Diwy z Korei podnoszą wzrok, a następnie rzucają się na mnie i przytulają. Otrzymuję mnóstwo długich uścisków. Aż cud, że nie pękam!

Po angielsku mówią mi, że przykro im z powodu mojej mamy, po czym przechodzą na koreański i wypowiadają mnóstwo słów, które Ojciec Chee tłumaczy na angielski.

To, co mówią w swoim ojczystym języku, jest tak szczere i piękne, że CDK doprowadzają mnie do łez, przez co same zaczynają płakać i jeszcze mocniej mnie przytulają.

Na koniec mówię im o nowotworze Boba, a CDK znów zaczynają mnie przytulać, kręcić głowami i bardzo szybko mówić coś po koreańsku.

Opowiadam im więc o rewii *Uratujmy Boba* i pytam, czy wystąpią i zaśpiewają kilka piosenek The Supremes, żeby pomóc mi w zebraniu pieniędzy na operację B3.

CDK wbijają wzrok w podłogę.

– No co? – pytam.

Ojciec Chee mówi coś po koreańsku. Jung Mi coś mu odpowiada.

Sun mówi coś do Jung Mi. Na Jung kręci głową i wygłasza swoją opinię. Hje Min krzyczy na Na Jung. Po chwili wszystkie CDK sprzeczą się po koreańsku. Ojciec Chee oznajmia:

– Niektóre kobiety chcą wystąpić, ale inne uważają, że ich angielski nie jest jeszcze wystarczająco dobry i że przyniosą wstyd zarówno sobie, jak i tobie.

– Żartujecie? – pytam bardzo głośno. – Przecież wymiatacie.

– Dobrze nam idzie śpiewanie w chórkach – mówi Sun – ale potrzebujemy głównej wokalistki, która mówi po angielsku. Prawdziwej diwy.

– Amber to prawdziwa diwa – oznajmia Na Jung.

– Nie, nie. Ja zajmuję się konferansjerką – informuję je.

– Dlaczego z nimi nie zaśpiewasz? – pyta Ojciec Chee.

Nie chcę z nimi śpiewać. Wiem, że powinnam, bo choć nie jestem Koreanką z pochodzenia, należę do Chrystusowych Diw z Korei ze względu na koligacje, i że nie powinnam prosić ludzi o to, by zrobili coś, na co sama nie jestem gotowa. Zdaję sobie z tego sprawę, ale prawda jest taka, że nie czuję się gotowa na to, by odgrywać gwiazdę rocka przed kolegami z klasy, zwłaszcza po śmierci mamy, więc dyskusja wśród Chrystusowych Diw z Korei trwa, aż zmieniam temat i po prostu pomagam im przetłumaczyć piosenkę (*You Make Me Feel Like A Natural Woman*).

Truchtający przy moim rowerze Ojciec Chee mówi:

– Musisz zrozumieć, że jesteś jedyną białą osobą, z jaką członkinie naszego kościoła miały jakikolwiek głębszy kontakt. Przeraza je to, że miałyby przekroczyć próg anglojęzycznego liceum takiego jak twoje.

– Rozumiem to. Naprawdę.

– Ale gdybyś się zgodziła z nimi zaśpiewać, gdybyś się zgodziła, by stanęły za plecami prawdziwej diwy takiej jak ty, myślę, że wystąpiłyby w rewii.

– Nie jestem prawdziwą diwą – oznajmiam. – Jestem tylko beznadziejną nauczycielką angielskiego, która używa muzyki R&B jako metody nauczania.

– W takim razie będę się modlił, by Jezus zesłał nam prawdziwą diwę, która poprowadzi CDK. Żeby poczuły się pewnie i wystąpiły w twojej rewii – mówi Ojciec Chee, po czym nagle się zatrzymuje, więc ja też przestaję pedałowac.

Siedzę okrakiem na rowerze Donny. Patrzymy na siebie.

– Dobrze się czujesz? – pyta Ojciec Chee.

– Tak – odpowiadam.

– Na pewno?

– Nie. Ale robię postępy.

– Opuściłaś swój pokój. To dobrze.

– Bob mnie potrzebuje.

– Wiele osób cię potrzebuje, Amber.

– Nie wszystko naraz, Ojciec Chee.

– Jesteś silniejsza, niż myślisz.

– Przytulamy się? – pytam, bo nie potrafię teraz przyjąć tak wielu komplementów.

– Jasne – odpowiada i po ojcowsku mnie przytula.

– Będziesz się za mnie modlił? – pytam.

– Codziennie – odpowiada OC z uśmiechem. – Co godzinę.

Potem wracam rowerem do domu Donny. W rondlu gotuję kurczaka, wszystko ładnie kroję i przygotowuję sałatkę z kurczakiem, sosem miodowo-musztardowym i ekstra grzaneczkami.

Kiedy Donna wraca do domu, jemy.

– Jak minął pierwszy dzień w szkole? – pyta mnie Donna.

– Ricky Roberts zagra w „Zagnij matematyka” na scenie w piątek wieczorem dwudziestego czwartego kwietnia w audytorium liceum w Childress, żeby zebrać pieniądze dla Amber Appleton.

- Dla Boba – poprawiam go. – Robimy rewiew, żeby zapłacić za operację B3.
- Tak? I Dyrccio Tony się na to zgodził?
- Franks w pełni poparł nasz plan. Znasz jakąś prawdziwą diwę?
- Diwę?
- Która mogłaby zostać liderką CDK. Nie wystąpią bez amerykańskiej wokalistki, bo za bardzo się wstydzą swojej angielszczyzny, chociaż wydawało mi się, że naprawdę sporo je nauczyłam.
- A może ty zostaniesz ich liderką? – sugeruje Donna.
- Czy ty w ogóle słyszałaś, jak ja śpiewam?
- Coś się wymyśli – mówi Donna. – Rozmawiałam z doktorem Weissmullerem.
- Ja też – rzucam.
- Więc wiesz, że z B3 wszystko w porządku.
- Tak – odpowiadam. – Przynajmniej do czasu otrzymania wyników biopsji.
- Nie wszystko naraz – mówi Donna, a z brody skapuje jej miodowo-musztardowy sos.

Odbieramy B3 z kliniki – ma ogolony i pozszywany brzuszeczek, a na głowie mały abażur. Zanoszę go do samochodu Donny i jedziemy do domu.

Z początku Bob jest dość ospały i wcale nie podoba mu się to, że musi nosić abażur – wiem to, bo przez pierwsze czterdzieści osiem godzin drapie go pazurami jak szalony – więc koniec końców mu go zdejmujemy i już wkrótce B3 radośnie je i robi kupy.

Tydzień później po szkole dzwonię do doktora Weissmullera, a on oznajmia, że mój pies nie ma raka.

B3 i ja świętujemy, jadąc rowerem do Metodystycznego Domu Spokojnej Starości.

Zahaczamy o kiosk Alana, który mówi:

– Przykro mi z powodu twojej mamy. Kupiłem dwa bilety na rewię *Uratujmy Boba*.

– Od kogo? – pytam.

– Dzieciaki od tygodnia błagają, żebym kupił bilety. Było ich tu chyba ze trzysta. Oby rewia była dobra.

– Będzie gites – oznajmiam, po czym płacę za snickersa i kakao resztą pieniędzy z obiadu, które dostałam od Donny.

– Co będzie? – pyta Alan.

– Nie zawiedziesz się – mówię, choć sama nie wiem, co takiego szykuje moja paczka.

B3 i ja chowamy rower Donny za krzakiem i proponujemy Odźwiernej Lucy zwyczajną łapówkę, żeby wpuściła Boba do budynku.

– Dostałaś snickersa i kakao, które ci wysłałam? – pyta mnie OL.

– Tak, dzięki – odpowiadam.

– To, co ci się przydarzyło, jest nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

– Coś o tym wiem.

– Twoi narzeczeni wpadli tu i sprzedawali bilety na jakieś przedstawienie, które podobno organizujesz.

– Moi narzeczeni? – pytam.

– Chłopaczek na wózku. Wysoki, dziwaczny białas. Słodki czarny chłopak z brodą.

– To nie moi narzeczeni.

OL upija łyk kakao, po czym uśmiecha się do mnie jakoś dziwnie.

– To dziwne czasy, OL. Dziwne czasy.

– Co to w ogóle za przedstawienie?

– Rewia.

– Na cześć twojej zmarłej matki?

– Nie, dla Boba. Niedawno miał operację. Widzisz tę bliznę? – Pokazuję jej brzuch B3. – Kosztowało mnie to prawie trzy kawałki, więc muszę zbierać pieniądze.

– Daj znać, czy mogę ci jakoś pomóc, siostró Amber.

Kiwam głową i uśmiecham się, bo OL pierwszy raz nazwała mnie siostrą Amber, a to naprawdę fajne, po czym B3 i ja wchodzimy do domu starców – mijamy przygnębiające korytarze i zakurzone sztuczne rośliny.

Po wejściu do świetlicy nie wierzę własnym oczom. Wszyscy staruszkowie siedzą w dwóch długich rzędach.

Stary Linder wraz ze Starym Thompsonem śpiewają piosenkę. Obaj mają na sobie czerwone marynarki. Wykonują jakiś starodawny przebój o migdaleniu się i w miarę słuchania zaczyna mi się wydawać, że ta piosenka jest o seksie!

Staruszkowie uśmiechają się, śmieją i radośnie nucą wraz ze Starym Thompsonem, śpiewającym z całego serca, i Starym Linderem, powtarzającym zwrotki za pomocą melorecytacji – a ja nagle zdaję sobie sprawę, że podjął wyzwanie, które mu rzuciłam.

Stanął przed współmieszkańcami domu. Zabawia ich. Daje im coś, na co mogą czekać – coś, co rozjaśni im nudne dni i tygodnie. Zachowuje nadzieję przy życiu! B3 i ja oglądamy występ pod tylną ścianą sali i śmiejemy się za każdym razem, kiedy starsi mężczyźni przebijają pięściami powietrze i próbują poruszać stareńkimi biodrami w rytm muzyki.

Ich występ nie jest zbyt energiczny, a moi chłopcy kiepsko śpiewają. Ale obserwując to, jak dobrze bawią się staruszkowie, którzy nucą wraz ze stojącymi przed nimi mężczyznami, zdaję sobie sprawę, że to wystarczy – że mój trener daje tym starym ludziom trochę paliwa, i czuję, jak po mojej piersi rozchodzi się ciepło.

Kiedy kończą starą piosenkę o migdaleniu się, Stary Linder dostrzega mnie na tyłach świetlicy.

– Amber? – mówi.

Pięćdziesiąt siwych głów odwraca się powoli i wszyscy wpatrują się we mnie i w B3.

Podchodzę do moich dziadków i rzucam:

– Hej.

Kiedy nikt nic nie mówi, przytulam Starego Lindera.

– Przepraszam – szepczę do jego wielkiego, włochatego ucha, po czym zwracam się do zebranych: – Kto by pomyślał, że te wapniaki tak dobrze śpiewają?

Nikt się nie odzywa, a Stary Linder wydaje się podenerwowany.

– Posłuchajcie – zaczynam. – Nic mi nie jest.

– Bardzo się o ciebie martwiliśmy – mówi Stary Thompson.

– Myśleliśmy, że już nigdy do nas nie przyjdiesz – dodaje Biuściasta Bernice.

– Mam nadzieję, że ten potwór, który zamordował twoją biedną matkę, trafi na krzesło elektryczne – dodaje Agnes Zaklinaczka Roślin.

– Na pewno wszystko w porządku? – mówi Stary Linder.

– Gdzie Joan Sędziwa? – pytam.

– Miała zawał – odpowiada Stary Linder.

– Co?

– Przeżyła – wyjaśnia Stary Linder. – Leży w skrzydle szpitalnym. Podobno na zmianę traci i odzyskuje przytomność, ale kiedy się budzi, jest komunikatywna.

– W takim razie będę musiała ją odwiedzić po waszym występie – rzucam, po czym siadam. Pozwalam, by B3 zwinął się w kłębek na moich kolanach. – Chcę zobaczyć, co jeszcze przygotowaliście.

Stary Linder uśmiecha się z dumą, znów wciela się w swoją rolę i głosem radiowca sprzed lat mówi:

– Kto z was pamięta tę perełkę z tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego?

Stary Thompson i Stary Linder zaczynają pstrykać palcami i wystukiwać rytm stopami, a kiedy w końcu ruszają z kolejną piosenką, przejęci staruszkowie wtórują im, nucąc w entuzjastycznym unisonie – wszyscy potrząsają palcami, kiwają głowami do rytmu i śpiewają z głębi swoich zakurzonych serc.

Kiedy wielokrotnie powtarzają refren, domyślam się, że piosenka ma tytuł *Side by Side* i opowiada o dwojgu ludzi bez pieniędzy, którzy nie wiedzą, co ich czeka, ale przynajmniej mają kogoś, z kim mogą przejść przez życie. Starzy ludzie uwielbiają ten kiczowaty przebój i muszę powiedzieć, że kiedy słyszę, z jaką pasją go śpiewają, rodzi się we mnie coś pozytywnego. Bez kitu.

Tego popołudnia moje dziadki wzruszają ludzi.

Kiedy piosenka dobiega końca, Stary Linder mówi:

– Dziękujemy za przybycie na środowy Wieczór Dawnej Piosenki z Czerwonymi Kubrakami: Albertem Linderem i Eddiem Thompsonem. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, kiedy to zaśpiewamy więcej przebojów, które znacie i kochacie. Postarajcie się nie umrzeć w ciągu kolejnych siedmiu dni! Wierzcie nam, nie chcecie przegapić tego, co dla was przygotowaliśmy! Wspomnienia, ludzie. Wspomnienia!

Czerwone Kubraki się kłaniają, a staruszkowie przez kilka minut biją brawo, po czym wracają do niekończących się rozmów o wnukach, puzzlach, o tym, kto w zeszłym tygodniu zmarł, o pogodzie przez ostatnie osiem dekad i, oczywiście, o licznych członkach rodziny, którzy nigdy ich nie odwiedzają.

Zostawiam B3 skulonego w zwoju włóczki Dziergającej Carol i wraz ze Starym Linderem wychodzę na korytarz.

– Byliście naprawdę nieźli – mówię. – Wszyscy się wkręcili. Powaga.

– Posłuchaj, dziecko. Przez jakiś tydzień byłem na ciebie zły. Od wspinaczki po tych przeklętych schodach mogłem umrzeć, nie wspominając o tym, jak mnie potraktowałaś – oznajmia Stary Linder. W nosie ma rurki z tlenem. – Ale potem pomyślałem, że masz rację. Jeszcze nie umarłem i muszę zrobić coś, żeby utrzymać się przy życiu. Nie mogę wiecznie polegać na innych. Więc wymyśliłem wieczór piosenki z Eddiem, który, jeśli nie zauważyłaś, wspomaga mnie swoim słowicznym śpiewem. Ja jestem gwiazdorem, on ma głos. Ale przyznam ci się, że zawsze uwielbiałem śpiewać. A te podstarzałe facetki szaleją za mężczyznami, którzy śpiewają publicznie. Ostatnio nie mogę się od nich opędzić.

Mruga do mnie. Uśmiecham się do niego.

– Dobrze się czujesz, Amber?

– Mówiąc szczerze, to nie. Ale bardzo mi się podobał wasz śpiew. Przynajmniej nie siedzę już w pokoju.

– Od czegoś trzeba zacząć.

– Zawsze to jakiś postęp.

– Więc?

– Chciałabym odwiedzić Joan Sędziwą – mówię.

– Na pewno? Ja jeszcze u niej nie byłem, ale podobno jest w kiepskiej formie.

– Na pewno – odpowiadam.

Wraz ze Starym Linderem przechodzimy kilkoma przygnębiającymi korytarzami. Są wyklejone fioletowo-różową tapetą i wykładane fioletowo-różową wykładziną. W końcu docieramy do skrzydła szpitalnego, czyli kolejnego fioletowo-różowego korytarza z pokojami w szpitalnym stylu.

Kiedy z jednego z nich wychodzi pielęgniarka, Stary Linder mówi:

– Przepraszam, w którym pokoju leży Joan Osmond?

Zamiast odpowiedzieć, pielęgniarka wskazuje na drzwi w głębi korytarza, więc kierujemy się w tamtą stronę.

Joan Sędziwa wygląda jak niewielkie pasmo górskie pod błękitnym kocem – jej wklęsła, różowa, pomarszczona twarz jest zwrócona do sufitu, a drobna głowa spoczywa na poduszce.

– Czy przez kilka minut mogę z nią pobyć sama? – pytam Starego Lindera.

Mój trener odpowiada:

– Jasne. Poczekam na zewnątrz.

Wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi, po czym przysuwam krzesło do łóżka.

– Joan? – mówię.

Joan Sędziwa się nie porusza. Z trudem oddycha. Jej usta są lekko rozchylone. Sięgam pod koc i biorę ją za rękę. Jest lodowata.

– Ściśnij, jeśli mnie słyszysz – proszę. Żadnej reakcji. – Pewnie słyszałaś o tym, co się stało z moją mamą, i o mojej depresji. Przez kilka miesięcy nie wychodziłam z pokoju i traktowałam wszystkich jak śmieci. Bez ściemy. Ale pewnie nie zdajesz sobie sprawy z tego, że jeszcze przed śmiercią mamy sporo płakałam. Amber, z którą stykałaś się podczas naszych bitew, nie była prawdziwa. Wcale nie jestem taka silna. Ani taka pogodna. Jestem nijaka. Jestem po prostu głupią dziewczyną, która w kluczowych momentach potrafi opowiedzieć kilka żartów i wie, jak przeciągnąć publiczność na swoją stronę. Gdybyś tylko wiedziała, jak głęboko dotykały mnie twoje przytyki. Bez kitu. Przez ciebie naprawdę myślę, że mam twarz dinozaura, co strasznie mnie martwi.

Joan Sędziwa nie ściska mojej dłoni. Wciąż słyszę jej oddech.

– Zaczynam myśleć, że masz rację w kwestii życia, Joan. Może faktycznie nic nie ma sensu? Oczywiście wciąż uwielbiam JC i tak dalej. Wciąż się modlę i wierzę w niektórych ludzi. Ale ten facet, który zabił moją mamę... On nie jest człowiekiem. Przeraża mnie, bo tak naprawdę nim jest, a jednak zrobił to, co zrobił. Nigdy tego nie pojmę, choćbym nie wiem ile o tym myślała. To takie niezrozumiałe. Podłe. Zaczynam rozumieć, dlaczego jesteś złośliwa i marudna. Założę się, że przed śmiercią męża taka nie byłaś.

Nagle Joan Sędziwa ściska moją dłoń, a ja prawie dostaję zawału.

– Dlaczego mi to mówisz? – pyta Joan.

– Przez cały czas byłaś przytomna?

– Tak.

– Ty wredna babo! Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Bo zbieram informacje na naszą ostatnią bitwę, kiedy w końcu doprowadzę cię do łez.

– Nie może w tobie być aż tyle zła – mówię.

Joan Sędziwa uśmiecha się do mnie z poduszki, a jej pomarszczone, różowe powieki przewiercają się przez moje czoło. Przechodzą mnie ciarki.

– Dlaczego właściwie tu przyszłaś, Amber?

– Nie wiem. Naprawdę. Czy ty umrzesz?

– Wszyscy w końcu umrzemy – odpowiada Joan Sędziwa. – To jedyna rzecz, jaka się Bogu udała.

– Dobrze – mówię. – Chyba już pójdę.

– Kiedy następna bitwa? Lekarze twierdzą, że mogę umrzeć w każdej chwili.

– Przykro mi, już się w to nie bawię – odpowiadam.

– Musisz przynajmniej dać mi szansę na zdobycie tytułu.

Nagle Joan Sędziwa wydaje mi się zbyt absurdalna, więc wychodzę z pokoju.

– Amber? Amber? *Amber?* – dobiega mnie jej głos, kiedy idę korytarzem wraz ze Starym Linderem.

– Co ci powiedziała ta starucha? – pyta, ciągnąc za sobą butlę z tlenem.

– Udawała, że śpi, żebym opowiedziała jej o swoim życiu osobistym. Zamierza użyć tego przeciwko mnie podczas następnej bitwy.

– Na twoim miejscu bym się tym nie przejmował.

– Bo zrezygnowałam?

– Bo ona lada dzień umrze.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze?

– Co? – pyta Stary Linder.

– Będę za nią tęsknić.

– Ja tęsknię za wszystkimi ludźmi ze swojej przeszłości, Amber, naprawdę. To przekleństwo starości.

Resztę drogi pokonujemy w milczeniu. Tuż przed przekroczeniem progu świetlicy mówię:

– Czy ty i Stary Thompson zaśpiewacie jedną ze swoich piosenek na rewii *Uratujmy Boba*?

– Nikt nie chce słuchać dwóch starców śpiewających zapomniane przeboje, Amber. A już na pewno nie kogoś, kto potrzebuje butli z tlenem, żeby oddychać. Śpiewanie to zajęcie dla młodych. Kto by chciał słuchać, jak śpiewam?

– Ja.

Stary Linder uśmiecha się do mnie jak dziadek, jednak jego oczy są zamglone i smutne.

Kiedy nic nie mówi, całuję go w policzek, a następnie krążę po świetlicy z Bobem, tak by wszyscy zobaczyli jego bliźnię i pogłaskali go po głowie.

Potem B3 i ja mijamy przygnębiające korytarze i zakurzone sztuczne rośliny.

– Jak dzisiaj było? – pyta OL.

– Dobrze. Mam nadzieję, że Stary Linder zmieni zdanie i zaśpiewa na rewii *Uratujmy Boba*, chociaż mówi, że tego nie chce. Byłoby super.

– Kto go o to poprosił?

– Ja.

– Dlaczego nie poprosiłaś mnie, żebym zaśpiewała?

– A ty śpiewasz?

– Żartujesz sobie? Jestem profesjonalistką. Mam nawet swój zespół. Nazywa się Pracowici Bracia. Obsługujemy głównie wesela, ale gramy też w klubach.

– Jaką muzykę?

– Przede wszystkim R&B. Świetnie naśladowuję Arethę Franklin, ale śpiewam też piosenki The Supremes, Elli Fitzgerald i Niny Simone. Wszystkich wielkich gwiazd.

Zaplątam ramiona i mówię:

– OL, czy ty jesteś diwą?

– Dziewczyno, kiedy śpiewam, publika szaleje. Tutaj pracuję tylko dla świadczeń zdrowotnych.

Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że modlitwy Ojca Chee zostały wysłuchane i że JC zesłał mi diwę do CDK. Powaga.

– Naprawdę? – pytam.

OL śmieje się i podaje mi wizytówkę, na której jest napisane:

Siostra Lucy i Pracowici Bracia

Pod spodem widnieje numer telefonu.

Opowiadam jej o Chrystusowych Diwach z Korei, o tym, że prosiliśmy JC, żeby zesłał nam prawdziwą diwę na wokalistkę, po czym jak wariatka pędzę rowerem Donny do kościoła Ojca Chee, życząc wszystkim mijanym osobom miłego dnia. Na miejscu walę w drzwi tak długo, aż OC mi otwiera.

– Amber, co cię tu sprowadza? Przecież dziś nie...

– Znalazłam nam prawdziwą diwę! – mówię i wręczam mu wizytówkę OL.

Ojciec Chee studiuje kartonik i uśmiecha się porozumiewawczo.

– A więc Jezus zesłał nam diwę.

– Tak jest!

– Wszystkim się zajmę – oznajmia Ojciec Chee, następnie truchtem odprowadza mnie i siedzącego w koszyku Boba z powrotem do mojej dzielnicy.

Tylko że kiedy OC odbiega, nie wracam do domu. B3 i ja kierujemy się do domu Szeregowca Jacksona.

Po dniu spędzonym z tyloma ludźmi jestem zmęczona. Odzwyczaiłam się od towarzystwa. Przez dwa miesiące samotnie siedziałam w pokoju. To wszystko jest jak chrzest bojowy.

Chciałabym się znaleźć gdzieś, gdzie mogę po prostu być – gdzie będę się mogła zrelaksować i cieszyć tym, że znalazłam moim CDK prawdziwą diwę.

Ukrywam rower Donny za domem SJ i pukam do jego drzwi, trzymając B3 w ramionach.

– Wejdz, proszę – mówi SJ, drapiąc Boba po głowie. – Wstawię wodę na herbatę.

W środku kładę mojego psa na podłodze i chociaż od jego operacji minęło niewiele czasu, B3 pędzi do sypialni. Trochę się martwię o jego szwy, ale siadam po prostu na kanapie, uznając, że Bob zna swoje ograniczenia.

Po kilku minutach Szeregowiec Jackson wręcza mi parującą filiżankę herbaty.

Przez chwilę pijemy w milczeniu.

Odstawiam filiżankę na stolik, wstaję, wyciągam łąbędzia origami z kieszeni i wręczam go SJ.

– Piękny – mówi SJ. – Doskonały.

– Niech pan go rozłoży – mówię.

– Nie, wolę, żeby został taki, jaki...

– Zrobię panu innego. W środku jest haiku.

SJ kiwa głową, po czym rozkłada łąbędzia.

Chyba od godziny czyta moje najnowsze haiku, kiwając głową i pocierając podbródek.

– Podoba się panu? – pytam w końcu.

Podnosi wzrok i mówi.

– Jest doskonałe. Przeczytasz mi je na głos?

– Poważnie?

– Bardzo chciałbym usłyszeć, jak czytasz to haiku.

Biorę od niego kawałek papieru i czytam:

Wspólnie płaczemy

Na sofie, z różnych przyczyn

To nasz ratunek

– Powieszę je teraz na ścianie – oznajmia SJ, biorąc ode mnie kartkę.

– Ale to haiku nie jest o psie.

SJ się uśmiecha, przykleja moje haiku do pustego miejsca na ostatniej ścianie w salonie, po czym mówi:

– Lubię cię, Amber Appleton. Tak samo jak psy. A wolę psy od ludzi.

– Ja też pana lubię, Szeregowcu Jacksonie. Tak samo jak psy.

– W takim razie mamy ogromne szczęście – oznajmia i przez kolejne pół godziny siedzimy, uśmiechając się i pijąc zieloną herbatę.

Bob i Miss Jenny wychodzą z sypialni chwiejnym krokiem i ze szklistymi oczami, ale B3 wydaje się uśmiechać, więc chichoczę i mówię:

– Dobrego psa nie można utrzymać w ryzach, co B3?

Biorę go w ramiona, całuję kudłate miejsce pomiędzy jego uszami, po czym mówię SJ, że muszę już iść.

– Umyję filiżanki.

Na zewnątrz wkładam Boba do koszyka przy rowerze Donny, a on zasypia, zanim udaje mi się pokonać jedną przecznicę.

Przez następne dwa tygodnie pracuję nad sukienką na bal, którą włożę też na rewię *Uratujmy Boba*, więc żeby skończyć na czas, zarówno przed lekcjami, jak i po nich zaczynam przychodzić do klasy, gdzie odbywają się zajęcia z umiejętności społecznych.

Franks i chłopcy z Piątki organizują casting do rewii.

Odźwierna Lucy i Pracowici Bracia spotykają się z Ojcem Chee i CDK.

Dzieciaki, których nawet nie znam, chodzą od drzwi do drzwi i sprzedają bilety. Pani Baxter zbiera datki. Pan Valerie sprzedaje miejsca reklamowe i układa program. A ja codziennie zawożę B3 do Miss Jenny. Piję herbatę z Szeregowcem Jacksonem i wypełniam ostatnie wolne miejsca na ścianie jego salonu. Wszystko się układa, ale ja jestem oszołomiona. Czasem mi się wydaje, że widzę mamę. Moje serce przyspiesza, kiedy zauważam autobus szkolny. Albo dostrzegam farbowaną blondynkę w tłumie. Albo w nocy zamykam oczy.

Czasem kiedy Donna mnie całuje, udaję, że jest moją mamą, podobnie jak wtedy, gdy moja mama jeszcze żyła. Czuję się z tym potwornie.

Zastanawiam się, czy śmierć mojej mamy była odpowiedzią Boga na to marzenie.

Zastanawiam się.

Często mam wyrzuty sumienia.

W nocy jestem zlane potem.

W ciągu dnia drzę.

Wierzcie lub nie, ale jedyną rzeczą, jaką naprawdę lubię robić, jest picie zielonej herbaty z Szeregowcem Jacksonem. Popijanie jej w zupełnej ciszy, w otoczeniu moich haiku.

W dniu rewii *Uratujmy Boba* – jeszcze przed lekcjami – kończę szyć sukienkę na bal. To srebrna kreacja bez rękawów z podwyższoną talią i okrągłym wycięciem, które odsłania mój mizerny dekolt. Kiedy ją przymierzam, nauczycielka umiejętności społecznych pani Tyler mówi:

– To najładniejsza suknia balowa, jaką ktokolwiek zrobił na moich zajęciach. Piątka z plusem.

Uśmiecham się do niej i zaczynam się cieszyć myślą, że niedługo ją włożę.

Przez cały dzień uczniowie uśmiechają się do mnie porozumiewawczo i megaczęsto powtarzają:

– Do zobaczenia wieczorem, Amber.

Oczywiście cieszę się na myśl o rewii, ale mam wrażenie, że wszyscy ześwirowali na punkcie dzisiejszego pokazu.

Trochę przesadzają.

Olewam obiad i kieruję się prosto do Jaskini Franksa.

Kiedy tam wchodzę, trzydzieścioro uczniów milknie i zwraca się w moją stronę.

Zapada głucha cisza.

– Co się dzieje? – pytam.

– Uzgadniamy ostateczny plan na dzisiejszy wieczór – oznajmia Franks.

– Fajnie – mówię.

Chad odzywa się ze swojego Das Boota:

– Jeśli teraz wejdziesz, niespodzianki szlag trafi.

– Niespodzianki? W liczbie mnogiej? – pytam.

– Amber! Po prostu nam zaufaj – mówi Jared.

– Ale ja wciąż zajmuję się konferansjerką?

– Musisz się tylko pojawić w audytorium o szóstej czterdzieści pięć – wyjaśnia Ty.

– O której zaczyna się rewia?

– O ósmej – mówi Franks. – Wtedy się spotkamy.

– Dobrze. – Czuję się trochę nieswojo i jestem zawstydzona tym, że nie pomagałam w przygotowaniach. Przez chwilę stoję na zewnątrz, a potem wracam na lekcje. Po szkole Ty odwozi mnie i Ricky'ego do Donny, a po spacerze z B3 ucinam sobie drzemkę. Ostatnio wciąż czuję się zmęczona i drzemki to moje nowe hobby. Bez kitu.

Budzi mnie wołanie Donny:

– Za niecałą godzinę musisz być w audytorium!

Wstaję i biorę prysznic. Maluję się. Suszę włosy. Wkładam srebrną sukienkę balową na swoje dziewczęce ciało, a paskudne stopy wsuwam w czerwone szpilki.

Odmawiam modlitwę do JC – wkładam w nią mnóstwo energii i nadziei.

– Proszę, spraw, by każdy był dziś tym, kim ma być! Amen!

Ricky włożył smoking.

– Wyglądasz wytwornie, Ricky!

– Amber Appleton ma na sobie srebrną sukienkę!

– Jesteś gotowa? – pyta Donna, a ja kiwam głową.

Amber Appleton, Bob i Ricky Roberts jadą do liceum w Childress mercedesem Donny z podgrzewanymi fotelami.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, pod drzwiami audytorium zastajemy sznur ludzi. Miejsca nie są numerowane, więc jeśli chce się zająć dobrą miejscówkę, wcześniej trzeba się ustawić w kolejce.

Musimy minąć ogonek, żeby dotrzeć do sceny.

Kiedy czekający mnie zauważają, zaczynają wiwatować – jakbym była gwiazdą rocka.

Bez kitu.

W kolejce stoi kilkaset osób – wszyscy spoglądają na mnie współczująco.

Mijamy grupę Koreańczyków – jest ich mniej więcej czterdzieścioro.

Mijamy gromadę kobiet podobnych do Odźwiernej Lucy.

Mijamy też wielu mieszkańców Childress.

W połowie kolejki jakiś matoł zaczyna skandować:

– Amber! Amber! Amber!

Dołączają do niego pozostałe przygłupy, a ja się rumienię.

Kiedy zauważam, że Donna także skanduje moje imię, wymierzam jej kuksańca i mówię:

– Przestań.

Śmieje się ze mnie i nie przerywa skandowania – jak ostatni ćwok.

Kiedy docieramy na początek ogonka, Ricky wchodzi do audytorium, a ja zaczynam płakać. Na czele kolejki stoi Szeregowiec Jackson.

Jak zawsze ma na sobie żółtą koszulę.

W dłoni trzyma bilet – wygląda jak podekscytowany dzieciak, który czeka, aż wpuszczą go na mecz.

Uśmiecha się do mnie. Jest z siebie dumny.

Wiem, że nie licząc spacerów z Miss Jenny i zakupów, prawdopodobnie pierwszy raz od powrotu z Wietnamu pokazał się publicznie.

– Co pan tu robi? – pytam.

Bob liże SJ po ręce. SJ głaska Boba po głowie i mówi:

– Chciałem zająć miejsce w pierwszym rzędzie, więc przyszedłem wcześniej.

– Skąd pan w ogóle o tym wiedział? – pytam, bo przecież nie powiedziałam mu o rewii *Uratujmy Boba*.

– Od chłopca z brodą, który odwiedził mnie w domu i powiedział, że bardzo byś się ucieszyła, gdybym tu dziś przyszedł. Więc przyszedłem. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Ty. Mogłabym go ucałować.

– Pewnie za bardzo cieszyłam się naszymi herbatkami – mówię, po czym wprowadzam SJ do środka, mijając bramkarzy, czyli brodatego nauczyciela historii (tego samego, który pytał, czy z Rickim wszystko w porządku, kiedy trzy miesiące wcześniej łaskotałam go na korytarzu) oraz nauczyciela WF-u, którego nie znam, a który jest nieźle przypakowany.

W audytorium Donna i Szeregowiec Jackson zajmują miejsca w pierwszym rzędzie – najlepsze w całej sali. Widzę, że Donna uważa Szeregowca Jacksona za przystojniaka, bo siedzi bokiem na swoim miejscu i lekko pochyła się w jego stronę, tak żeby SJ miał dobry widok na rowek między jej piersiami.

Uśmiecham się i zabieram B3 za kulisy.

Na zapleczu zastaję mnóstwo ludzi. Chad w Das Boocie, Jared, Ricky i Franks włożyli smokingi. Lex Pinkston i cała drużyna futbolowa mają nażelowane włosy. Połowa z nich jest ubrana w skórzane kurtki, dzinsy i białe podkoszulki – wyglądają, jakby wyskoczyli z lat pięćdziesiątych – a druga połowa

w czarne spodnie, fioletowe koszule i eleganckie buty z czubami.

Wszystkie CDK mają na sobie identyczne złote kreacje. Ojciec Chee ma swój strój pingwina. Odźwierna Lucy włożyła obcisłą czerwoną sukienkę i zabójcze obcasy. Ma także przedłużane włosy i grubą warstwę efekciarskiego makijażu. Wygląda jak Queen Latifah, która jest absolutnie nieziemską i którą także podziwiam.

Czarni mężczyźni z instrumentami – pewnie Pracowici Bracia, bo poza Tyem nie ma za kulisami innych czarnoskórych – noszą czarne garnitury, białe koszule, czarne wąskie krawaty i staromodne okulary przeciwsłoneczne z zielonymi szklami.

Ilekoć patrzę na jednego z Pracowitych Braci, wszyscy kiwają do mnie głowami, jak gdyby byli ze sobą połączeni.

Ty siedzi za stołem tuż przy scenie i stuka w klawiaturę laptopa, który kontroluje mikrofony, światła, kurtynę i aparaturę nagłaśniającą. Ma na sobie ten sam strój co zawsze – dżinsy i czerwoną bluzę z kapturem. Uśmiecham się do niego, bo udało mu się wyciągnąć z domu Szeregowca Jacksona, ale jest zbyt pochłonięty laptopem, żeby mnie zauważyć.

Widzę cheerleaderki w drużynowych strojach. Dwóch hipisowskich nastolatków z akustycznymi gitarami. Pryszczatego dzieciaka w stroju średniowiecznego błazna i czapce, która wygląda jak czerwono-żółta palma.

Nagle dostrzegam dwóch stojących samotnie starszych mężczyzn w czerwonych marynarkach – jeden z nich ma butlę z tlenem. Podbiegam do Starego Lindera i Starego Thompsona i pytam:

– Zaśpiewacie dzisiaj?

– Otwieramy całą rewię! – mówi Stary Thompson.

– Nie inaczej – dodaje Stary Linder i szczypie mnie w policzek.

– Myślałam, że nikt nie chce słuchać śpiewu dwóch starców.

– Ty tak powiedziałeś? – dziwi się Stary Thompson.

– Ten twój brodaty kolega z klasy mnie przekonał – wyjaśnia Stary Linder, a ja odwracam się i spoglądam na Tya z uśmiechem.

Wygląda strasznie poważnie z tym swoim laptopem. Jest lojalny i pełen poświęcenia jak prawdziwy przyjaciel.

– Musisz stworzyć krąg mocy! – mówi do mnie Sueng Hee z CDK, po czym wyciąga mnie i B3 na środek.

– Czy chciałabyś coś powiedzieć, zanim wyjdziemy na scenę? – pyta Odźwierna Lucy.

Spoglądam na otaczające mnie twarze – niektóre z nich kocham, innych nawet nie znam. Widzę, że czekają, aż powiem coś optymistycznego, żeby mogli dać czadu przed publicznością zebraną w naszym liceum.

– Chciałabym podziękować wszystkim za to, że się tu dziś zjawili – mówię. – To naprawdę ważne dla mnie i dla Boba, który, dzięki Bogu, nie ma już raka.

Urywam, bo wiem, że tego wieczoru muszę dać z siebie wszystko. Muszę być kimś więcej niż nastolatką. Muszę poruszyć ludzi – nakręcić ich. Muszę być gwiazdą rocka.

– Ustawmy się w dużym kręgu. Zarzućcie ręce na ramiona sąsiada. Poczujcie miłość, ludzie! Poczujcie miłość! Ty, mówię też do ciebie. Przytargaj tu swoje cztery litery!

Ty podnosi wzrok znad komputera, po czym zajmuje miejsce w kręgu mocy.

Wokół mnie i B3 stoi około pięćdziesięciu osób – wszystkie się obejmują i spoglądają na mnie.

– Pochylcie głowy – mówię. – Jeśli nie wierzycie w JC, podstawcie pod Niego bóstwo, które wam podchodzi! Jeśli tak jak Ricky jesteście ateistami, po prostu zróbcie to dla mnie, dobrze?

Wszyscy oprócz Ricky'ego pochylają głowy.

Zamykam oczy i mówię:

– JC, zgromadziłeś tu dziś dobrych ludzi w słusznym celu. Proszę, bądź dzisiaj przy nich. Spraw, by każdy był dziś tym, kim ma być. Wspieraj nas, żebyśmy dali dziś czadu. Ofiaruj nam siłę, żeby wzruszyć ludzi i żeby nie prosili o zwrot pieniędzy. Bądź dziś przy nas, JC. Amen.

– Amen! – powtarza większość zebranych, po czym ludzie zaczynają zdejmować ręce z ramion sąsiadów.

– Ręce z powrotem na ramiona! – krzyczę.

Wszyscy robią, co im każę. Zaczynam tupać lewą nogą. Tup! Tup! Tup!

Reszta do mnie dołącza. Pięćdziesiąt stóp uderza w podłogę, która zdaje się poruszać.

– Jeśli czujesz się dziś dobrze, krzyknij: „Tak!”.

– Tak!

– Jeśli czujesz się dziś dobrze, krzyknij: „Tak jest!”.

– Tak jest!

– Nie słyszę!

– TAK JEST!

Tup, tup, tup, tup!

– Jeśli chcecie dziś dać czadu, zawołajcie: „Huu! Huu!”.

– Huu! Huu!

Tup, tup, tup, tup!

Nie mogę wymyślić żadnej innej motywującej frazy, której mogłabym użyć, więc kończę, wołając:

– Zbliźmy się i ofiarujmy sobie trochę miłości! Niech wszyscy wyciągną rękę do środka koła.

Szybko zauważam, że Das Boot trochę zaburzy nam poczucie wspólnoty, więc mówię:

– Albo nie. Niech wszyscy położą dłoń na głowie Chada!

Gromadzimy się wokół Das Boota.

Kładziemy dłonie na głowie Chada – robi to większość, a reszta obejmuje ramionami ludzi, których dłonie spoczywają na jego głowie.

– Uwaga na włosy, ludziska – ostrzega Chad.

– Dziękuję, że pomagacie mi opłacić rachunek za weterynarza – mówię. – Kocham was, ziomy.

Wszystkich. Na trzy mówimy: „Czas na show!”. Raz, dwa, trzy!

– Czas na show! – krzyczą zebrani.

Odstępując od Das Boota, wyglądają na naprawdę nakręconych.

Nagle po drugiej stronie kurtyny rozlega się skandowanie:

– Amber! Amber! Amber!

Cholera, ja naprawdę jestem gwiazdą rocka, myślę.

– Dobrze ci w tej sukience – mówi Ty.

– Dzięki, sama ją uszyłam – odpowiadam, a on wraca do laptopa.

– Co myślisz o mojej modlitwie? – pytam Ojca Chee.

– Bóg był bardzo zadowolony.

– Skąd wiesz?

– Sam mi o tym powiedział! – oznajmia OC.

– Czy powiedział ci także, że wszystko się dzisiaj uda?

– Tak. To też mi powiedział.

– A co dokładnie? – dopytuję.

– Mówi, że już czas, żebyś wyszła na scenę – odpiera OC, po czym wskazuje na Franksa, który stoi tuż przy kurtynie i przywołuje mnie do siebie. – Lepiej się pospiesz.

Niosę B3 do Franksa, który mówi:

– Amber, posłuchaj. Przed każdym występem wręczę ci kartkę. Przeczytasz zapisaną na niej informację, po czym zapowiesz wykonawcę tak, jak będziesz chciała. Dobra?

– Dobra – mówię.

Franks wręcza mi kartkę, a ja wychodzę na scenę, tuląc B3 w ramionach.

Spływa na mnie światło reflektora. Pozostałe lampy przygasają. Podchodzę do mikrofonu. Publiczność milknie. Widzę uśmiechających się do mnie SJ i Donnę. Unoszę Boba nad głowę.

– Pokonaliśmy raka!

Zebrani wiwatują.

– Teraz musimy zapłacić rachunek za weterynarza.

Tłum wybucha śmiechem, ale nie wiem dlaczego.

– Dziękuję za przybycie.

Rozglądam się. Widownia jest pełna.

– Panie i panowie, czekają was wyjątkowe doznania! Z towarzyszeniem akompaniującego nam dziś zespołu Pracowici Bracia, klasyczny przebój *Makin' Whoopee* zaśpiewa dwóch najfajniejszych mieszkańców Metodystycznego Domu Spokojnej Starości. Powitajmy Alberta Lindera i Eddiego Thompsona znanych także jako Czerwone Kubraki!

Kurtyna się unosi i Czerwone Kubraki zaczynają pstrykać swoimi starczymi palcami.

Pracowici Bracia grają stary przebój, a Stary Thompson śpiewa *Makin' Whoopee* ładnym, ale cikliwym głosem z dawnych lat.

Ze względu na butlę z tlenem Stary Linder nie śpiewa, ale normalnym głosem powtarza słowa za Starym Thompsonem – i naprawdę dobrze to wypada.

Pracowici Bracia to całkiem niezły zespół.

Zza kurtyny obserwuję publiczność i widzę, że niektórzy starsi ludzie śpiewają razem z nimi.

Super.

Kiedy Czerwone Kubraki kończą, publiczność bije brawo, a ja zapowiadam kilka innych występów – niektórzy koledzy i koleżanki śpiewają i grają na instrumentach, inni przedstawiają układy taneczne, a dzieciak w kostiumie błazna żongluje nożami i płonącymi piłeczkami tenisowymi, przez co Dyrccio Tony wyskakuje ze swojego miejsca. DT próbuje przerwać numer z żonglerką, ale zostaje wybuchany i pozwala nastolatkowi dokończyć.

Kiedy zapowiadam Milutkiego Matematyka, Ricky wchodzi na scenę, a Franks rozrzuca wśród widzów kilkadziesiąt tanich kalkulatorów.

– Panie i panowie, jest tu dziś ze mną geniusz – mówi Franks.

– Tak – oznajmia Ricky do mikrofonu.

– Każdy, kto złapał kalkulator, może poprosić Ricky'ego, żeby pomnożył jakiejkolwiek liczby, a on wykona to działanie w głowie w mniej niż pięć sekund i poda prawidłową odpowiedź. Możecie to sprawdzić na swoich kalkulatorach, choć zapewniam, że nie będzie to konieczne.

– Tak – mówi Ricky, stając na środku sceny w swoim smokingu.

Franks zeskakuje ze sceny i przechadza się wśród publiczności z bezprzewodowym mikrofonem.

– Kto pierwszy?

Jakiś zwyczajnie wyglądający facet uniósł dłoń i mówi coś do Franksa.

– Ricky, ten dżentelmen chciałby wiedzieć, ile to jest sto pięćdziesiąt siedem razy pięćset dwadzieścia jeden.

– Osiemdziesiąt jeden tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt siedem. Tak.

– Czy ma rację? – pyta Franks mężczyzny, który wprowadza liczby do kalkulatora i z podziwem kiwa głową. W powietrze wystrzeliwuje pięćdziesiąt dłoni.

– Tysiąc dwieście sześćdziesiąt osiem razy jeden dwa dziewięć sześć zero, Ricky.

– Szesnaście milionów czterysta trzydzieści trzy tysiące dwieście osiemdziesiąt.

– Pięć razy dziewięć – chce wiedzieć jakiś chłopczyk.

– Czterdzieści pięć – odpowiada Ricky. – Czterdzieści pięć.

– Sześćdziesiąt pięć razy trzysta trzysta tysięcy sto trzydzieści jeden.

– Dwadzieścia milionów trzysta pięćdziesiąt trzy tysiące pięćset piętnaście.

– Pięćset sześćdziesiąt osiem koma trzysta trzy razy pięćset sześćdziesiąt siedem koma siedemdziesiąt siedem – rzuca jakiś mądrała, atakując Ricky’ego ułamkami dziesiętnymi.

– Trzysta dwadzieścia dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt siedem koma siedemnaście.

Ricky rozwiązuje w głowie jeszcze kilka działań – za każdym razem poziom trudności wzrasta – i na wszystkie pytania odpowiada poprawnie, po czym oznajmia:

– Ricky Roberts jest głodny. – I schodzi ze sceny.

Publiczność bije mu brawo, a siedząca w pierwszym rzędzie Donna puchnie z dumy.

Następuje jeszcze kilka występów ze śpiewem i tańcem, i w końcu mówię:

– Ludzie, mam przyjemność przedstawić moich przyjaciół Chada i Jareda Foksów, którzy wykonają przebój zespołu *The Spinners Working My Way Back to You* z towarzyszeniem Pracowitych Braci i drużyny cheerleaderek z liceum w Childress.

Chad w *Das Boocie*, Jared i Pracowici Bracia wychodzą na scenę.

Moim chłopcom świetnie w smokingach, chociaż Jared wygląda tak, jakby miał się zaraz posikać ze strachu.

Perkusista Pracowitych Braci zaczyna piosenkę, a basista wygrywa kilka funkowych akordów.

Siedzący w *Das Boocie* Chad afektowanym, nienaturalnym głosem śpiewa o tym, jak ciężko pracuje, żeby odzyskać swoją kobietę.

Kiedy jego brat zaczyna śpiewać, Jared klaska i przenosi ciężar z jednej nogi na drugą.

Nagle na scenę wpada drużyna cheerleaderek, które robią gwiazdy, a ich spódniczki podnoszą się i opadają.

Nigdy nie widziałam nic dziwniejszego.

Kiedy Jared i Chad śpiewają, cheerleaderki wykonują rozmaite popisy akrobatyczne – podrzucają dziewczyny w powietrze, budują ludzkie piramidy i robią energiczne pajacyki z pomponami.

Ludzie na widowni podnoszą się z miejsc i zaczynają tańczyć. Moi chłopcy to prawdziwy hit! Chad śpiewa do cheerleaderek, zataczając wokół nich kółeczka swoim *Das Bootem*. Jared wciąż przenosi ciężar z jednej nogi na drugą, wspierając pewniejszego siebie brata, i wygląda, jakby miał stan przedzawałowy.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

Kiedy piosenka dobiega końca, publika szaleje, a Franks wręcza mi kolejną karteczkę.

Wychodzę na scenę i mówię:

– A teraz ujrzycie wybrane sceny z musicalu *West Side Story*. Panie i panowie, powitajcie drużynę futbolową liceum w Childress.

Lex i kilku chłopaków z drużyny wychodzą na scenę w fioletowych koszulkach i eleganckich butach z czubami – przygarbieni, pstrykają palcami, przybierając groźne pozy.

Reszta drużyny wchodzi z drugiej strony sceny ubrana w skórzane kurtki i dżinsy – oni także są przygarbieni i pstrykają palcami, przybierając groźne pozy.

Dalej następuje uliczna walka przekazana za pomocą niesamowitych figur tanecznych przy akompaniamencie puszczonej z głośników muzyki jazzowej.

Oglądam, jak drużyna futbolowa odgrywa wybrane sceny z *West Side Story*, i jestem zaskoczona tym, jak dobrze im idzie. To zawodowcy.

Kiedy błyskają ostrza sztucznych noży, ludzie na widowni prawie wyskakują z foteli!

Ci chłopcy są stworzeni do tego, żeby grać w musicalach!

Nagle uświadamiam sobie, dlaczego nasza drużyna nigdy nie wygrywa żadnych meczów.

Oba gangi – Sharksi i Jetsi – zbierają burzliwy aplauz, kiedy trzymając się pod rękę, stają na środku sceny i się kłaniają. Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem.

– Panie i panowie, przyszedł czas na gwóźdź programu, w ramach którego ujrzycie dwie niezwykle utalentowane grupy ludzi. To osoby, które dobrze znam i bardzo kocham. Przed wami Chrystusowe Diwy z Korei oraz Siostra Lucy i Pracowici Bracia!

Kurtyna unosi się przy dźwięku oklasków.

Smyczki i instrumenty dęte znajdują się po prawej stronie sceny, a perkusja w jej głębi. Ustawione na schodkach w kilku rzędach CDK złocą się po lewej stronie sceny, a Siostra Lucy stoi pośrodku i trzyma mikrofon.

– Chodź tu do nas, Siostrze Amber – mówi Siostra Lucy.

Wnoszę B3 na środek sceny, a Siostra Lucy otacza mnie ramieniem.

– Mówi się, że aby podbić kobiece serce, trzeba nakarmić ją dużą ilością czekolady – mówi OL, a publiczność wybucha śmiechem. – Zanim Amber dowiedziała się, że jestem diwą, i myślała, że pracuję tylko jako odzwierciadlenie w domu spokojnej starości, a ona sama była jeszcze bezdomna, co tydzień przynosiła mi kakao i snickersa. Niektórym może to nie imponować, ale ja bardzo lubiłam jej odwiedziny. Czekałam na nie w każdą środę. Przykro mi z powodu tego, co się stało z twoją mamą, Siostrze Amber. To nie w porządku. Ta piosenka jest dla ciebie.

Kiedy Lucy mnie puszcza, przechodzę na skraj sceny, a wokół rozbrzmiewa dźwięk elektrycznych organów.

Spoglądam w stronę sekcji dętej, obok której stoi syntezator, i nagle zdaję sobie sprawę, że gra na nim Ojciec Chee – występuje z zespołem!

Siostra Lucy zaczyna śpiewać, a jej głos jest niski, głęboki i przepiękny.

Śpiewa o Matce Bożej.

CDK wykonują dłońmi powolne gesty, których ich nie uczyłam, i pięknie akompaniują Siostrze Lucy – wyglądają jak profesjonalistki.

Śpiewają piosenkę *Let It Be* Beatlesów w wersji R&B.

Pracowici Bracia dołączają z perkusją, kontrabasem i gitarą oraz sekcją dętą.

Ludzie wstają z miejsc i machają dłońmi. Wsłuchuję się w słowa piosenki i rozumiem, co chce mi przekazać Siostra Lucy – zaczynam płakać jak dziecko. Podczas solówki saksofonu Jared obejmuje mnie ramieniem. Chad sięga z Das Boota i chwytam mnie za rękę. B3 liże mnie pod brodą. Pod koniec piosenki Siostra Lucy zaczyna się naprawdę rozkręcać, prezentując swoje możliwości wokalne, a ja uświadamiam sobie, że to prawdziwa diwa.

Jestem dumna z CDK, które brzmią i wyglądają świetnie.

Nade mną wciąż jaśnieje światło, powtarzam w głowie słowa, które śpiewa Siostra Lucy.

Słuchając jej śpiewu – wspomaganego przez CDK – czuję, że JC jest przy mnie i że wszystko jakoś się ułoży.

To naprawdę ważna chwila. Może nawet święta. Kiedy piosenka dobiega końca, Siostra Lucy zwraca się do mnie słowami z refrenu:

– Niech tak będzie, Amber, niech tak będzie. – Po chwili mówi do publiczności: – Moi drodzy, mam nadzieję, że jesteście gotowi na taneczne szaleństwo.

Ludzie wiwatują, a Ojciec Chee wygrywa odjechane, staromodne akordy na keyboardzie. Pracowici Bracia zaczynają grać, a Siostra Lucy śpiewa *Think Arethy Franklin*.

CDK poruszają ramionami, potrząsają tyłeczkami, wykonują kółka otwartymi dłońmi, a kiedy Siostra Lucy na nie wskazuje, wykrzykują słowa z refrenu: „Myśl!” i „Wolność!”. Dają niesamowitego czadu. Jestem zaskoczona.

Publiczność wariuje. Ludzie tańczą w rzędach. Wszyscy zrywają się z miejsc. A kiedy spoglądam na pierwszy rząd, widzę, że Donna tańczy z Szeregowcem Jacksonem. SJ radzi sobie beznadziejnie... ale tańczy! To cud!

Ja też zaczynam tańczyć z Jaredem, Chadem i B3 – próbujemy nakłonić do tego nawet Ricky’ego, ale nam nie wychodzi.

Siostra Lucy śpiewa jeszcze *Come See About Me, Baby Love, O-o-h Child, I Want You Back, (Sweet Sweet Baby) Since You’ve Been Gone, Freeway of Love*, a kiedy dociera do *Respect*, ludzie na scenie są złani potem – podobnie jak ci na widowni.

Publiczność zgromadzona w audytorium liceum w Childress oficjalnie oszalała.

Siostra Lucy fantastycznie śpiewa sztandarowy przebój Arethy Franklin, a CDK także w nim błyszczą – wykonują różne gesty, pewnie poruszają ramionami i śpiewają refren piosenki.

Kiedy koncert dobiega końca, publiczność przez dziesięć minut bije brawo i gwizdże, a CDK pęcznią z dumy.

JC z pewnością jest dziś między nami.

Siostra Lucy wymienia nazwiska członków zespołu i CDK, po czym wszyscy obecni na widowni Koreańczycy wiwatują jak wariaci, a ja zdaję sobie sprawę, że rodziny CDK przyszły, żeby je wspierać, a to z pewnością zasługa Ojca Chee. Cudownie, że udało nam się dzisiaj zbliżyć do siebie ludzi.

Nie mogę uwierzyć w to, jak fantastycznie udało się rewia *Uratujmy Boba*.

Jestem zaskoczona. Przepęlnia mnie głęboka wdzięczność. Nagle Franks mówi mi, że Ty wyświetli uzbieraną sumę na wielkim ekranie umieszczonym w głębi sceny i że powinnam podziękować publiczności za przybycie, więc robię to, trzymając B3 w ramionach.

Odwracam się i wskazuję na ekran w głębi sceny tuż za zestawem perkusyjnym Pracowitych Braci, a Ty klika coś na komputerze. Na ogromnym ekranie zaczynają wirować cyfry 0 000,00\$, a w tle bardzo głośno leci *We’re Not Alone*, Nie jesteśmy sami, zespołu Dinosaur Jr. Ty wie, że to jedna z moich ulubionych piosenek, i pewnie dlatego ją puścił.

Na ekranie pojawia się kwota 375,15\$.

Ludzie wiwatują.

Kiwam głową i myślę, że jest całkiem nieźle.

Ale po chwili cyfry znów zaczynają się przewijać.

657,15\$

Super!

Ludzie krzyczą jeszcze głośniej.

2 019,89\$

Publika wrzeszczy jak opętana.

3 998,23\$

Osiągnęłam swój cel!

Jestem taka szczęśliwa.

5 002,11\$

Czy to możliwe, że zbieraliśmy aż tyle?

Co zrobimy z dodatkową kwotą?

Odwracam się i zaglądam za kurtynę, skąd uśmiechają się do mnie Franks i moi chłopcy. Ludzie ekstatycznie biją brawo. Wszyscy się uśmiechają, ale zauważam, że kilka osób także płacze. Dziwnie się z tym czuję.

7 628,54\$

Coś się nie zgadza.

23 425,76\$

Prawie robię w majtki.

62 981,72\$

– Co się dzieje?! – krzyczę do Franksa prawie ze śmiechem, bo nie ma mowy, żebyśmy zbierali aż tyle kasy.

Mruga do mnie zza kulis.

121 521,09\$

Nagle w przejściach pomiędzy rzędami zauważam ekipę telewizyjną.

215 671,87\$

Ostatnia kwota kilkakrotnie miga na ekranie, po czym na chwilę pojawiają się na nim słowa: „Całkowita suma”.

Nagle Bob i ja jesteśmy na scenie zupełnie sami, a w audytorium panuje cisza.

Telewizor gaśnie.

Co się, u diabła, dzieje?

Na wyświetlaczu pojawiają się następujące słowa:

Wiadomość od rywalki Amber

Na ekranie ukazuje się głowa Joan Sędziwej, co z oczywistych względów wprawia mnie w osłupienie. Kobieta filmowana jest w zbliżeniu, więc jej pomarszczona twarz wydaje się gigantyczna. Za jej głowę wetknięta jest poduszka, a Joan sprawia wrażenie, jakby trudno jej było oddychać. Jej pomarszczone powieki są intensywnie różowe, a skóra przypomina wosk albo jakiś stary ser.

– Prawdopodobnie już nie żyję – oznajmia ogromna, pozbawiona oczu głowa Joan Sędziwej z różowymi powiekami. – Pewnie niektórzy z was tego nie wiedzą, ale Amber i ja co środę staczałyśmy walki. Jej dziwni mali narzeczeni nagrali ten film kilka dni temu. Dobrze się składa, po części dlatego, że zdążyłam już pewnie odejść i znaleźć się pod ziemią, ale także dlatego, że przed śmiercią przysięgam, iż doprowadzę Amber do łez, a ja zawsze dotrzymuję słowa, panno Appleton, Księżniczko Nadziei. Nadszedł dzień, w którym pokonam cię raz na zawsze. Lekarze mówią, że moja droga dobiegła końca. Najwyższy czas. Moje ciało obróci się w proch. Krzyżyk na drogę! O ile dobrze rozumiem, miasto organizuje dla ciebie jakąś fetę ze względu na to, co się stało z twoją mamą. Dzieje się tak również dlatego, że przez tak długi czas byłaś zmuszona do odporu, iż nie masz już sił się bronić, jak mawiał

Nietzsche. Podobno straciłaś nadzieję. Niezależnie od moich poglądów filozoficznych chciałam ci powiedzieć, że jesteś na to za młoda. Czym się będziesz cieszyć na starość, jeśli jeszcze przed ukończeniem osiemnastu lat zostaniesz nihilistką?

Joan Sędziwa zanosi się duszącym kaszlem, ale po chwili udaje jej się uspokoić.

– Przed śmiercią chciałabym ci powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, mój Lawrence wykładał filozofię niemiecką, stąd moja obsesja na punkcie Nietzschego. Oto cytat, którym nie zdążyłam się z tobą podzielić: „I stracony niech dla nas będzie dzień, w którym choć raz jeden się nie płasało! Fałszywą każda prawda, która nie obdarzyła choć jednym uśmiechem!”¹⁶. To był ulubiony cytat mojego Lawrence’a. Codziennie wieczorem tańczył ze mną po całym domu. Codziennie. Jakże się przy tym śmialiśmy! Był pięknym człowiekiem, który umarł zbyt młodo i który z pewnością by cię pokochał. Dalej rozśmieszaj ludzi, Amber. Przynajmniej dopóty, dopóki nie staniesz się stara i siwa. Śmieję się z siebie, a inni będą się śmiali razem z tobą. Nawet stare, złośliwe, pokonane przez życie kobiety takie jak ja.

Joan Sędziwa znów kaszle.

– Po drugie, zostało mi kilka dolców. Zapisuję cały swój majątek Lokalnemu Funduszowi Uczelnianemu Amber Appleton, który założyli twoi przyjaciele, wcale ci o tym nie mówiąc. Mój syn Teddy nie odwiedził mnie od jedenastu lat, więc do diabła z nim! Pa, pa, Amber. Do zobaczenia w piekle.

Joan Sędziwa uśmiecha się ostatnim uśmiechem umierającej kobiety – pięknym i szerokim – po czym mówi:

– W końcu mi się udało, prawda?

Stoję na scenie, płacząc, chociaż sama nie do końca rozumiem, co się dzieje. W kolejnym ujęciu pokazana jest świetlica domu metodystów. Moi sprawni siwowłosi przyjaciele stoją wokół moich siwowłosych przyjaciół przykutych do wózka. Stary Linder występuje naprzód ze swoją butlą tlenową u boku i mówi:

– Dziecko, tylko ty przychodziłaś do nas, żeby nas rozśmieszyć. Życie to bardzo długi wyścig, a na mecie człowiek znajduje się zazwyczaj sam. Nawet nasi krewni, synowie i córki w pewnym momencie nas porzucili, więc kiedy usłyszeliśmy o tym, co się stało z twoją mamą, wszyscy wpisaliśmy cię do testamentów. Niektórzy z nas dają więcej niż inni, ale cała kwota powinna wystarczyć na pokrycie chesnego za pięć lat studiów w Bryn Mawr. Może nawet zostanie ci coś na studia prawnicze.

Publiczność bije brawo, operatorzy filmują całe zdarzenie, kobiety płaczą, a ja wciąż nie rozumiem, co się tu, u diabła, dzieje.

Wtedy na scenę wychodzą Franks i chłopcy z Piątki.

Franks mówi do mikrofonu:

– Nigdy nie poznałem nikogo, kto miałby więcej zapału, nadziei i miłości. Nigdy nie poznałem nikogo, kto zasługiwałby na więcej niż Amber Appleton. Zawsze w pierwszej kolejności myśli o innych. Zawsze stwarza jakiś szalony plan, żeby pomóc innym, czy tego chcą, czy nie. Amber, przyszła pora, by to nasza Piątka ci pomogła.

Ricky, Chad w Das Boocie, Jared, Ty i Lex Pinkston – wciąż przebrany za członka portorykańskiego gangu – uśmiechają się do mnie.

– Kochamy cię, Amber Appleton – oznajmia Franks.

– Więc te pieniądze są dla mnie? – pytam.

– To fundusz na twoje studia.

– A co z operacją Boba? Jak za nią zapłacę?

– Chce wiedzieć, czym ma zapłacić za operację swojego psa – mówi Franks do mikrofonu, a publiczność zaczyna się śmiać, jak gdyby wszyscy oprócz mnie byli w tę sprawę wtajemniczeni.

Nagle w trzecim rzędzie wstaje doktor Weissmuller i krzyczy:

– Operacja na koszt firmy!

Publiczność znów zaczyna wiwatować, po czym jakiś pomysłowy frajer krzyczy:

– Mowa! Mowa! Mowa!

Kiedy skandowanie się nasila, Franks podaje mi mikrofon.

Wciąż trochę płaczę.

– Dziękuję wszystkim. Nie wiem, czy to się dzieje naprawdę i co to wszystko właściwie oznacza.

Mam nadzieję, że moja mama patrzy dziś na nas z góry – dodaję i urywam, bo zaczynam mocniej płakać.

Przełykam ślinę i myślę o mamie. Podobałoby jej się to. Na widok ostatecznej sumy na ekranie chybaaby padła.

– Nie wiem, co powiedzieć. Brakuje mi słów. Dziękuję.

Oddaję mikrofon Franksowi, który mówi:

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Widząc was, jestem dumny z tego, że mieszkam w Childress. To miasto, które dba o swoich mieszkańców. Bezpiecznie wracajcie do domu!

Zanim Franks się orientuje, jeszcze na scenie mocno go przytulam – obejmuję ramionami jego potężny brzuch i chowam zalaną łzami twarz w jego piersi.

O dziwo, on także mnie przytula, a ja uśmiecham się i zamykam oczy, rozkoszując się tą chwilą.

– Dobry z ciebie człowiek, Franks – mówię. – Bez kitu.

– A może nam też okażesz trochę czułości, mała? – pyta Chad.

Zanim udaje mi się odpowiedzieć, otacza mnie grupa reporterów, którzy niemal wsadzają mi kamery w twarz i zadają mnóstwo osobistych pytań dotyczących mojej mamy.

Nie udaje mi się jeszcze zebrać myśli, a Donna już jest na scenie i krzyczy:

– Moja klientka nie ma obecnie nic do dodania. Chłopcy, zabierzcie ją stąd!

Szybko żegnam się z SJ, OC, CDK, OL, Pracowitymi Braćmi, Starym Thompsonem i...

– Uciekaj stąd, zanim ci reporterzy cię zlinczują! – krzyczy do mnie Stary Linder, po czym jak zawsze ściska mnie w ramię.

Moja Piątka wyprowadza mnie z audytorium, zostawiając tam Das Boota, który nie mieści się do mercedesa Donny. Ale to nic. Pan Fox zabierze wózek do domu ich rodzinnym vanem.

W samochodzie głaszczę Boba, przytulam moich chłopców i dziękuję im za to, że nakłonili ludzi do udziału w rewii, a także sfilmowali Joan Sędziwą i zebrali pieniądze na moje studia. To naprawdę niesamowite. Dziękuję nawet Leksowi, który wciąż przebrany jest za członka portorykańskiego gangu i z jakiegoś powodu wylądował z nami w samochodzie. Nasza Piątka staje się Szóstką.

Donna woła:

– Zapraszam was do siebie na lody!

Po krótkim przystanku w sklepie spożywczym myję ręce, przyrządzam moim chłopcom desery lodowe w kuchni Donny, po czym świętujemy dzisiejszy wieczór, dzieląc się lodami i staczając pojedynki na łyżeczki. Bez kitu.

Kiedy wszyscy kończą jeść, chłopcy idą do pokoju Ricky'ego, żeby pograć w Halo 3, a Donna i ja zmywamy naczynia w kuchni.

– Co się właściwie dzisiaj wydarzyło? – pytam.

– Mieszkańcy Childress zjednoczyli się i zrobili co w ich mocy, by naprawić krzywdę. I nie mówię tu o pieniądzach. Zgromadzili się w audytorium i poświęcili swój czas, żeby pokazać, że im zależy.

– Dlaczego?

– Bo większość ludzi jest dobra – mówi Donna i podaje mi przepłukaną miseczkę.

Wkładam ją do zmywarki i pytam:

– Ale czy naprawili krzywdę?

– A jak ty uważasz?

– To wszystko nie przywróci mi mamy. Nie wymaże tego, co się stało. Wciąż nie mogę tego pojąć.

To chore.

– Masz rację.

– Naprawdę mam dostęp do tych wszystkich pieniędzy? – pytam, wkładając garść łyżeczek do pojemnika na sztućce w zmywarce.

– Nie – mówi Donna, opłukując ostatnią miseczkę po lodach. – Masz fundusz uczelniany, z którego możesz opłacić chesne za studia. Przygotowałam już wszystkie papiery.

– Co będzie, jeśli nie skorzystam z tych pieniędzy?

– Dlaczego miałabyś z nich nie skorzystać? Wciąż zamierzasz studiować na Bryn Mawr, a potem na Harvardzie, prawda?

– Tak, ale może dostanę stypendium... tak jak ty.

– Już o tym pomyślałam.

– Tak?

– Jeśli uda ci się studiować za darmo, możesz wpłacić pieniądze na dowolny cel dobroczynny.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Więc mogłabym na przykład wpłacić te pieniądze na konto działu biznesowego liceum w Childress, tak by Franks zbudował odjechaną klasę i opuścił piwnicę albo przynajmniej wstawił okna i nie musiał płacić za materiały szkolne z własnej kieszeni?

– Mogłabyś zrobić coś takiego. Oczywiście.

Uśmiecham się na myśl o tych wszystkich dobrych rzeczach, które mogę zrobić za te pieniądze.

Kiedy nadchodzi bal jedenastych klas, Donna wypożycza Ricky'emu i mnie przedłużaną limuzynę. Wkładam srebrną sukienkę, a Ricky smoking. Donna kupiła nam obojgu kwiaty. Robimy sobie masę zdjęć w ogrodzie, a potem jedziemy po Tya. Wciąż ma brodę, ale w granatowym smokingu wygląda bardzo stylowo. Chyba przez godzinę państwo Hendrix robią zdjęcia Ricky'emu, Tyowi i mnie, po czym wskazujemy do limuzyny i mówimy kierowcy, żeby zawiózł nas do domu Jareda i Chada, którzy czekają tam na nas ze swoimi partnerkami – Carlą Winslow i Sally Craig z drużyny cheerleaderek. Te dziewczyny to tępe lalunie, ale ze względu na moich chłopców jestem dla nich supermiła. Przez kolejną godzinę państwo Fox robią nam zdjęcia w różnych pozach, po czym znów wsiadamy do limuzyny i jedziemy do pobliskiego Hiltona, gdzie w sali bankietowej odbędzie się bal jedenastych klas. Pan Fox jedzie za nami rodzinnym vanem, przewożąc Das Boota dla Chada.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, wsadzamy Chada w Das Boota i kierujemy się do sali.

Franks wita wszystkich przy drzwiach, co oznacza po prostu, że musi sprawdzić, czy nie czuć od nas alkoholem.

Wchodzimy do środka, zataczając się – udajemy nawalonych.

– Może wódeczki? – pytam Franksa.

– Pod koniec wieczoru pewnie mi się przyda – odpowiada i wszyscy wybuchamy śmiechem.

– Jak wyglądam, Franks?

– Wszyscy wyglądacie świetnie – mówi, a Carla i Sally chichoczą.

Na balu jemy smaczne jedzenie, tańczymy do muzyki puszczonej przez DJ-a, po czym dołączamy do Leksa Pinkstona i pozostałych futbolistów oraz ich dziewczyn cheerleaderek. Dzielę wolne tańce równo pomiędzy Ricky'ego i Tya. Kiedy na koniec z głośników rozbrzmiewa *Always and Forever*, wraz z całą Piątką, Sally i Carlą tańczymy w dużym kole, trzymając się pod rękę, podczas gdy nasi nauczyciele obserwują nas, wyczekując momentu, w którym będą mogli iść do domu. Prawdę mówiąc, to dość głupie.

Gdy bal dobiega końca, wsadzamy Das Boota do vana Foksów, wskazujemy do naszej limuzyny i jedziemy do domku rodziców Tya na plaży na Long Beach Island, znanej także jako LBI. Pan Fox jedzie za nami z Das Bootem, bo jest dobrym tatą.

Dom rodziców Tya znajduje się przy samej plaży, więc po wprowadzeniu Das Boota do domu i pożegnaniu pana Foksa wkładamy Chada do plecaka i rzucamy się na piasek, żeby pogapić się w gwiazdy.

Chociaż wciąż mamy na sobie smokingi i sukienki, biegamy boso wzdłuż oceanu, a woda liże nam kostki – śmiejemy się i śpiewamy jak dzieciaki, którymi przecież jesteśmy.

W pewnym momencie postanawiamy spędzić całą noc na plaży, żeby zobaczyć wschód słońca.

Znajdujemy sobie miejsce przed domem rodziców Tya. Kładziemy się na piasku, tworząc wielką stertę nastolatków.

Wpatrujemy się w niebo i podziwiamy je w ciszy.

Wszyscy oprócz mnie zasypiają. Myślę o mamie. Wstaję i trochę płaczę, blisko brzegu oceanu, tak by inni mnie nie słyszeli. Po kilku minutach zjawia się Ty i obejmuje mnie ramieniem jak brat. Kiedy odwracam się zaskoczona, przytula mnie, a ja szlocham w jego nakrochmalony smoking – jego broda przyjaźni drapie mnie w czoło.

Kilka godzin później wstaje słońce. Ty i ja siedzimy razem na wydmie. Dołącza do nas reszta Piątki,

a ja robię pogodną minę i krzyczę:

– Przygotuję śniadanie! – W domu rodziców Tya przyrządzam wszystkim wspaniałe omlety.

Z internetu dowiaduję się, że aby odwiedzić jakiegokolwiek więźnia w więzieniu o zastrzonym rygorze, należy wypełnić specjalny wniosek i poczekać na jego zatwierdzenie. Jest także regulamin, który trzeba przeczytać i zaakceptować podpisem. Jeśli jest się niepełnoletnim, dokumenty musi podpisać również opiekun. Nie chcę, by Donna lub ktokolwiek inny wiedział o tym, że zamierzam odwiedzić mordercę mojej matki, więc czekam do osiemnastych urodzin, po czym wypełniam i wysyłam wniosek – robię to po przyjęciu w ogrodzie, które urządza dla mnie Donna.

Moje osiemnaste urodziny są sporym wydarzeniem, bo wśród gości znajdują się: Stary Linder, Stary Thompson i kilkoro staruszków z domu metodystów. CDK przyprowadzają swoje rodziny oraz OC. Zjawia się także rodzina Franksa oraz, oczywiście, chłopaki z Piątki wraz z mnóstwem znajomych z klasy, Dyrciem Tonym i panią Baxter – przychodzi nawet SJ i Miss Jenny, z czego bardzo się cieszę, bo Donna ma na sobie seksowną letnią sukienkę i flirtuje z SJ, a on nie opuszcza przyjęcia przed końcem. Siostra Lucy i Pracowici Bracia wraz z Chrystusowymi Diwami z Korei urządzają koncert plenerowy, który jest po prostu szalowy – wywabia sąsiadów z domu i przyciąga do naszego ogródka. Jestem zakłopotana tym, że dostałam całe mnóstwo fantastycznych prezentów. Kiedy wszyscy wychodzą, wypełniam wniosek dla odwiedzających więzienie i wrzucam go do skrzynki – to mój prezent urodzinowy dla mnie.

Morderca mojej matki także musi się zgodzić na spotkanie ze mną. Martwię się, że odmówi.

Martwię się także tym, że Donna otrzyma list z odpowiedzią, więc codziennie o drugiej wymykam się z lodziarni U Rity, gdzie pracuję w wakacje, bo wtedy właśnie dostarczana jest poczta. Nie chcę, żeby Donna przechwyciła mój list z więzienia.

Po kilku tygodniach oczekiwania otrzymuję bardzo formalną odpowiedź. W liście jest wyznaczona data i godzina odwiedzin. Wyrażono zgodę na piętnastominutową wizytę bez kontaktu. Oznacza to, że będzie nas oddzielać szyba z pleksi, co w zupełności mi odpowiada. Potrzebuję tylko pięciu minut spotkania z mordercą mojej matki, więc jest spoko. Dzień przed wizytą dzwonię do Tya i pytam, czy zwolni się z pracy w jednej z filii banku, w którym jest zatrudniony jego tata. Ty przez całe wakacje przez osiem godzin dziennie pracuje jako kasjer w bankowym okienku *drive-thru*. Pytam, czy zawiezie mnie w sekretne miejsce i obieca, że do końca życia nikomu o tym nie powie, a w zamian za to pójdę z nim do Friendly's jak za dawnych czasów, żeby mógł w końcu zgolić brodę. Od śmierci mojej mamy jeszcze tam nie byliśmy.

– O której mam cię odebrać?

– O ósmej. I zatankuj do pełna.

– Spoko.

Następnego ranka dzwonię do menadżera lodziarni. Mówię, że mam kobiece problemy, żeby nie zadawał żadnych pytań – i rzeczywiście tego nie robi.

Brodaty Ty zjawia się punktualnie. Wskakuję do jego volvo.

– Dokąd jedziemy?

– Wjedź na autostradę i kieruj się na północ.

– Okej – mówi Ty i rusza.

Przez niemal dwie godziny instruuje go, jak ma jechać. Kiedy w końcu zatrzymujemy się na parkingu więzienia o zastrzonym rygorze, Ty pyta:

– Amber, co my tu właściwie robimy?

– Mam umówioną wizytę z mordercą mojej mamy.

– Co? Dlaczego?

– Bo muszę stawić mu czoła, a potem żyć dalej.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Zaufaj mi.

– Amber...

– Poczekaj tu na mnie, dobrze? Wrócę za niecałą godzinę.

– Nie podoba mi się to – oznajmia Ty, a ja zauważam, że jego broda przyjaźni ma już prawie piętnaście centymetrów. Musi zniknąć i to niedługo.

– Przygotuj się na pożegnanie z brodą – rzucam i przechodzę przez parking. Ty kilkakrotnie woła mnie z samochodu, ale nie wchodzi za mną do więzienia. W środku muszę przejść przez wykrywacz metali, pokazać prawo jazdy, legitymację szkolną i list z pozwoleniem na widzenie. Potem przeszukuje mnie potężna kobieta w mundurze strażniczki, która ma przy sobie spluwę.

Kiedy uznaje, że nie noszę broni i jestem tylko nieszkodliwą nastolatką, wiedzie mnie w głąb korytarza i przeprowadza przez dwie pary strzeżonych i zamkniętych drzwi, gdzie musi krzyknąć:

– Wprowadzam odwiedzającą! Jest przeszukana i czysta!

Na końcu czwartego korytarza otwiera drzwi i mówi:

– Jesteśmy. Poczekam na ciebie tutaj.

Przed wejściem do pomieszczenia ogarnia mnie zdenerwowanie. Z jakiegoś powodu nogi odmawiają mi posłuszeństwa i nie mogę wejść do pokoju odwiedzin, więc dla dodania sobie odwagi przywołuję we wspomnieniach najpiękniejszą chwilę numer jeden z życia Amber i jej mamy.

Nie zamierzałam wam tego opowiadać, ale ostatni facet mojej mamy – Dupek Oliver – wcale nie wyrzucił nas ze swojego mieszkania.

Cała sprawa wyglądała tak:

Mama, B3 i ja oglądaliśmy pilotowy odcinek pierwszego sezonu serialu *Buffy: Postrach wampirów* na DVD, który pożyczyłam od Jareda i Chada. Buffy miała właśnie uratować swoją nową przyjaciółkę Willow przed wampirami, kiedy Dupek Oliver wrócił do domu i oznajmił, że chce oglądać mecz Sixersów¹⁷, więc natychmiast wyłączyłam serial – w najlepszym momencie – i podałam mu pilota, bo był uparty i miał w zwyczaju obrzucać ludzi obelgami, które wbijały się prosto pod żebra.

Włączył mecz, co wcale mi nie przeszkadzało, bo ilekroć Dupek Oliver był w domu, sprawował pełną kontrolę nad telewizorem – nie spodziewałam się niczego innego. Ale z mamą sprawa wyglądała inaczej. Po obejrzeniu szóstego sezonu *Buffy* – który Chad i Jared podarowali mi na urodziny rok wcześniej i zapewnili, że ten sezon jest najlepszy, bo zawiera odcinek musicalowy pod tytułem *Once More, With Feeling* – mama się wkręciła i sama wpadła na pomysł, żeby pożyczyć pierwszy sezon od moich chłopców. Chciała, żebyśmy obejrzały wszystkie odcinki po kolei. Razem, jak matka z córką.

Myślę, że mamie podobał się ten serial, bo chociaż Buffy jest pogromczynią wampirów, to po prostu świetna, zwyczajna dziewczyna. Stanowi wzór dla innych kobiet. Nie wciska kitu. Może i jest superlaską, ale spędza czas ze swoimi głupkowatymi przyjaciółmi Xanderem i Willow, którzy przypominają normalnych ludzi – chociaż jedno z nich zakochuje się w demonie, a drugie staje się potężną czarownicą. W pewnym sensie wierzymy, że Buffy istnieje naprawdę, chociaż zabija wampiry i potwory i mieszka w Piekielnych Ustach. Ten serial daje nadzieję zwykłym dziewczynom takim jak ja i mama. Bez kitu.

Przez chwilę w milczeniu oglądaliśmy Sixersów, po czym Dupek Oliver poszedł do kuchni i kilka minut nie wracał.

– Dlaczego kazałeś nam wyłączyć *Buffy*, jeśli nie zamierzasz nawet oglądać meczu?! – krzyknęła do

niego mama.

– Słucham go – odpowiedział Dupek Oliver z kuchni, gdzie robił sobie kanapkę.

Byłam zaskoczona, kiedy mama wstała z kanapy, wzięła pilota i włożyła płytę z serialem z powrotem do odtwarzacza.

Dupek Oliver wrócił do salonu z kanapką i powiedział:

– Oglądam koszykówkę!

– A my oglądałyśmy *Buffy* – odpowiedziała mama, co mnie zaskoczyło, bo nigdy dotąd nie potrafiła się bronić.

– Jak zaczniesz się dorzucać do czynszu, możesz oglądać, co chcesz – powiedział. – Jesteś odpowiedzialna za dwie z trzech mieszkających tu osób, a nie pokrywasz nawet swojej części rachunków. Więc dopóki to ja płacę cały rachunek za kablówkę, będziemy oglądać Sixersów, kiedy tylko będą transmisje.

Oliver odepchnął mamę, wyjął *Buffy* z DVD i rzucił ją do mnie jak frisbee, ale zrobił to zbyt mocno. Płyta wzbiła się w powietrze, uderzyła w ścianę nad moją głową, po czym spadła za kanapę. Bob zaczął szczekać.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołałam. – To nie moja płyta. Zapłacisz za nią, jeśli jest porysowana.

Dupek Oliver wskazał na odtwarzacz DVD i powiedział:

– Ten sprzęt też nie jest twój. Nic w tym mieszkaniu nie jest twoje oprócz tej przybłędy. Gdyby nie ja, wyładowałybyście na ulicy. Nie zapominaj o tym.

– Przecież pracuję – odpowiedziałam.

– A czy ja biorę od ciebie pieniądze, które zarabiasz na tych swoich sorbetach? – spytał Dupek Oliver, jakby to robiło z niego bohatera.

– Nie.

– To nie ma o czym gadać – oznajmił, po czym znów usiadł.

Spojrzałam na mamę i dostrzegłam, że ma dość Olivera, ale nie spodziewałam się tego, co powie.

– Amber, idź do swojego pokoju i włóż swoje ubrania do worków na śmieci. Spakuj wszystkie rzeczy. Nie zapomnij o kołdrze.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo się wyprowadzamy – odpowiedziała mama kategorycznie.

– Gdzie będziecie mieszkać? – rzucił Dupek Oliver ze śmiechem, ukazując na wpół przeżutą wędlinę. – W szkolnym autobusie?

Mama weszła do kuchni, a ja za nią. Wyjęła worki na śmieci spod zlewu, poszła do swojego pokoju i zaczęła do nich ładować wszystkie ubrania. B3 i ja zrobiliśmy to samo w moim pokoju. Nie miałyśmy aż tylu rzeczy, więc zapełniłyśmy tylko sześć worków.

Włożyłyśmy płaszcze i minęłyśmy Dupka Olivera, który powiedział:

– Wróćcie. Do zobaczenia za kilka godzin.

Kiedy wyszłyśmy z budynku, mama ucałowała mnie w oba policzki, ujęła moją twarz w dłonie i powiedziała:

– Oliver to palant. Przepraszam, że tak długo musiałyśmy z nim mieszkać. Już nigdy nie wrócimy do jego mieszkania. Obiecuję.

Uśmiechnęłam się do niej i z jakiegoś powodu zaczęłyśmy płakać, stojąc na chodniku i przytulając się pod czujnym spojrzeniem Boba.

– To może trochę potrwać, Amber – wyszeptała mi mama do ucha – ale obiecuję, że będziemy miały własne mieszkanie. Nie potrzebujemy Olivera. Znajdę lepszą pracę albo lepszego faceta. Coś się trafi.

– Wiem – powiedziałam, ale prawdę mówiąc, bardzo się bałam, bo od mamy czuć było alkohol.

Nie musiała nic mówić. Od razu zrozumiałam, że oficjalnie stałyśmy się bezdomne. Ale byłyśmy też wolne, a mama postawiła się Oliverowi i zaryzykowała – szanowałam ją za to. Skopała mu tyłek jak Buffy. Tak przynajmniej wtedy myślałam. Trzy tygodnie potem mama poprosiła Dupka Olivera, żeby przyjął nas z powrotem do swojego mieszkania. Odmówił, mimo że przyprowadziła mnie ze sobą i błagała, żeby pozwolił nam zamieszkać ze sobą choćby ze względu na mnie.

– Obiecuj mi coś – powiedziała mama pięć minut po tym, jak opuściłyśmy mieszkanie Dupka Olivera. Patrzyła mi w oczy i nie puszczała mojej twarzy. – Nigdy nie pozwolisz, by jakikolwiek mężczyzna traktował cię tak jak Oliver mnie.

– Obiecuję.

– Powiedz, że nie będziesz żyła w strachu, a kiedy dorośniesz, twoje życie będzie nawet lepsze od tego, które wymarzyła sobie dla ciebie twoja mama.

– Obiecuję – powiedziałam.

Płakałyśmy na ulicy, otoczone sześcioma workami z naszym dobytkiem i z jakiegoś powodu poczułam się wtedy tak, jakbym się z mamą żegnała – jakby wybierała się do miejsca, z którego nie ma powrotu, jakby dla niej był to początek końca. Miałam wrażenie, że coś w niej pękło – że jej umysł przestał działać, a ona dobrze o tym wiedziała. Czułam się tak, jakby leżała na łożu śmierci w jakimś głupim filmie, a ja przyrzekałam, że wypełnię jej ostatnią wolę. Ale był to także swego rodzaju początek dla mnie, bo tego, co obiecałam mojej mamie, nie traktowałam bez troski ani wtedy, ani teraz.

Stojąc w progu więziennej sali widzeń tuż przed spotkaniem z mordercą mojej matki, biorę głęboki oddech i myślę o wszystkim, co się wydarzyło, o wszystkim, co przeżyłam, i o tym, jaka stałam się silna. Ostatni raz powtarzam: „Obiecuję. Obiecuję”.

Kiedy wchodzę do sali, inny strażnik – młody, chudy mężczyzna – prowadzi mnie do niewielkiej kabiny, która przypomina biurko ze ściankami działowymi odseparowującymi od siebie odwiedzających, chociaż akurat teraz w pomieszczeniu nie ma innych gości.

Morderca mojej matki siedzi po drugiej stronie i gapi się na mnie zza grubej szyby z pleksiglasu.

Na biurku leżą słuchawki, które mam założyć. Na wysokości ust mają przymocowany mały mikrofon – wygląda to jak sprzęt, który zakładają piloci śmigłowców.

Morderca mojej mamy ma już słuchawki na uszach. Wpatruje się we mnie pustym wzrokiem. Ogromne brązowe okulary. Rozczochrane włosy.

Pomarańczowy kombinezon. Jego nadgarstki przymocowane są do pasa, który ma na brzuchu. Staram się nie myśleć o tym, co zrobił mojej mamie, ale nic nie potrafię na to poradzić – przez moje ciało przebiega fala wściekłości. Biorę kilka głębokich wdechów. Mężczyzna wskazuje głową na moje słuchawki i bezgłośnie wypowiada słowa: WŁÓŻ JE.

Spoglądam w jego oczy i przechodzą mnie ciarki.

Jest w nich pustka.

Nie jest człowiekiem.

Jest przedmiotem.

W jego oczach nic nie pozostało.

Nic.

Jest potworem.

Widzi córkę swojej ostatniej ofiary, a na jego twarzy nie odmalowują się żadne emocje.

Nic.

Nie zakładam słuchawek. Zamiast tego wyciągam łabędzia origami z kieszeni i pokazuję mu go.

Jego twarz jest pozbawiona uczuć.

Drżącymi dłońmi rozwijam łabędzia. Mój wiersz zapisany jest wielkimi literami. Otwartą dłonią przykładam go do szyby. Obserwuję, jak mężczyzna czyta słowa opowiadające o tym, jak przeżywam śmierć swojej matki.

*Możesz sobie żyć
Na tym świecie, ale ja
Też się nie poddam*

Twarz mordercy mojej mamy się nie zmienia. Kolejny raz wskazuje głową na słuchawki i krzyczy: WŁÓŻ JE! Próbuje krzyczeć przez szybę i najwyraźniej chce mi coś powiedzieć, ale to nie on dyktuje tu dzisiaj warunki. Widzę, jak stojący za nim strażnicy sztywnieją. Przytrzymuję haiku przy szybie i przecząco kręcę głową. Nagle mężczyzna rzuca się na szybę. Atakuje moje haiku głową – kilkakrotnie wali nią w szybę, zanim strażnik wywleka go z pomieszczenia.

Nie ruszam się z miejsca.

Dopiero kiedy wyprowadzają go z sali, opuszczam kartkę z haiku.

Kładę swój wiersz na blacie. Chcę, żeby został w więzieniu.

– Coś ty, u licha, napisała na tej kartce? – pyta mnie młody chudy strażnik.

Kiedy nie odpowiadam, mija mnie i podnosi moje haiku.

Wychodzę z sali widzeń. Ta sama strażniczka przeprowadza mnie przez kontrolę i bramkę do wykrywania metali, po czym wyprowadza mnie z więzienia.

O dziwo, to, że stawiałam czoła mordercy mojej mamy, poprawia mi samopoczucie.

Nie pokonał mnie – a jeśli człowiekowi takiemu jak on się to nie udało, nic mnie już nie pokona.

Wokół mnie pulsuje życie.

Niebo.

Chmury.

Drzewa.

Bezmiar powietrza.

Ptaki przelatujące ponad nami. W volvo czeka na mnie dobry, brodaty chłopiec. Tego wszystkiego mogę teraz doświadczyć. Muszę się tym cieszyć dla mamy i tych wszystkich, którym nie jest to dane, a także dla siebie. Mam dopiero osiemnaście lat. To najpiękniejszy czas. Jeśli chcę, wciąż mogę być dzieckiem. A tego właśnie chcę.

Kiedy brodaty Ty zauważa, że idę przez parking, wysiada z samochodu, ale nic nie mówi. Na jego twarzy maluje się troska. Widzę, że mu na mnie zależy – i to bardzo. Widzę, że on także jest jeszcze dzieckiem, mimo tej obrzydliwej brody przyjaźni.

– Zrobiłam to, co musiałam – oznajmiam.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie.

– W porządku.

– Chcesz otworzyć swoje prezenty? – pytam.

– Prezenty?

– Za to, że mnie dziś odwiozłeś.

– Nie wiem, czy wypada...

– Otworzymy je. Wsiadaj.

Wskakujemy do jego volvo.

– To prezent numer jeden – mówię i podaję mu niewielki, ale ciężki pakunek.

– Trochę to dziwne – rzuca Ty.

– Co?

– Otwieranie prezentów na parkingu więzienia o zastrzonym rygorze.

– Świątujemy swoją wolność. To, że możemy być dziećmi, podczas gdy cały świat próbuje nam to odebrać. To nasz wybór, Ty. Możemy robić, co tylko chcemy.

– O czym ty mówisz?

– No już, otwieraj. Spodoba ci się ten prezent. Obiecuję.

Ty rozdziera papier.

– Baterie?

– Otwórz opakowanie. Potrzebujesz tylko dwóch.

– Do czego?

– Do prezentu numer dwa.

– Co?

– Po prostu to zrób.

Ty przygotowuje dwie baterie i rozpakowuje drugi prezent.

– Maszynka elektryczna – mówi.

Biorę pudełko, otwieram je i wkładam baterie do maszynki. Kiedy ją włączam, rozlega się buczenie.

Bzzz. Spoglądam Tyowi w oczy i mówię:

– Chyba nadszedł czas, żebyś się pozbył tej okropnej brody.

– Nie ogolę się, dopóki nie zgodzisz się pójść do Friendly's z naszą Piątką – oznajmia, po czym wybucha niezręcznym śmiechem, jak gdyby zwątpił w swój plan. – Pamiętasz?

Nagle mam ochotę spojrzeć mu w oczy – chcę wiedzieć, że Ty coś w sobie ma. Coś ludzkiego. Przeciwnieństwo pustki, którą zobaczyłam, kiedy spojrzałam przez szybę z pleksi w oczy monstrum.

Patrzę badawczo w dwie brązowe tęczówki. Są takie niewinne. Mają odcień kory. Mają w sobie życie.

Są chłopiące.

Pełne potencjału.

Nadziei.

Są zachwycające.

Są piękne.

Dają mi energię. Dzięki nim zalewa mnie ciepło.

– W takim razie pójdziemy do Friendly's – mówię. – Jak tylko zbierzemy Piątkę. Przyrzekam.

A teraz zgolę ci brodę.

Bzzz!, odzywa się elektryczna golarka.

– Najpierw musisz przystrzyć brodę nożyczkami – oznajmia Ty.

Pokazuję mu nożyczki dołączone do maszynki.

– Chcesz to zrobić w moim samochodzie? Tutaj?

– Tak – odpowiadam.

Przełyka ślinę, po czym mówi.

– Proszę, Amber, tylko nie w mojej ślicznej bryce.

Wysiadamy z samochodu, a ja delikatnie przycinam brodę Tya tuż przy skórze – na asfalt parkingu więzienia o zastrzonym rygorze spada masa włosów.

Ostrożnie golę go elektryczną maszynką na baterie.

Spod zarostu wyłania się chłopiec.

– Miło być tak gładko ogolonym? – pytam, kiedy znów wsiadamy do volvo.

– Pracownicy banku będą zadowoleni – mówi Ty. – A rodzice pewnie napiszą ci liścik z podziękowaniem.

Ty i ja jemy późny lunch w McDonaldzie – cheeseburgery, słone frytki i koktajle – po czym pokonujemy resztę drogi z więzienia o zaostrzonym rygorze, słuchając popowych piosenek w radiu. Kiedy leci fajny numer, który oboje znamy, głośno śpiewamy.

Po powrocie do Childress zatrzymujemy się pod domem Chada i Jareda.

– Zgoliłeś brodę! – mówi Jared. – Czy to oznacza, że jedziemy do Friendly's?

Kiedy kiwam głową, bracia Fox się uśmiechają, a Jared zanosí Chada na tylne siedzenie.

Podjeżdżamy po Ricky'ego w momencie, kiedy Donna wraca do domu z pracy.

W kuchni Ricky mówi:

– Ty Hendrix nie ma brody. Tak. Gdzie jest jego broda?

– A więc wracacie do Friendly's? – pyta Donna, podczas gdy B3 krąży wokół naszych nóg. Liże moich chłopców po rękach, kiedy pochylają się, żeby go pogłaskać.

– Chcesz jechać z nami? – pytam.

– Bawcie się dobrze, dzieciaki – odpowiada Donna.

– Nie jechałaś jeszcze moim volvo – rzuca Ty. – To superbryka.

– Naprawdę chcecie, żebym pojechała? – pyta Donna.

– Jasne, cukierczku – oznajmia Chad-w-plecaku. – Sama wiesz, że chcesz usiąść obok mnie na tylnym siedzeniu. Będę trzymał rączki przy sobie, obiecuję.

Wybuchamy śmiechem, a Donna mówi:

– W takim razie ja stawiam.

Zanoszę Boba do jego pokoju i włączam radio z muzyką klasyczną. Puszczają właśnie Walc Des-dur Chopina, za którego sprawą B3 zaczyna skakać i tańczyć, więc przez chwilę patrzę na mojego najlepszego kumpla. Potem zamykam go w sypialni i wszyscy pakujemy się do volvo Tya. Ktoś proponuje, żeby zrobić Franksowi numer, więc podjeżdżamy pod jego dom, a Jared podbiega do drzwi, dzwoni, po czym ucieka do samochodu. Kiedy rudowłosa żona Franksa wychodzi i bezradnie rozgląda się wokół, wybuchamy śmiechem, a Ty wciska gaz do dechy.

We Friendly's Donna zamawia wszystkie rodzaje deserów lodowych i frytki. Staczamy pojedynki na długie łyżeczki deserowe, rozbryzgując wokół bitą śmietaną, wisienki, polewę karmelową i czekoladową oraz orzeszki. Chichoczymy. Donna obserwuje nas z uśmiechem. W głowie odmawiam krótką modlitwę do JC.

Nic nie rozumiem, JC. Nie rozumiem Twojego planu. Tęsknię za mamą. Zabrałeś mi ją, zanim stałam się dorosłą kobietą – to niezbyt uczciwe, nie uważasz? Ale cieszę się, że istnieją chwile takie jak ta. Cieszę się, że istnieją tacy przyjaciele. Cieszę się, że istnieją lody we Friendly's. To by było na tyle.

Donna się uśmiecha. Moi chłopcy jedzą lody. Siedzę przy stole z mnóstwem dobrych przyjaciół. I myślę sobie: Nie możesz się poddać, Amber. Niezależnie od tego, co się wydarzy.

Obiecuję. Obiecuję.

Kiedy myślę o mamie, chce mi się płakać.

Zanim zaleję się łzami, zaczynam powtarzać sobie w głowie słowa uznania, które mają mi pomóc powstrzymać płacz – używam w tym celu głosu superkomentatora sportowego:

Niezlomnie pogodna! Niepokonana mistrzyni optymizmu! Radosna nastolatka! Ulubienica publiczności! Niepodważalna czempionka!

– Amber „Rockowa Gwiazda Nadziei” AppleTOOON! – wrzeszczę na całe Friendly’s, a klienci odwracają się i spoglądają na mnie tak, jakby głowa stanęła mi w ogniu.

– Ale z ciebie świruska – szepcze do mnie Jared, a moi chłopcy uśmiechają się i wybuchają śmiechem.

Odpowiadam im uśmiechem i wsuwam do ust łyżkę pysznych lodów kawowych.

Może i jestem świruską, ale pogodna ze mnie outsiderka, a na tym świecie można być kimś o wiele gorszym. Bez kitu.

Niosę nadzieję. Jestem jej głosicielką. Chyba to właśnie robię – bez opamiętania – i dlatego wciąż krążę wokół wielkiej ognistej kuli na niebie (mowa o słońcu, ziom!).

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować mojemu wspaniałemu, niezłomnemu agentowi Dougowi Stewartowi – D, jesteś po prostu niesamowity – oraz genialnej redaktorce Alvinie Ling za to, że uwierzyli zarówno we mnie, jak i w Amber, i motywowali mnie do stworzenia jak najlepszej opowieści. Czuję ogromną wdzięczność za to, że mogę pracować z tak mądrymi, fajnymi i dobrymi ludźmi. Dziękuję także ich asystentom Sethowi Fishmanowi i Connie Hsu oraz wszystkim pracownikom Sterling Lord Literistic i Little, Brown and Company, którzy pracowali przy rękopisie tej książki i pomagali przekazać moje słowa światu. Zwracam się z wyrazami miłości do przyjaciół i członków rodziny, nieustannie wspierających mnie i moją karierę, jednak specjalne podziękowania należą się tym, którzy (świadomie lub nieświadomie) odegrali wyjątkową rolę przy powstawaniu tej książki, oraz tym, którzy wciąż dają mi nadzieję. Są to: moja żona Alicia Bessette, siostra Megan, brat Micah, K-Hen, mama, tata, Barb & Peague, Bill, Mo oraz Owen Rhoda, Flem, kolega Bardbarian Scott Humfeld, Scott Caldwell (Pan Kanada), Myfanwy Collins, Justin Dunn, K-Rob, BD, fantastyczny weterynarz dr Corey Shagensky, Roland Merullo, Stary Harry oraz Babcia Dink, Wujek Pete, twórca mojej strony internetowej Tim Rayworth, mój fotograf Dave Tavani, LL, WMs, Chris Barrett, wszyscy, którzy przybyli na przyjęcie promocyjne z okazji wydania *Poradnika pozytywnego myślenia*, i wielu, wielu innych...

Spis treści

Karta tytułowa

Część pierwsza Poczuj ból

1

2

3

4

5

6

7

Część druga Banda świrów

8

9

10

11

12

Część trzecia Rzygaj i płacz

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[Część czwarta Nie jesteśmy sami](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Sorta Like a Rock Star*

Copyright © 2010 by Matthew Quick
Copyright © for the translation by Maria Borzobohata-Sawicka

Opieka redakcyjna: Anna Małocha, Joanna Stryczyk

Korekta: Anna Woś / d2d.pl,
Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty
Fotografia autora: © Alicia Bessette

ISBN 978-83-7515-805-2

WYDAWNICTWO
otwarte
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. [\(12\) 427 12 00](tel:124271200)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com